

Polecamy również:

James Howard Kunstler: *Maggie Darling*
Nancy Thayer: *Hot Flash Club*

Tobi Tobin
SELEKCJONERKA

Przełożyła z angielskiego
Anna Klingofer



ABENKA
Redakcja Literacka Bellony Warszawa

Tytuł oryginału:
Door to Door

Okładkę projektowała:
Elżbieta Lubomirska

Redaktor prowadzący:
Bartłomiej Zborski

Redakcja:
Zofia Majcherowicz

Redaktor techniczny:
Elżbieta Bryś

Korekta:
Teresa Kępa

Copyright © 2003 by Kelly A. Tobin
© Copyright for the Polish translation by Anna Klingofer,
Warszawa 2005
© Copyright for the Polish edition by Dom Wydawniczy
Bellona, Warszawa 2005

Dom Wydawniczy Bellona prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek
za zaliczeniem pocztowym z 20-procentowym rabatem od ceny detalicznej.
Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona
ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa
Dział Wysyłki: tel. (22) 45-70-306, 652-27-01, fax (22) 620-42-71
e-mail: biuro@bellona.pl
Internet: www.bellona.pl

ISBN 83-11-10101-9

*Henry'emu – najpiękniejszemu mężczyźnie,
jakiego kiedykolwiek poznałam. Miłości mego życia,
mojej muzie, przyjacielowi, kochankowi.
Pokochanie Cię było moją najlepszą decyzją..*

Podziękowania

Pisząc te podziękowania, czuję błogostawieństwo i wdzięczność, że jesteście obecni w moim życiu. Wasza przyjaźń i wsparcie tak wiele dla mnie znaczą. Bez nich napisanie tej książki nie byłoby możliwe. Fawn – dziękuję za Twoją ciągłą zachętę i przyjaźń. Zawsze będę Cię kochać. Twój uśmiech, Twój radosny śmiech i czułość zawsze będą przy mnie. Byłaś dla mnie cennym darem. Jacob – dzięki Tobie ta książka została wydana. Dziękuję, że za Twoją sprawą stałam się lepszą pisarką, oraz za to, że okazałeś się wydawcą, o jakim pisarz mógłby tylko marzyć. Nigdy nie zapomnę Twojej pomocy, wsparcia i przyjaźni. Rhea – to była naprawdę długa droga. Udało Ci się sprzedać tę książkę, sprawiłaś, że to wszystko stało się możliwe, jesteś gwiazdą. Zawsze będę Cię kochać. Dziękuję. Mamo – brak mi słów, by wyrazić moją wdzięczność za to, że zawsze wierzyłaś we mnie i w tę książkę. Kocham Cię. Karan – co ja bym bez Ciebie zrobiła? Tak wiele dla mnie znaczysz. Jesteś piękna. Marni – jesteś cudowna. Ubóstwiam Cię. Dziękuję za każdą telefoniczną rozmowę, za wszystkie Twoje rady, zachętę i pomoc. Heleno – nie wiem, jak mam Ci dziękować. Nie ma na to słów. Tak strasznie Cię kocham, moja mentorko i przyjaciółko, bez Ciebie to wszystko nie byłoby możliwe. Nic nas nie rozdzieli. Noelle – dziękuję Ci za wsparcie i przyjaźń. Mówiąc krótko, dziewczyno, one utrzymują mnie przy życiu. Susan – Twoje modlitwy i przyjaźń sprawiły, że marzenie stało się rzeczywistością. Kocham Cię. Janusz – dziękuję Ci za każdy nowy dzień, który odsłoniłeś przede mną. Za każdy

wspólny uśmiech i za te kilka razy, kiedy odważyłam się na głębszy oddech. Na zawsze jesteś w moim sercu. Hank – dziękuję, dziękuję, dziękuję, że mnie rozśmieszaleś, że zaufałeś mi, kochałeś mnie i byłeś tak dobrym przyjacielem. Meghan i Spoonie – bardzo was oboje kocham. Dziękuję Wam za te wszystkie wspólnie spędzone chwile. Gweniver – spędziłam z Tobą najważniejszy moment mojego życia. Bez Ciebie ta książka nie ujrzałaby światła dziennego. Dziękuję Ci za Twoje wsparcie i modlitwy. Vivian – dziękuję Ci za te wszystkie lata przyjaźni i wsparcia. Pielęgnuję w pamięci wszystkie wspomnienia. Kate – jesteś najlepsza, a przy tym piękna, słodka, miła i urocza. Dziękuję, że zawsze mogłam na Ciebie liczyć. Irmelin – dziękuję Ci za przyjaźń i długie spacerunki po plaży. Kocham Cię. Beth i Tag – mam żywo w pamięci całe lata wsparcia, przyjaźni, śmiechu, płaczu oraz Waszej dobroci i liczę jeszcze na wiele lat, które spędzimy razem. Lisa – dzięki za Twoje farmerskie opowieści, zwirowane rozmowy przez telefon, przyjaźń, wsparcie, dobroć, piękne dni, prawdomówność, dobre jedzenie i pomoc w realizacji marzeń. Kocham Cię. Kerry – za wieczną przyjaźń, prawdę, dobroć, wsparcie, troskę i za to, że mogłam zawsze na Ciebie liczyć. Kocham Cię i uwielbiam. Dziękuję. Jonathan, Vic i wszyscy moi przyjaciele z Malibu Kitchen w niedzielne poranki – dziękuję Wam z całego serca za wsparcie. Wszystkim moim przyjaciołom, którzy byli wtedy przy mnie, oświadczam – kocham Was.

BAR, LOS ANGELES

NARRATOR

Każdy wspaniały początek zawiera w sobie koniec. Myślę, że trzeba mieć zakończenie, by móc zacząć. Ale w tym szczególnym przypadku koniec zbliżał się, podpełzając powolutku, każdego dnia, każdej nocy, w każdej godzinie. Teraz mam świadomość, że każdej ważnej podróży towarzyszy trudny do udźwignięcia bagaż, który musisz nieść ze sobą. Jest jednak kojący spokój w świadomości, że w końcu nastąpi jej kres. A kiedy? To zależy tylko od ciebie.

Byłam Selekcjonerką*... Stałam na Bramce przez sześć wyczerpujących lat mojego życia. Ciężko mi o tym opowiadać, bo historia ta nie ma właściwie głównego wątku, nie ma też żadnej nadziei; to opowieść zawieszona jakby w powietrzu. Ale właśnie to powietrze było inne. Dym, snujący się w ciemnościach zamkniętego nad ranem baru, opary z rozlanego piwa, pełne popielniczki, resztki jedzenia w kubkach z naczyniami czekającymi na zmywanie. To była ta szczególna aura. Aura pozorów...

* Osoba decydująca na bramce o tym, kto może wejść do klubu (przyp. tłum.).

Milknie głośna muzyka, koniec na dziś, jesteś zmarznięta, smutna, zmęczona. Wbijasz wzrok w pustkę, nic nie czujesz. Żaden z chłopaków do ciebie nie zagada, wiedzą, że mają tego nie robić. Jesteś Selekjonerką. Właśnie skończyłaś tysięczną rozmowę w ciągu ostatnich sześciu godzin. Liczysz gotówkę, wręczasz koperty, zbierasz krótkofalówki, składasz klikery*, zwijasz liny, odprawiasz personel, zbierasz kamizelki kuloodporne, wyjmujesz magazynki, chowasz broń i zamykasz na klucz, czekasz, aż ochrona dopije ostatniego drinka i wychodzisz. Robisz to ciągle tak samo od początku, za każdym razem, gdy muzyka cichnie, a bar pustoszeje. Ale ja robiłam to dlatego, że byłam rozbitkiem, i nigdy nie przestałabym, gdybym w pewnej chwili nie odkryła, co to naprawdę oznacza. To moja historia, mój riff, to byłam ja i chwilami nadal jestem...

* Liczniki używane na bramce klubowej do kontroli wchodzących i wychodzących osób (przyp. tłum.).

Podstawowe zasady

(egzekwowanie, formułowanie podstaw, czy też ich istota)

Trzymałam się na Bramce kilku podstawowych zasad, które nigdy się nie zmieniły: dwóch chłopaków ze mną na zewnątrz, przeze mnie wybranych, będących tam nie bez powodu. Muszą być po pierwsze bystrzy, szybcy, z dobrym okiem – pilnują moich pleców, gdy rozmawiam. Obserwują najpierw mnie, następnie tłum. Nigdy nic nie mówią, w żadnym wypadku, chyba że im każe; i – co najważniejsze – mają, do cholery, patrzeć na tłum. Kiedy stałam na swojej pierwszej Bramce, miałam dwóch chłopaków ze sobą na zewnątrz i czterech w środku. Szef ochrony pozostawał wewnątrz, byliśmy w kontakcie przez krótkofalówkę. Jeśli byli naprawdę dobrzy, mogli przetrwać. Ale jeśli pracowali tylko dla kasy, odchodzili, bo nie byli wystarczająco twardzi. Zazwyczaj byli tam z jakiegoś konkretnego powodu. Nie nawidziłam być w środku i dlatego, jak sądzę, zostałam Selekjonerką. Część chłopaków pracowała jednak tylko w środku. Nigdy ich nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak im się tam podobało, wszędzie pieprzony dym, głośna muzyka, wibrująca w uszach; szlag by to trafił, większość z tych chłopaków nabawiła się w końcu kłopotów ze słuchem. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych zaczęto używać stopperów, ale jakoś się nie przyjęły.

W każdym razie na zewnątrz też było bez rewelacji. Musieliśmy borykać się z pogodą, z zimnem, cholernym zimnem, no i z wiatrem. Nieważne, jaką mieliśmy porę roku, dla klubów zawsze była zła. Najlepszymi Bramkami były te uliczne, jako że najlepiej się prezentowały,

ale dla Selekcjonera były do dupy. Żadnej ochrony. Za nim przyjechała nową Bramkę, zawsze sprawdzałam ulicę, przy której się znajdowała, budynek obok oraz okoliczne uliczki, bo miało to niemałe znaczenie. Patrzyłam, czy nie ma przed nią zieleni, prosiłam o położenie czarnych mat na betonie, żeby nam było ciepło w stopy, i sprawdzałam chodnik, czy jest płaski, czy też może pod kątem, bo jego nachylenie oznaczało ból pleców dokuczający przez całą noc. Tak wiele czynników składało się na daną Bramkę. Na przykład, właściciele klubu mogli uwielbiać krzewy przy Bramce, ale dla nas stanowiły one najgorszy pieprzony koszmar, jako że nic nie było widać ani wokół nich, ani za nimi, co aż prosiło się o kłopoty. Żyjesz w ciągłym strachu. Kogo wkurwiłeś poprzedniego wieczoru? Kto miałby ochotę cię zabić? Czy też wieczna lista osób, które cię po prostu nienawidzą, bo w pewnym momencie wkurwiły cię czymś i nigdy, przenigdy już nie wejdą. A jeśli pracuje się tak długo jak ja, to fakt, że nie będę ciepło myśleć o tobie i twoich kumplach, może naprawdę nieprzyjemnie zaburzyć twoje życie towarzyskie. Od czasu do czasu pojawiały się wprawdzie jakieś reperkusje mojego postępowania, którymi się jednak niespecjalnie przejmowałam, ale przynajmniej wiedziałam, który to dupek postanowił uprzykrzyć mi wieczór. No wiecie, kiedy jakiś donosicielski mały fiutek zmarszczył się nieco przez fakt, że nie dostał się do środka, mógł wpaść na uroczy pomysł, aby zadzwonić do straży pożarnej i uciąć sobie z nimi małą pogawędkę na temat pojemności mojego klubu czy, co gorsza, liczby osób stojących na ulicy. Skarga ta mogłaby brzmieć mniej więcej tak: „Dobry wieczór, nazywam się frajer. Dlaczego? Otóż dlatego, że stoję na rogu ulicy w piątkowy wieczór w Los Angeles i nie mam nic lepszego do roboty, niż dzwonić do miejscowej straży pożarnej, żeby

złożyć skargę na klub po drugiej stronie ulicy, stanowiący na moje oko potencjalne zagrożenie pożarem. Mam tę informację, bo jestem frajerem, i nigdy nie wpuszczają mnie do żadnego z tych szacownych przybytków; często wykonuję takie telefony, ponieważ nawykłem do kapowania na selekcjonerów, poniżających mnie wobec moich znajomych i mojego odrażającego ego, które mógłbym może poprawić, gdyby w końcu wybrano mnie z tłumu i pozwolono mi wejść do któregoś z tych miejsc. Proszę, służę adresem. Jestem tylko zaniepokojonym obywatelem, który dzwoni, żeby powiadomić straż o potencjalnym zagrożeniu. Dziękuję. Życzę dobrej nocy”.

KOMENDANT STRAŻY POŻARNEJ

Ile mniej więcej osób mamy dzisiaj w środku?
Mógłbym się rozejrzeć i sprawdzić klikery?

TOBI

Jasne, przyjacielu, wejdź i zwiedzaj.

KOMENDANT STRAŻY

Jaką to miejsce ma pojemność?

TOBI

Dziewięćdziesiąt osiem.

KOMENDANT STRAŻY

Wyprowadź stąd parę osób albo was zamknijemy. Pozbądź się ich w tej chwili.

TOBI

Tak jest!

KOMENDANT STRAŻY

Pogadajmy chwilę. Spotkamy się w tamtej uliczce.

TOBI

Kto dzwonił?

KOMENDANT STRAŻY

Jakiś koleś.

TOBI

O której?

KOMENDANT STRAŻY

Za dwadzieścia dziesiąta.

TOBI

Z jakiego telefonu?

KOMENDANT STRAŻY

Po drugiej stronie ulicy.

TOBI

Dzięki!

KOMENDANT STRAŻY

Nie ma za co. Pilnuj, żeby klub był czysty, i nie wpuszczaj za dużo. Masz coś dla mnie?

TOBI

Nic.

KOMENDANT STRAŻY

OK, do zobaczenia.

TOBI

Do zobaczenia.

* * *

Nie powinni mówić, kto dzwonił, ale, oczywiście, mówili. Dlaczego? Rewanż. Ręka rękę myje. Jeśli ja dostarczałam im informacji o dealerach, prostytutkach, bezdomnych i strzałach z przejeżdżających samochodów, oni zostawiali mój klub w spokoju.

Ja tu byłam od myślenia, to ja miałam pilnować, żeby wszystko grało; chłopaki mogli się bawić, gapić na panny, rozmawiać o poprzednim wieczorze, gadać o bzdurach, opowiadać kawały. Ja musiałam trzymać się w ryzach. Ale kiedy robiło się naprawdę nieprzyjemnie, to do chłopców należała walka. Lubiałam fighterów, ale takich, którzy się nie bili. Jest spora różnica. Wiecie, jeśli wiedziałam, że któryś z chłopaków bywa nerwowy, nie stawiałam go na Przedniej Bramce. Dla nich oznaczało to bycie W Środku. Na Przedniej Bramce potrzebni byli chłopcy twardzi jak cholera, którzy mogą chronić, ale także trzymać się zasad. Musieli też nieźle wyglądać. Nowojorski styl z klasą, współcześni gangsterzy, jak o sobie myśleliśmy. Musieliśmy przecież o czymś myśleć, stojąc tak przez całą noc, gadając o życiu, zwierając się z naszych marzeń, opowiadając o miejscach, w których dorastaliśmy, o tym, dokąd dążymy, i w jaki sposób mamy zamiar tam dotrzeć. Każde z nas miało swoją opowieść, która zazwyczaj zmieniała się z nocy na noc. Im dłużej pracowaliśmy razem, im dłużej wspólnie oddawaliśmy się marzeniom, tym szybciej, jak nam się

wtedy wydawało, mieliśmy się stąd wyrwać. Chcieliśmy wydostać się z własnej przeszłości, z własnej ścieżki, szczególnie z Bramki, a im więcej na ten temat rozmawialiśmy, tym lepiej się czuliśmy. Usprawiedliwialiśmy to, co robiliśmy, traktując to jako coś przejściowego, tymczasowego – sposób na przetrwanie do czasu aż nasze własne marzenia będą miały szansę się urzeczywistnić. Robiliśmy tylko to, co nam kazano. Nawet mając świadomość, że jest to złe, każdej nocy znajdowaliśmy kolejny powód, by wypowiadać te wszystkie ohydne słowa, którymi musieliśmy się posługiwać, żeby znów móc to robić przez kolejnych osiem godzin, aż udawało się nam jeszcze raz zapomnieć o popełnianej przez nas zbrodni selekcji ludzi według rasy, zawodu, garderoby, urody, sławy i tych wszystkich innych rzeczy, nie mających nic wspólnego z człowieczeństwem, a jedynie z przejściem przez Bramkę.

BILLY

Zimna noc dzisiaj będzie, dzieciaki, bostoński chłodek.

DANIEL

Skoro już mówimy o Bostonie, irlandzki wypierdku, wiesz, ile było?

BILLY

Specjalnie się dla ciebie dowiedziałem, kochaniutki, mam wynik dokładny między nogami, całe osiem cali!

Daniel łapie się za krocze.

DANIEL

Prześnił pierdolić, jaki był wynik? Powiedziałeś Jonniemu, żeby włączył mecz?

BILLY

Taa, powiedziałem, ale on mówi, że szef chce MTV, czy inne takie gówno, ma sprawdzić wynik później i dać nam znać.

DANIEL

Niech go szlag, mam ich wszystkich w dupie, ja pieprzę, już się zrobiło zimno.

(Daniel zaciska rękę w pięść i uderza o siebie dłońmi w czarnych skórzanych rękawiczkach).

Taka prawda, maminsynku, mam nadzieję, że mamusia ubrała cię ciepło do szkoły.

BILLY

Co u ciebie, Tobs, bzykałaś się z kimś ostatnio?

TOBI

Jak, do cholery, miałam się z kimś bzyknąć, jeśli wy, debile, jesteście przy mnie przez cały czas? Myślicie, że jakiś koleś tak po prostu przeoczy fakt, że mam za sobą piętnastu ochroniarzy, którzy pilnują mnie o każdej porze? Taa, tak właśnie będzie...

DANIEL

Skoro się z nikim nie bzykasz, to co poza tym u ciebie słycać, sestro?

TOBI

Stara bida, nie wystarczy mi pieniędzy, nie potrafię znaleźć wyjścia z tego pieprzonego piekła, zmęczona jestem.

DANIEL

Tobs, nie jesteś zmęczona, jesteś wypalona, siostrze, zwyczajnie wypalona!

(Daniel przytula mocno Tobi).

Wiesz, czego ci trzeba, maleńka? Wódki. Billy, leć i przynieś Tobs wódki, i powiedz temu sukinsynowi Jonniemu, żeby ci podał wynik. Billy wchodzi do środka.

TOBI

(Wpatrując się w uliczną latarnię)

Wiesz, o co chodzi, Daniel? Już nie pamiętam zapachu Michigan. Nie wiem, jak pachnie, nie czuję go, nie mogę sobie przypomnieć, jak smakuje, a co gorsza, nie wiem, czy tak naprawdę mnie to obchodzi. Wiesz, że godzinami rozmawiam z Willem, tym bezdomnym, który się tu kręci, i wiesz co? To ja jestem bezdomna, ja jestem zagubiona; Will nie zaginął, jego dom jest tam, gdzie tworzy go każdego kolejnego dnia. Mój dom wymyka mi się coraz bardziej z każdą chwilą, którą spędzam tu, na Bramce, próbując go sobie przypomnieć. Próbując przywołać zapach dziadkowej szynki z Virginii w niedzielne poranki na ranczo, albo widok babci, siedzącej na starej huśtawce ogrodowej, wiesz, takiej z lat pięćdziesiątych, z plastikowymi paskami w szkocką kratę pomiędzy metalowymi częściami. Tych rzeczy mi brakuje, tym właśnie jestem, pieprzoną dziewczynką, zbierającą w lecie maliny, i nie mogę dziś tego w sobie odnaleźć, wiesz? Dziś już tego nie czuję. Czuję tylko to

(wskazuje na swój długi, czarny zimowy płaszcz, czarne męskie skórzane rękawiczki, podnosi do góry listę).

To jest teraz, to wybieram, ale to nie jest to, kim jestem.

DANIEL

Powiem ci coś, Tobs, cholernie smutną historijkę mi tu snujesz. Oszczędź i dla mnie parę łez, co?

TOBI

Wiesz, Daniel, słyszałam, że nienawidzisz być w Środku, bo, widzisz, pomyślałam, że może chciałbyś zamienić swój zwarty tyłeczek z Bramkarzem ze Środka, bo z tego, co mi wiadomo, on dałby się zabić, żeby być tutaj ze mną, małym biedactwem. Co ty na to, ślicznotko?

DANIEL

Łęskniłabyś za mną.

Tobi daje Danielowi kuksańca.

TOBI

Pewnie masz rację, głąbie, więc, jak sądzę, będziesz musiał wysłuchiwać moich łzawych opowieści przez całą pieprzoną noc i mają ci się podobać. Gdzie jest Billy? Zawsze się opierała. Wezwij go na drugiej linii, robi się ruch, a ja mam ochotę na tę wódkę.

Miałam dobre oko do ochroniarzy. Z reguły miałam szczęście do tych, z którymi przyszło mi pracować. Byli to też najlepsi ochroniarze z Przednich Bramek. Chłopaki

z Przedniej Bramki zazwyczaj zaczynali w Środku. Wiele długich nocy w Środku, mnóstwo klubów za sobą, zanim awansowali na Przednią Bramkę. Żaden z nich jednak nie pracował nigdy z kobietą. Dla większości oznaczało to więcej bójk. Pilnowanie pleców któregoś z chłopaków było jednym, a obrona kobiety drugim. Pierwszej nocy zatem obserwowali mnie, słuchali, stali przy mnie, otwierali dla mnie liny, stawali przede mną, następnej nocy wierzyli we mnie. Dlaczego? Bo było wręcz przeciwnie, trzymałam ich z dala od bójk. Rozmawiając, negocjując, dobijając targu przez całą noc. Czasem jednak musieliśmy się bić, wiedzieliśmy też, kiedy i jak, a kiedy już do tego dochodziło, nie chciałam znaleźć się po drugiej stronie. Nie tylko bronili kobiety, ale bezwzględnie trzymali się razem. Lata bycia w tej samej drużynie, wiele długich nocy, podczas których mieli do czynienia z wyskokami zalanych dupków. Kiedy się biliśmy, biliśmy się wszyscy. Ci ze Środka wychodzili na zewnątrz, ci z Zewnątrz wchodzili do środka, zależnie od tego, gdzie się coś działo. Zazwyczaj robił się niezły bajzel, zanim dojechały gliny. Nigdy jednak nic nam nie robili. Byli po naszej stronie. Kurwa, wyświadczyliśmy im przysługę. „Jeden pijany na ulicach mniej tej nocy” – to było ich podejście. Wszyscy czuliśmy się potwornie po nocy z bójką. To była ciężka noc. Zazwyczaj ktoś był ranny, pogryziony, uderzony czy podrapany. To wszystko było do dupy. I na co to? No cóż, to właśnie docierało do nas w końcu. Nie tyle chodziło nam o samą bójkę, ile o to, o co się biliśmy. Żadne z nas tak naprawdę tego nie wiedziało...

Zazwyczaj przyjeżdżałam do klubu godzinę wcześniej, siadałam przy barze i patrzyłam. W ciszy wpatrywałam się w przestrzeń. Uwielbiałam klub o tej porze, czysty,

z przygaszonymi światłami, barmani przygotowują bar, wycierają szkło, uzupełniają butelki likierów z górnej półki taną wodą i zliczają kasę. Wybieram miejsce przy barze, zazwyczaj obok swojego ulubionego barmana, i zamawiam colę. Wiedziałam, że czeka mnie długa noc i potrzebowałam czegoś, co nie da mi zasnąć, a nie gustowałam w kokainie. Piłam, nie stanowiło to jednak problemu. Czasem jadłam, ale zwykle wcześniej, około czwartej; w ten sposób mogłam trzeźwo myśleć i nie zmęczyć się. Brałam do ręki clipboard, listę gości, krótkofalówkę i klikery. To był mój sprzęt, na nim polegałam przez sześć lat. Wtedy nie wiedziałam, ile te rzeczy będą dla mnie znaczyć. Każda z nich nasyciona była sensem. *Clipboard* był najważniejszy, oznaczał Selekcyjerkę. Patrzyło się na niego tysiące razy w ciągu nocy, mógł ocalić ci tyłek. Kłamstwa, tylko o nie w nim chodziło, kłamstwa. Szansa na przemyślenie, sprawdzenie listy, pauza, czas na obmyślenie kłamstwa, zważenie kłamstwa, wymyślenie tekstu, dalej, następny, spojrzenie, wypowiedzenie kłamstwa, dalej, następny. Sprawdzanie listy, sprawdzanie listy przez całą pieprzoną noc. Ale to było kłamstwo. Nigdy nie musiałam sprawdzać listy. Uczylałam się jej na pamięć, zanim zaczęłam. Miałam dysleksję, ale rozwinęła się u mnie nieomal fotograficzna pamięć. Lista oznaczała czas, cenny czas do podjęcia decyzji, ale tłum myślał, że jest ona odpowiedzią. Nigdy nią nie była, tylko kłamstwem. We wszystkim chodziło o kłamstwo. W jaki sposób wypowiadasz to kłamstwo, jak porusza się twoje ciało, kiedy przekazujesz kłamstwo, jakie gesty wykonujesz dłońmi, gdy kłamiesz, i w końcu najważniejszy element kłamstwa – spojrzenie. Musisz patrzeć prosto w oczy, ani przez moment nawet nie mrugnąć, dopóki kłamstwo

nie zostanie przyjęte. Przechodzisz dalej i okłamujesz następną osobę w kolejce, by potwierdzić pierwsze kłamstwo, pauza, uwierz w kłamstwo i pozwól im uwierzyć.

Byłam niezła nie tylko w kłamstwach. Także, gdy chodziło o język mojego ciała, dłonie, ton głosu, sposób, w jaki do ciebie podchodziłam. Wszystko działo się tak szybko. Podejmowałam decyzje co do osób podchodzących do Bramki, wciąż jeszcze z kimś rozmawiając. To było to przedstawienie, ta śpiewka. Mówiłam, gestykulowałam. Obserwowałam samochody na ulicy, patrzyłam na listę, żartowałam z chłopakami, w głowie miałam rozliczenie Bramki. Bez przerwy, przez całą noc powtarzałam te same teksty różnym twarzom, poprawiałam, przystosowywałam moje kłamstwo, wybierałam dla niego dobry moment, wciąż je udoskonalałam.

Wpuszczałam gości z rezerwacjami na kolację, przyjmowałam buziaczki, uściski dłoni, powitania, przytulenia, przedstawianie, dopisz... uważaj... czy widziałaś? a przy okazji... ciągle od nowa, otwierałam Bramkę. Tak działo się jednak tylko na początku. Każda upływająca godzina miała swój plan. O ósmej przychodziłam, przygotowywałam się, dostawałam listę gości na daną noc. Lubiłam, gdy była krótka, poniżej dwudziestu nazwisk. Znanych mi, choć lubiłam i niespodzianki. Jeśli wiedziałam, że ma się pojawić ktoś niezły, na przykład sławny aktor czy gwiazda rocka, odmieniało to całą noc, a ja zmieniałam wszystko na Bramce. W zależności, kto to był, mogłam zostawić miejsce, wpuścić więcej dziewczyn, mniej facetów, rezerwować czas, cofnąć coś. Różne sytuacje wymagały różnej taktyki. Dla Selekcjonera we wszystkim chodziło tylko o miejsce. Ilość, tłum, proporcje mężczyzn do kobiet, mieszanka. Za każdym razem, gdy mówiłam „tak” lub „nie”, musiałam mieć jakiś powód. To właśnie tworzyło klub i Bramkę. Podkreślałam

nazwiska, wykreślałam nazwiska, robiłam obok nich notatki: producent, LD (ładna dziewczyna), REŻ (reżyser), D (dupek), M (modelka), A (aktor), AG (agent), PR (prawnik), GR (gwiazda rocka), KOSZ (koszykarz), PIŁ (piłkarz), HOK (hokeista), PISARZ i wiele innych, oraz notatki typu, o której mają się pojawić, z kim, jakim samochodem przyjadą, przez którą Bramkę się ich wprowadzi, przy którym stoliku mają usiąść, i tak dalej. Potem zazwyczaj konsultowałam to z właścicielami, pytałam o przyjaciół i osoby, których nie było na liście, i tyle. Czas na relaks, można usiąść przy barze, chwilę pomilczeć, wbić w coś wzrok, zamówić drinka, potakująco kiwać głową i myśleć. Sporo przytakiwałam, wiedziałam, co masz zamiar mi powiedzieć. Nienawidziłam wszelkich rozmów na temat minionej nocy. To była przeszłość, idziemy dalej... Musiałam tak żyć. Nigdy nie oglądałam się za siebie. Zanim jeszcze w klubie zaczął się wieczór, chciałam, żeby zostawiono mnie w nim samą, kilka słów z barmanami i tyle. Potrzebowałam czasu, by wczuć się we własną ciszę. Widzieć bar cichy i nieruchomy. Musiałam sobie wyobrazić klub przez całą noc, od początku do końca, rozliczenie klikerów, ilość krzeseł, wszelkie otwarte wyjścia, dostępne dla mnie w nagłym wypadku. Ochrona meldowała się piętnaście minut przed wyjściem na zewnątrz; sprawdzaliśmy krótkofalówki, sprawdzaliśmy pomieszczenia klubu, otwieraliśmy wyjścia, sprawdzaliśmy tylną Bramkę, rozmawialiśmy z pracownikami kuchni, witaliśmy hostessy, kelnerów, barmanów, braliśmy kawę, wkładaliśmy rękawiczki, zakładaliśmy płaszcze, kurtki, wystawialiśmy słupki, zapinaliśmy liny, zamykaliśmy bramkę, sprawdzaliśmy stanowiska ochrony, ustawialiśmy klikery, ustawialiśmy lewe klikery, czekaliśmy...

TOBI

Słuchajcie, chłopaki, chcę widzieć każdy zbliżający się do mnie syf na milę. Chcę widzieć samochody na ulicy, zanim obsługa zabierze je na parking. Chcę widzieć grupki dziewczyn przy następnej przecznicy. Chcę widzieć koło siebie gotówkę, więc uważajcie, bo ja tu dziś się ostro staram, chłopcy, i nie chcę żadnej wpadki. Szef wlaźł na mnie z powodu zbyt wielu facetów w klubie, i wiesz, o co chodzi, księżniczko, bo wy obaj, sukinsyny, mówicie swoim kręcącym dupeczkami znajomym, żeby wpadli tu zobaczyć wasze białe tyłki na Bramce, i mówię wam: dość. Przedstawienie się skończyło, panienki, za wcześniej wpuszczamy zbyt wielu facetów, mam przez to od cholery kłopotów, więc jeśli chcecie wpuszczać znajomych, niech przyjdą w środę, nie w czwartek, bo nie dam rady. (Patrzy na listę). Ja pierdołę, nie mogłaby być ta lista dzisiaj trochę dłuższa. Nie znoszę tej pory, nienawidzę czekania, czuję się jak lew za bramką, czekający na porcję mięsa. Czemu część z tych dupków nie może przyjść przed dziewiątą, chciałabym im powiedzieć, że kluczem do wejścia do jakiegokolwiek klubu jest wczesne przyjscie, ale wiecie, nawet gdybym i powiedziała, dalej przychodziliby o dziewiątej. Mam potworne PMS*. (Patrzy na ulicę). Cholera jasna, idzie ten kretyń z wczorajszej nocy, kiedy to do niego w koń-

* PMS [pi em es] = Premenstrual Syndrome (Zespół napięcia przedmiesiączkowego – przyp. tłum.).

cu dotrze, co? Nie wpuszczę sukinsyna, chłopaki, nie dotykajcie lin...

MEŹCZYŻNA

Witam, co słycać? Hm, jestem na liście, jestem tu umówiony na kolację.

TOBI

Jak nazwisko?

MEŹCZYŻNA

Simms, Gregory Simms, mam się tu spotkać z moim agentem na kolacji.

TOBI

(sprawdza listę, potem patrzy mu prosto w oczy)

Simms... Nie widzę żadnego Simmsa na liście.

MEŹCZYŻNA

Proszę posłuchać, mam tu spotkanie z moim agentem, jestem z nim umówiony na kolację o ósmej.

TOBI

Przykro mi, nie mam nazwiska Simms na liście, proszę mi wybaczyć na moment.

(rozmawia z kolejną osobą, podchodzącą do Bramki)

Nazwisko? Brill... Na którą? Wpół do dziewiątej? Proszę wejść, panie Brill.

TOBI

(zwraca się znów do Simmsa)
Proszę posłuchać, tak jak powiedziałam, nie ma pana na liście.

SIMMS

Właśnie wpuściła pani tamtego faceta.

TOBI

On jest na liście.

SIMMS

Tak jak i ja, ja też powinienem być na liście.

TOBI

Przykro mi, nie ma tu pańskiego nazwiska.

SIMMS

Chcę rozmawiać z menedżerem.

TOBI

Ja tu jestem menedżerem. I, o ile mi wiadomo, już rozmawialiśmy.

SIMMS

Posłuchaj, ile to będzie kosztowało, żebym mógł wejść i spotkać się z moim agentem przy kolacji?

TOBI

Powiedziałam już, że nie mam pańskiego nazwiska na liście.

SIMMS

(coraz bardziej wzburzony)
Ale moje nazwisko jest na liście.

TOBI

Przykro mi, pańskiego nazwiska nie ma na liście.

SIMMS

Pierdolę to, pierdolę ten klub, ciebie też!

TOBI

Do usług, koleś. Nie pogardzę dobrym rżnięciem...

BILLY

Do tego dupka nic nie dociera, co?

TOBI

Dociera, ale on nie chce tego przyjąć. Ostatni raz go tu widziałeś, nigdy już nie przychodzi po tym, jak w końcu do nich dotrze, ale z niektórymi po prostu bywa trudniej, przyjacielu.

BILLY

Co ci się nie podoba w tym koleśiu?

TOBI

Jest zdesperowany, a desperatów nigdy nie należy wpuszczać do Środka. Ani kropli potu, człowieku, jak w reklamie. Niech nikt nie widzi ani kropli twego potu... To oznaka słabości.

BILLY

Nie zawsze, nie zawsze...

TOBI

Cóż, spróbuj zdjąć desperata z jakiejś naiwnej gwiazdki, próbującej się tylko zabawić z koleżankami, a ona pobiegnie do kolejnego zdeperowanego dupka, próbującego wyrwać ją przy barze, karmiącego ją jednym kitem za drugim, i powiedz mi, co będzie łatwiejsze – nie wpuścić go, czy wykopać? Powiem ci, kochanie, odpowiedź brzmi: nie wpuścić skurwela...

BILLY

Znowu racja, siostró. Dalej, dziewczyno!

TOBI

Pocatuj mnie w mój słodki tyleczek. Słuchaj, jeśli ktoś dziś przyniesie jakieś słodycze na Bramkę, to go wpuść. Zabiłabym za kawałek czekolady.

DANIEL

Wystarczy więc kawałek czekolady, żeby wejść?

TOBI

(uśmiechając się)

Czasem tak!

Noc zaczynała się niczym eksplozja. Najpierw przygotowanie, rytuał, to samo co noc. Sposób, w jaki wszystko

robisz, jak wchodzisz, co masz na sobie, kto był na zmianie, jaka była noc, jaki dzień tygodnia, to było ważne, tylko to się liczyło. Pomiędzy środą a sobotą tłum się zmieniał. Jeśli tak to ustawisz, oczywiście, a ja to właśnie robiłam. No wiesz, ty ustawiasz grę, ty decydujesz, jak miejsce ma wyglądać, bo w końcu o twój tyłek chodzi, więc dlaczego się nie postarać, a faktem jest, że oni (tłum) to lubili. Podobało im się, gdy ktoś im mówił, dokąd pójść, i jak się tam dostać. To wszystko, niewielka pomoc. Zadziwiają mnie myśli, jakie nachodziły mnie na Bramce. To dziwne i smutne zarazem, że co noc obdarzałam ich tym swoim szerokim uśmiechem z Kansas, witając ich w piekło, podczas gdy jednocześnie wszystko we mnie umierało. Taa, istniały zasady określające, kiedy mi wolno totalnie wypchać klub itd. Zazwyczaj po jedenastej wrzucałam ten cały śmietnik do środka. Oznaczało to, że wszystkie dobre rezerwacje zostały już wpuszczone. Nadchodził czas rozpoczęcia drugiego aktu przedstawienia. Tak bardzo się między sobą różniły – drużyna A i drużyna B, a czasem była nawet drużyna C! W którejkolwiek drużynie byleś, przynajmniej ją miałeś, ale przeważnie oprócz mnie nikt nie wiedział, czy w ogóle załapałeś się do jakiejś drużyny. Byłam pieprzonym kapitanem i odpowiednio wybierałam drużyny. Jedyne drużyna A w pewnym sensie wybierała się sama, chociaż i wobec niej istniało wiele wymagań, związanych głównie z zakresem jej władzy, a to, jaką pozycję miałeś w Hollywood, automatycznie wyceniało twoją wartość dla mnie i mojego klubu.

Jakie zatem były te wymagania? Jeśli chodzi o mężczyzn, to musieli mieć styl, zdecydowanie własny styl. Oceniałam to po ich ciuchach, samochodach, stanowisku, przyprowadzanych dziewczynach, i czy znali moje prawdziwe imię, czy też posługiwali się pseudonimem. Więk-

szość ludzi używała bramkowej ksywki (Susan); drużyna A znała jednak moje imię i używała go, zwracając się do mnie, a niewielka grupa wybranych aktorów, reżyserów, producentów i kilku pisarzy dostała nawet numer mojej komórki, którą miałam na Bramce. Drużyna A składała się głównie z aktorów, producentów filmowych, sportowców, muzyków, prawników, ogólnie rzecz biorąc sławnych ludzi oraz paru stałych bywalców. Stanowili oni istotną część klubu, bo bez nich klub nie miałby szans istnienia, a zaledwie kilkoro z nich ustawiło cię na całą noc. Kobiety w drużynie A były tak samo ważne jak faceci, ale w zupełnie inny sposób. Ich rangę stanowiła uroda, a i rozległe znajomości z pewnością nie mogły zaszkodzić. Dziewczyna tego czy innego, córka znanego reżysera czy producenta, żona gwiazdora filmowego, dziewczyna, która ma romans ze stałym bywalcem, była żona wziętego aktora, dziewczyna, która mieszka z pewnym producentem, dziewczyna, która stale wodzi za sobą orszak aktorów, dziewczyny prowadzące się ciągle z Jackiem Nicholsonem – te wszystkie króliczki, modelki, aktorki, dziwki, tancerki – śliczny puch, który mógł wypełnić mój klub na kilka godzin i upłynnić sprzedaż drinków, tu tkwiły te cholerne pieniądze. Kobiety oznaczają pieniądze w każdym klubie świata, bo bez nich faceci nie sięgają chętnie do kieszeni. Takie więc miały zadanie i oto drużyna A była w komplecie. Zawsze uważałam, że istnieje jakiś powód, dla którego ci ludzie uważani byli za drużynę A, i właściwie można by pomyśleć, że to oni byli najgorsi, gdy tymczasem wręcz przeciwnie, to cała reszta tłumu przyprawiała mnie o mdłości. Mimo wszystko uwielbiałam być w tym. To był ten biznes, nienawidzisz go, ale jesteś w nim, to niczym zaprzękanie duszy diabłu. Pewnego dnia budzisz się i siedzisz w tym, wierzysz w to, a potem wyprzedza-

jesz, wyprzedajesz i wyprzedajesz, i co ci pozostaje? Nie ma to wielkiego znaczenia, bo jedna świetna noc z drużyną A, klub wypełniony odpowiednimi ludźmi, właściciele uszczęśliwieni, i nagle zostajesz pieprzoną gwiazdą.

Ale ja prowadziłam swoje kluby prosto w górę, żadnych bzdur. Zdawałam sobie sprawę, że to praca zespołowa, nasz wspólny wysiłek, mój i chłopaków, że każdy musiał udźwignąć swój ciężar, poza właścicielami – ci myśleli, że są z nami, ale nigdy nie byli. Jasne, że chroniliśmy ich przed cwaniaczkami, próbującymi wkupić się w interes, byłyśmy dziewczynami, właścicielami budynku czy przedstawicielami władz miasta, ale to nie oni brali na siebie kulę, tylko my, jeśli wiecie, co mam na myśli. Dobra noc miała więc sporo do zaoferowania.

Country cluby* i ciuchy po starszych kuzynach

Kiedy zamykam oczy i wspominam Bloomfield Hills w stanie Michigan, najpierw widzę gruntową drogę, prowadzącą do domu, w którym się wychowałam. Widzę duże drzewa, rosnące wzdłuż ulicy, czuję unoszące się spaliny z ciężarówek służb miejskich, które dopiero co tędy przejechały. Słyszę ich głośnie trąbienie, którym sygnalizują swoją obecność na naszej ulicy. Potem widzę siebie, jak biegnę wzdłuż długiego podjazdu w kierunku dużej, metalowej skrzynki pocztowej, żeby wyjąć pocztę i egzemplarz „Detroit Free Press”. Odwracam się i patrzę na dom, słyszę, jak babcia mnie woła. Mam dziesięć lat. Przyglądam się domowi i widzę biały, świeżo malowany garaż na trzy samochody i okrągły podjazd, prowadzący do frontowych drzwi. Widzę boczne wejście z holenderskimi drzwiami** i przypominam sobie, że górny zamek zawsze się zacinał. Widzę pomieszczenie pocztowe przy garażu przeznaczone na paczki, widzę szafeczkę za czarnym żelaznym stolkiem, gdzie trzymaliśmy klucz, a czasem sami się w niej chowaliśmy, widzę rozległe trawniki z idealnie zaprojektowanymi klombami. Widzę stupek do przywiązywania koni, widzę małego czarnego człowieka trzymającego latarnię. Jest ubrany w bryczesy, czerwony frak i czarny toczek. Ma jasnoczerwone usta,

* Country club – rozległy teren rekreacyjny, zwykle z dużym polem golfowym, dostępny dla zamożnych członków za stałą opłatą (przyp. tłum.).

** Podwójne drzwi o dzielonych poziomo skrzydłach (przyp. tłum.).

perłowobiałe zęby i wielki uśmiech na twarzy. Lubię przywiązywać smycz Twiggy do żelaznego kółka w dłoni dziewczeczka. Patrzę na garaż i widzę orła bielika, którego czarne, żelazne skrzydła rozpościerają się ze wschodu na zachód. Przypatruję się gniazdu sójek. Siadam na podjeździe, czarna bitumiczna nawierzchnia jest czerwcowo gorąca, i patrzę w niebo. Próbuję spojrzeć ponad dachem, ale mój wzrok przykuwa wiatrowskaz. Kogucik pieje z odchyłoną do tyłu głową. Słyszę ten dźwięk w głowie. Naśladowując koguta, odchylam głowę i głośnie pieję „kukuruku”, aż w końcu się męczę. Kogucik dezorientuje mnie, gdy przypatruję mu się z różnych stron. Wstaję z rozpostartymi rękami, by określić, gdzie jest północ, a gdzie południe według strzałek, ale znowu czuję się pokonana. Znowu zostałam bez odpowiedzi, nie wiedząc, że nigdy nie zobaczę tych strzałek tak, jak widzą je inni, ci bez mojej ułomności, bez mojej nieszczęsnej dysleksji.

Z całą swobodą mojego dziesięcioletniego ciała kładę się na podjeździe, nie czując bólu kości ani zbytecznego tłuszczu, który odkłada się teraz tu i ówdzie na mojej sylwetce. Tracę z oczu kogucika i szybuję po niebiosach, chmury chwytają mnie, a ja na błękitnym jak ocean niebie maluję swoje marzenia. Wyobrażam sobie siebie już jako dorosłą: moje osiemnaste urodziny, dostaję swój pierwszy samochód, zakładam sukienkę na bal maturalny, włosy niczym moja Barbie mam całe w różowych wstążkach, mama i tata znów są razem, szczęśliwi, machają mi na pożegnanie, gdy wchodzę po stopniach któregoś z budynków Ivy League*. Wyciągam obie ręce do nieba, by dotknąć chmur, pochwyć marzenia i schować je

* Grupa elitarnych uniwersytetów w płn.-wsch. stanach (Brown, Columbia, Cornell, Dartmouth College, Harvard, Princeton, University of Pennsylvania i Yale – za: The New Kosciuszko Foundation Dictionary – przyp. tłum.).

w sercu. Chmury przepływają przeze mnie i nade mną, i choć usilnie staram się je schwytać, moje marzenia odpływają i zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda mi się złapać choć jedno z nich. Martwi mnie jedynie to, że słońce w końcu się schowa, i znów będę musiała czekać kolejne dwanaście godzin, by móc malować marzenia na świetlistym niebie.

BABCIA

Tobi, Kane, kolacja. (pod nosem) Gdzież, na Boga, podziewają się te dzieciaki? Tak jakby ten bażant mógł ot tak sobie na nie zaczekać. Bóg jeden to wie, ale nie czekają tam chyba na zbawienie.

(krzyczy)

Dzieci, chodźcie, robi się ciemno, zaziębicie się na śmierć! Wiecie, że nie wszystkie wnuki mają tyle szczęścia jak wy dwoje, żeby co wieczór dostawać takie dobre jedzenie. Nie każdy jest takim szczęściarzem, zapamiętajcie to sobie. A teraz chodźcie i pomóżcie mi nakryć do stołu. Dziadek wróci lada chwila.

TOBI

Babciu?

BABCIA

Tak?

TOBI

Po co trzymasz tyle tych plastikowych pojemników i szklanych butelek pod zlewem? Nigdy nie widziałam, żebyś ich używała...

BABCIA

Cóż, moje dzieci, gdybyście jak ja przeżyły wojnę, bardziej doceniłybyście różne rzeczy. Wtedy nie było takich pojemników i butelek, więc je sobie trzymam, bo one wciąż mają dla mnie jakąś wartość. Sami się przekonacie, pewnego dnia najdrobniejsze rzeczy nabiorą dla was dużego znaczenia, szczególnie, jeśli już ich nie będziecie mieli.

TOBI

Co jeszcze było wtedy dla ciebie ważne?

BABCIA

Moja rodzina, siostry i bracia, nasz dom i wszystko, co tylko udało nam się zdobyć do jedzenia, bo nietawo było wtedy o pieniądze, ojcu nie zawsze udawało się znaleźć pracę i zimą zdarzało się czasem, że okrutnie zmarliśmy.

KANE

Babciu, co dziś jest na kolację?

BABCIA

Bażant. Wasz dziadek był na polowaniu i przyniósł do domu ładnych parę sztuk. To właśnie mamy dziś wieczorem na kolację, wnusiu, do tego brukselka i buraczki z ogródka na północy.

TOBI

Babciu, czy mama dzwoniła?

BABCIA

Tak, dzwoniła wcześniej i powiedziała, że będzie w domu po kolacji, i że zanim pójdziecie spać, możecie pooglądać *The Brady Bunch* i *Rodzinę Partridge'ów*.

KANE

Dlaczego mama wraca zawsze do domu tak późno?

BABCIA

Bo musi pracować, żeby was utrzymać. Ktoś musi się wami opiekować, a mama robi to zupełnie sama. Kiedy dorośnięcie i założycie własne rodziny, zobaczycie, że czasem w życiu bywa naprawdę ciężko.

KANE

Ale ja za nią tęsknię, a jej nigdy nie ma.

BABCIA

Przestańcie już teraz marudzić i pospieszcie się z jedzeniem, zanim wystygnie, dziadek wróci do domu i zobaczy pełne talerze...

TOBI

Babcu, czy jutro na kolację możemy dostać zapiekanki z serem. Już mi się niedobrze robi na widok tego bażanta...

BABCIA

Zobaczmy. Ale najpierw musicie się dostać do Klubu Pustych Talerzy, zanim będzie mo-

wa o zapiekankach z serem na kolację, moja młoda damo. A nie zapominajcie o buraczkach, schylałam się setki razy, żeby je wyrwać z ziemi, a muszę wam powiedzieć, że na dworze było bardzo gorąco. I nie mówcie dziadkowi, gdy przyjdzie, że zapomnieliśmy o modlitwie dziękczynnej, bo będzie z nami koniec. No dalej, mniej gadania, więcej jedzenia.

TOBI

Czy tatuś dzisiaj dzwonił?

BABCIA

Nie, kochanie, nie dzwonił, ale teraz już dośyć, zjadajcie czym prędzej albo możecie zapomnieć o oglądaniu telewizji.

Jeśli pochodziliście z Bloomfield Hills w stanie Michigan, miałeś uprzywilejowane życie. Przynajmniej trzeba było w to wierzyć, bo tak mówili dorośli. To jedno z tych miejsc, dzięki któremu – po dziś dzień – jeśli powiem ludziom, skąd pochodzę, natychmiast zyskuję etykietkę: bogata WASP*, dobre wykształcenie, rodzina prawdopodobnie na wyższych szczeblach biznesu motoryzacyjnego. Dorastanie w tym bajkowym miejscu pełnym pozorów i próba zejścia na ziemię w prawdziwym świecie były same w sobie nie lada wyczynem, ale w tym samym czasie zawsze tłumaczono mi, że nigdy nie będę musiała opuścić tego utopijnego miasta, bo wszystko cokolwiek znajdę poza jego granicami, nigdy nie będzie tak dobre.

* WASP = White Anglo-Saxon Protestant, przedstawicielka białej elity amerykańskiej pochodzenia anglo-amerykańskiego (przyp. tłum.).

Cóż, nie wierzyłam w to ani przez chwilę. Jak wtedy, gdy babcia zabrała mnie do warsztatu, żebym zobaczyła, jak dmucha się szkło, a sklepik obok, w którym sprzedawano małe szklane cacka i wazony, miał wszędzie umieszczone tabliczki: Prosimy nie dotykać. Chciałam tylko dotknąć tego głupiego szkła, ale napisy wprawiły mnie w poczucie takiego ograniczenia, że miałam ochotę wszystko potłuc. Te wszystkie bzdury, ile to niby mam szczęścia, że mogę dorastać w takiej pięknej dzielnicy, sprawiały tylko, że miałam ochotę uciec gdzieś i udowodnić im, że nie mają racji. Chciałam przynieść tu cały świat, rzucić im na ich pieprzoną srebrną tacę i powiedzieć: „Patrzcie no drętwi starcy, zobaczcie, co przegapiacie!”. Ale wtedy miałam zaledwie dziesięć lat i wszystko to wydawało się odległym snem.

* * *

Lekcje aktorstwa rozpoczęły się w mojej rodzinie wcześniej. Zasady były proste. Zatrzymuj wszystko w sobie. Jeśli masz problem, poradź sobie z nim sama. Ale przede wszystkim – pamiętaj o dobrych manierach. Maniery bowiem oznaczały, że dobrze cię wychowano. Dobre wychowanie było wszystkim w Bloomfield Hills. Maniery przydawały się bardzo wobec gości i na spotkaniach dorosłych. Wszystko wtedy wychodziło na jaw: czy matka dobrze cię wychowała, były także dobrym odbiciem całej rodziny. Dla mnie oznaczały jedynie większość lat mojego dzieciństwa spędzonych przy stoliku dla dzieci podczas tych ceremonii, i to, jak bardzo byłam nieszczęśliwa w za ciasnych białych lakierkach z poprzedniej Wielkanocy i ciepłych prążkowanych rajstopach, zawsze zwisających mi w kroku, jako że byłam wysoka na swój wiek, a które ocierały mi uda, tak że

skóra zaczynała mnie swędzieć. Maniery zawsze kojarzyły mi się z jakimiś torturami. Czy to chodziło o strój, jaki mieliśmy założyć, czy o nudne uroczystości, w których kazano nam uczestniczyć, wszystko to wydawało mi się zwykłą stratą czasu. Nie miałam jednakże żadnego wyboru, więc jakoś dostosowywałam się do większości z tych obowiązków. Było to dla mnie ciągłym udawaniem. Miałam tylko grać wybrane role. Rolę bogaczki. Rolę szczęśliwej dziewczynki. Rolę dobrze przystosowanej, bez oglądania się na świat. Te lekcje miały mi się potem bardzo przydać.

W DAMSKIEJ TOALECIE, OAKLAND HILLS
COUNTRY CLUB, BLOOMFIELD HILLS,
MICHIGAN

MAMA

Kochanie, nie mamy dla siebie całego dnia. Dziadek jest tu z ważnymi klientami, a my siedzimy w toalecie już od dwudziestu minut. Jeśli jest ci niedobrze, zabiorę cię do domu.

TOBI

Nie jest mi niedobrze.

MAMA

To o co ci znów chodzi? Wiesz, że robisz to za każdym razem, kiedy wychodzimy na kolację? Jesz niewłaściwie jedzenie, a potem spędzamy połowę czasu w łazience, bo jest ci niedobrze.

TOBI

Już ci powiedziałam, że nie jest mi niedobrze!

MAMA

Świetnie, a więc nie jest ci niedobrze. To dlaczego nie chcesz wyjść z toalety?

TOBI

Nie powiem ci, bo się zezłosisz.

MAMA

No cóż, zezłoszczę się jeszcze bardziej, jeśli to potrwa dłużej. Chodź, idziemy, mówiłam ci, że wszyscy czekają na nas przy stoliku.

TOBI

Nie chcę tam wracać. Tam jest nudno. Ci wszyscy starcy gadają o rzeczach dla starców, a poza tym nie znoszę tej sukienki. Jest za mała i nie moja.

MAMA

Mówiłam ci, że nie stać mnie, żeby ci kupić nową sukienkę w tym tygodniu. Może w przyszłym wybierzemy się na zakupy.

TOBI

Zawsze tak mówisz, a potem muszę nosić ciuchy po kimś, nienawidzę ich, są brzydkie!

MAMA

Posłuchaj, młoda damo, masz jakieś pięć sekund albo wróć tam i zrobię z ciebie idiotkę, mówiąc tym wszystkim biednym ludziom przy stole, że nie możemy zjeść kolacji, bo nie masz zamiaru wyjść z toalety. Jak uważasz, czy powinnam to powiedzieć?

TOBI

Dobra, wychodzę, ale nie mam zamiaru siedzieć z tymi nudziarzami.

MAMA

W porządku, posłuchaj więc. Powiedz, na miły Bóg, czy choć raz mogłybyśmy gdzieś wyjść bez tego całego cyrku?

TOBI

No, może, gdybyśmy poszły tam, gdzie ja lubię.

MAMA

A gdzie to jest?

TOBI

U taty.

Z tego, co pamiętam, kiedy moi rodzice się rozstali, miałam jakieś dwa latka. Przeprowadziliśmy się do dziadków i zaczęliśmy nowe życie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że było przedtem jakieś inne życie, ale okazało się, że tak, przynajmniej ja miałam je jeszcze chwilę wcześniej, ale mieszkanie w ubogiej części miasta w małym białym domku, wyglądającym na ciasny i ponury na oglądanych przeze mnie polaroidach, nie wydawało mi się czymś szczególnie ekscytującym. Pamiętam zdjęcie, na którym jestem z tatą; myjemy samochód w gorący letni dzień; na mojej koszulce z dużym napisem „LOVE” w podstawowych kolorach widzę z boku nadrukowane '67. Włosy mam obcięte na pazia, biegam i śmieję się, gdy tata oblewa mnie na żarty wodą z węża. Tata wyglądał szczupło i młodo, gdy stał obok swojego czarnego

cadillaca, trzymając szlauch i szczotkę. Mój brat także jest na zdjęciu. Ma trzy latka i myje jedną z opon, w podwiniętych do kolan dżinsikach. Jest tam też czarny owczarek australijski, ze śliniaczkiem z białego futerka wokół szyi; skacze, próbując złapać wodę ze szlauchu. Powiedziano mi, że miała na imię Missy. Jedyne, co wiedziałam na temat swojego początku, to ten polaroid.

Przeprowadzka do moich dziadków była dużym krokiem w górę, ale jestem pewna, że dla mojej matki był to krok w dół. W roku 1968 większość przyjaciółek matki, włączając w to jej obie siostry, była już zamężna. Ona miała dwoje dzieci powyżej drugiego roku życia, była bez pracy, bez domu. Jej próba rozpoczęcia własnego życia się nie powiodła. Nie pamiętam dnia przeprowadzki ani jaki był miesiąc, pamiętam tylko, że mieszkałam tam od zawsze. To był mój dom. Tu zaczęło się moje życie.

Uwielbiałam mieszkanie z dziadkami. Zawsze ktoś się kręcił po domu, na przykład Clidey, gosposia, która była dla nas jak członek rodziny. Jej krok świadczył o latach ciężkiej pracy i sile, której potrzebowała, by każdego dnia wstać z łóżka do obowiązków. Jej sprzątanie było powolne i metodyczne. Jej myśli odznaczyły się zmarszczkami na twarzy. Czulałam się przy Clidey jak rozwydrzony bachor, tak sobie mieszkając w domu, który ona musiała sprzątać. Nienawidziłam myśli, że to właśnie ja mieszkam w tym domu, który ona musi sprzątać. Nie rozumiałam tego. Nie rozumiałam jej bólu ani wymownego spojrzenia, jakie mi rzucała, gdy podnosiła moje porzrzucone zabawki i brudne ubrania. Ale kochałam ją. Wypełniała życiem mój pusty dzień, każdego dnia przytulając mnie mocno i uśmiechając się na pożegnanie. Kiedy Clidey była zbyt zajęta, by robić jej psikusy, pozostawał jeszcze ogrodnik Leonard. Wysoki, szczupły Murzyn z Detroit, z nieodłącznym zapalonym salemem w ustach i grabiami w dłoni. Leonard zwykle był sam, ale od czasu do czasu brał w rękę piłkę do koszykówki, żeby

porzucać trochę ze mną i z moim bratem. Kosił, pielil, przycinał żywoplot, zmywał podjazd wodą w lecie i odgarniał śnieg z chodników w zimie. Pomagał mi sprzedawać lemoniadę graczom w golfa, przyjeżdżającym na dziewięciodłukowe pole za naszym domem. Co jakiś czas zabierał Twiggy na spacer, ale przeważnie byłam po prostu szczęśliwa, że mam obok kogoś, z kim mogę pogadać, a Leonard zawsze miał dla mnie dobry kawał z serii „Puk, puk”. Byli też moi dziadkowie, o ile nie odbywali którejś ze swych podróży. Przeważnie było co robić i co wymyślać. Dom dostarczał niekończących się odkryć. Pokój za pokojem wypełnione były różnymi rzeczami, które trzeba było poznać, a ponadto książkami i obrazkami. Mogłam godzinami przesiadywać w bibliotece, przeglądając stare numery „National Geographic” bądź wertując książki kucharskie. Moja babcia zbierała książki z każdego odwiedzanego przez nią miejsca, a przede wszystkim książki z wykładów na temat kolekcjonowania antyków i renowacji, na które pilnie uczyła. Książki zresztą dotyczyły wszystkiego, od życia Amisów po historię piramid egipskich. Nie mogłam zadać ani jednego pytania, żeby babcia nie zaciągnęła mnie zaraz do biblioteki i nie dobrała mi odpowiedniej lektury.

Stamtąd zazwyczaj udawałam się przez hall do salonu. Uwielbiałam go, jako że był zwykle zakazany. Miał w sobie pewną aurę odświętności. Był też idealną sceną dla mojej wyobraźni, do zabawy w książniczkę czy w cokolwiek, gdy chciałam być dostojna i wytworna. Lubiałam urządzać w nim swoje herbatki na niby, bo część znajdujących się tam antyków była filigranowa, przez co czulałam się większa i trochę starsza. Było tam także pianino. Kiedy babcia była w szczególnie dobrym nastroju, pozwalała nam na nim grać. Rzecz jasna, znaliśmy tylko jedną melodię: „Wlazł kotek”. Po jakiejś godzinie grania jej w kółko zwykle nas uciszano. Nadal jednak

lubiłam udawać, że gram na pianinie, kiedy było zamknięte. To, że mogłam w tym pokoju czuć się jak osoba dorosła, sprawiało, że życie dziecka stawało się łatwiejsze. Tak często, jak tylko było to możliwe, zakradałam się do salonu i odpływałam w marzenia. Ćwiczyłam też siedzenie prosto na sofie, z filiżanką herbaty w dłoni, udając, że właśnie odbywa się popołudniowa herbata w gronie dam, rozmawiających z ożywieniem, i śmiejących się często. Podchodziłam do kominka i oglądałam porcelanowe ptaszki, zbierane przez babcię, i dotykałam każdego z nich delikatnie, by nie przesunąć go ani o cal. Wypełniałam w wyobraźni pomieszczenie rozmaitymi paniami, które widziałam u babci podczas spotkań brydżowych. Rozsadzałam je po pokoju na różnych krzesłach i prowadziłam z nimi konwersacje, udając panią domu. Opowiadałam o nowym bibelotku, który znalazłam przypadkiem, gdy kupowałam antyki, o różach z mojego rosarium, częstowałam je ciastem i herbatnikami, nalewając im herbaty. Zanim zdążyłam się ocknąć, mijały godziny, a ja przeżyłam w tym salonie kolejny dzień mojego sekretnego życia z wymyślanymi damami.

DOM W BLOOMFIELD HILLS, BROOKDALE ROAD
W ELEGANCKIM SALONIE

Szyk klasy wyższej z lat siedemdziesiątych. Proste kolory, antyki, szklane, ręcznie dmuchane przyciski do papieru, kolekcja porcelanowych ptaszków, krzesła salonowe, zegar dziadka, organy, jedwabne żółtozielone zasłony i poliestrowe firanki.

TOBI

Och, Samanto, jakie to cudne! Jak słodko, że o mnie pomyślałaś. Cóż za piękna sójka. Będę

ją kochać i myśleć o tobie za każdym razem, gdy na nią spojrzę.

SAMANTA

(zmiana krzesel)

No cóż, prawdę mówiąc, wiąże się z nią pewna historyjka i czuje, że muszę ci ją opowiedzieć. Znalazłam ją podczas kościelnej wenty dobroczynnej zeszłej jesieni, na którą obie podrzuciłyśmy rzeczy. Kątem oka dostrzegłam tego ptaszka. Czy dasz wiarę? Siedział sobie wśród tych wszystkich rzeczy na starym pudle z książkami, czekającymi na przyjęcie. Jak można się było spodziewać, poszłam prosto tam, podczas gdy ty wypakowywałaś resztę rzeczy z samochodu; wzięłam go do ręki i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jasno jak słońce, widniał na nim stempel Staffordshire z napisem England tuż pod spodem figurynki. Pomaszerowałam z nim prosto do Rose i kazałam jej ptaszka zapakować, mówiąc, że mam zamiar ci go wręczyć w jakiś deszczowy dzień!

TOBI

(zmiana krzesel)

Jesteś aniołem, że o mnie pomyślałaś, a ja cieszę się, że dziś padalo!

(Podchodzi do kominka i stawia ptaszka wśród pozostałych).

O tu. Doskonale. Teraz ma przyjaciół.

TOBI

(udaje, że słyszy dzwonek do drzwi)

To na pewno pozostałe panie. Wybaczcie mi, proszę...

TOBI

Och, witaj, kochanie. Cudownie, że przyszedłaś. A któż to?

CYNTHIA

To moja wnuczka Callie, przyprowadziłam ją, abyście mogły ją poznać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

TOBI

Ależ skąd, nie mów głupstw.
(wyciąga dłoń do Callie)

Miło cię poznać, Callie. Proszę wejść. Clidey, moja gosposia, upiekła dziś pyszne babeczki. Może spróbujesz? Są z jagodami.

CYNTHIA

Och, naprawdę, nie powinnyśmy. Właśnie zjadłyśmy lunch w Klubie, a wiesz przecież, że próbuję trzymać linię. Dick każe mi chodzić na wszystkie służbowe kolacje w mieście i przybyło mi kilka funtów. Ale okay, co mi tam, tylko kilka kęsów, no nie?

TOBI

No cóż, chciałam przede wszystkim podziękować wam, że przyszyście tu mimo deszczu. Bóg jeden wie, jak bardzo mamy go już dość. Jednakże zawsze dobrze was widzieć w słońce czy w deszcz. Jedyną sprawą, jaką musimy dziś omówić, zanim przejdziemy do brydża, będzie bal dobroczynny Klubu Kobiet. Poproszono mnie o zorganizowanie

kwiatów do przystrojenia wejścia do sali głównej. Nadal potrzebujemy ochotniczek do innych pomieszczeń.

SAMANTHA

(zmiana krzesel)

Och, posłuchaj, kochanie, wiesz dobrze, że zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale w tym tygodniu nie będzie nas w mieście. Jadę z Dickiem do jego klienta w Ohio, więc przykro mi, ale nie będę ci mogła pomóc.

TOBI

(zmiana krzesel)

W porządku, kochanie. Już nawet o tym nie myśl. Ja tak tylko napomknęłam. Może uda ci się w przyszłym roku?

(głośne stukanie do drzwi salonu)

BABCIA

Tobi, jesteś tam? Chodź, kolacja czeka od piętnastu minut, ostygnie w końcu, jak będzie tak stała na stole. Chodź, pospiesz się, panieneczko! Z kim rozmawiałaś?

Oglądanie wystaw sklepowych było dla mojej matki ulubioną formą spędzania wolnego czasu. Zazwyczaj odbywało się to w piątkowy wieczór, kiedy dostawała wypłatę. Jechałyśmy wtedy do miasta, zwykle do Birmingham, żeby pochodzić ulicami i podziwiać te wszystkie śliczne rzeczy. Nie pamiętam, żebyśmy faktycznie wchodziły do któregoś ze sklepów, być może były zamknięte, ale pamiętam za to, jak matka pokazywała mi rzeczy, które kupiłaby, gdyby wygrała na loterii. Wtedy

właśnie zdałam sobie sprawę, że jesteśmy biedni. Trudno było dziecku pojąć, jak to możliwe, żeby mieszkać w takim pięknym domu i jednocześnie nie mieć pieniędzy na zakup tych wszystkich atrybutów zamożności. Te przechadzki dały początek snuciu wspaniałych fantazji.

Kiedy matka trzymała mnie za rękę, wyobrażałam sobie, że pewnego dnia będę księżniczką w pięknej sukni z domu towarowego Jacobsona i stać mnie będzie na kupno każdej sukienki, jaką tylko zechcę, i że pewnego dnia przestaniemy jedynie oglądać wystawy, lecz wejdziemy do sklepu i pozwolimy sprzedawczyniom skakać wokół nas, gdy będą przedstawiały nam najnowsze fasony modnej kolekcji. Ale gdy tak trzymałam ją za rękę i przechodziliśmy przez ulicę, wiedziałam, że zmierzamy już w stronę domu. Domu, który kojarzył mi się z pożyczką, miejscem, w którym zatrzymaliśmy się tylko na chwilę. W jakiś sposób jednak, po kilku godzinach oglądania, mojej matce udawało się sprawić, że czułam, jakbyśmy kupiły cały świat. Byłam zmęczona i wyczerpana od natłoku informacji, bijących w oczy podczas takiej wyprawy do miasta, a matka w samochodzie, w drodze do domu opowiadała bez przerwy o rzeczach, które pewnego dnia sobie kupimy. Niezbyt pojmo wałam wtedy, czym tak naprawdę są pieniądze, ale rozumiałam jedno, że dzięki nim pewnego dnia uda mi się kupić marzenia, malowane w dzieciństwie na niebie. Zrozumiałam też, że brak pieniędzy sprzyjał kielkowaniem poczucia wstępu, do którego powoli zaczynałam już przywykać. W tamtych latach ukształtował się mój charakter i wizja świata. Postrzegałam więc ów świat jako miejsce, w którym mogłam udawać cokolwiek, co przyszło mi do głowy. A więc mogłam udawać, że jestem bogata, mogłam udawać, że te wszystkie wydarzenia z przeszłości nigdy nie miały miejsca, mogłam wymyślić swoją przyszłość.

Nauczyłam się udawania, aby jakoś przetrwać, i jedynym niewielkim problemem było to, że kiedyś wszystko może się wydać.

BIRMINGHAM, MICHIGAN – PIĄTKOWY WIECZÓR

Miejsce sklepy z ubraniami, wina i sery dla smakoszy, damskie obuwie, dom towarowy Crowley'a, kawiarenka i lodziarnia Sandera, dom towarowy Jacobsona.

W KAWIARENCE SANDERA

Róż i biel, aura soda-shopu* z lat pięćdziesiątych. Wnętrze jasno oświetlone. Mama, Tobi i Kane siedzą przy barze i zamawiają deser lodowy z gorącym karmelem.

TOBI

Mamo, dlaczego w każdy piątek wieczorem idziemy oglądać wystawy?

KANE

Zamknij się!

TOBI

Sam się zamknij!

MAMA

Dobra, spokój. Czy moglibyśmy spędzić choć jeden wieczór bez waszych kłótni? Usiądźmy sobie i zjemy do końca deser, a potem pójdziemy pooglądać wystawy. W porządku?

* W USA: miejsce z napojami gazowanymi i słodyczami (przyp. tłum.).

KANE

Ale dlaczego ona zawsze musi zadawać takie głupie pytania?

TOBI

Dlaczego niby to pytanie jest głupie? Chcę wiedzieć, dlaczego nigdy nie wchodzimy do żadnego z tych sklepów i dlaczego zawsze tylko oglądamy wystawy.

KANE

Bo tak, kretynko! Nie mamy po prostu pieniędzy, żeby kupić którąś z tych rzeczy!

TOBI

No, a dlaczego nie mamy pieniędzy na te wszystkie rzeczy, które oglądamy?

KANE

Kazałem ci się zamknąć!

MAMA

No dobra, wystarczy. Mam już tego dość. Nie mogę, po prostu, zwyczajnie nie mogę. Albo przestaniecie się przepychać, albo wracamy do domu.

(Mama wstaje i idzie do toalety).

KANE

Widzisz? Widzisz, co narobiłaś? Zmartwiłaś ją. Jesteś tak cholernie głupia. Nie wiesz, że nie mamy teraz pieniędzy? Nie wiesz, że tata nic nam nie przysyła? Oglądamy wystawy, bo

jesteśmy biedni. Jesteśmy biedni, OK? Zaakceptuj to.

TOBI

(z płaczem)

To jak możemy zdobyć więcej pieniędzy? Jak to się stało, że mieszkamy w takim dużym domu?

KANE

Mieszkamy w dużym domu, bo on nie jest nasz, tylko babci i dziadka. Zabrali nas tylko dlatego, że tata nas opuścił. Przestań więc martwić mamę tymi głupimi pytaniami, OK?

TOBI

OK...

Mama wraca z łazienki, ocierając łzy z oczu.

MAMA

Dzieci gotowe na zakupy?

TOBI I KANE

Taa...

KANE

Mamo, czy mogę pójść pooglądać wystawę sklepu sportowego?

MAMA

Tak, ale spotkamy się tu za dwadzieścia minut. Kane odbiega, żeby obejrzeć najnowszy sprzęt do hokeja, a mama i Tobi idą w stronę wystawy Jacobsona.

MAMA

Kochanie, czy wiesz, dlaczego oglądamy wystawę?

TOBI

Tak.

MAMA

Dlaczego?

TOBI

Bo chcesz, żebyśmy mieli marzenia.

MAMA

Tak, dlatego, poza tym chcę też, abyście dowiadawali się różnych rzeczy jedynie je oglądając, żeby zobaczyć, ile są warte. Chcę, byście dobrze przyjrzeni się życiu, zanim zdecydujecie się zrobić krok w nieznaną. Rozumiesz? Nie chodzi jedynie o to, że nie stać nas na te wszystkie piękne rzeczy, ale chcę, żebyście zrozumieli, że nie potrzebujecie tego wszystkiego do szczęścia, że czasem lepiej popatrzeć, niż kupić...

TOBI

(patrzy na dziecięcą wystawę Jacobsona)

Widzisz te rajstopy, o tam? Mają ładny kolor. A tego niedźwiadka polarnego na schodach? Tego z różową wstążką? Okropnie mi się podoba. Jest taki śliczny. Jak myślisz, ile kosztuje?

MAMA

Nie wiem, pewnie dużo! Ale wiesz, że zbliżają się twoje urodziny, więc może mogłabyś dopisać go do listy?

TOBI

Na pewno to zrobię. Myślę, że nazwałabym go Polarek, bo to polarny miś.

MAMA

Pójdziemy obejrzeć biżuterię?

TOBI

OK.

Podchodzą do sklepu z biżuterią Goldmana.

MAMA

Widzisz te kolczyki? Te złote kółka z tyłu pudełka? Bardzo mi się podobają, mają klasę. Ale kosztują tysiąc dolarów. Chciałabym je mieć, są doskonałe. Co o tym sądzisz, myślisz, że są warte swojej ceny w złocie?

TOBI

Co to znaczy „warte swojej ceny w złocie”?

MAMA

To znaczy, że jeśli kosztowałyby tysiąc dolarów i naprawdę by ci się podobały, to czy zapłaciłabyś tyle nawet wtedy, gdybyś mogła je kupić taniej w mniej luksusowym sklepie?

TOBI

Myślę, że kupiłabym je w tańszym sklepie.

MAMA

Dokładnie. Więc widzisz, dlatego właśnie oglądamy wystawy, żeby się trochę zorientować, a gdy coś z tego, co widzimy, naprawdę nam się spodoba, spróbujemy znaleźć to gdzieś taniej. Tak właśnie robisz zakupy. Nigdy nie kupuj pierwszej rzeczy, którą zobaczyłaś. Zawsze obejrzyj, zanim kupisz, i nie chodzi tylko o zakupy. Tak samo jest ze znajomymi, pracą, wszystkim, co robisz. Zawsze obejrzyj to, czego chcesz, pod różnym kątem, potem dopiero podejmij decyzję, czy naprawdę tego potrzebujesz. Rozumiesz, mała...?

TOBI

Tak, rozumiem.

MAMA

Patrz, idzie twój brat.

(Do Kane'a)

Widziałam już u ciebie ten wyraz twarzy. O co chodzi tym razem, jakiej to części hokejowego wyposażenia nie będziesz mógł mieć?

KANE

Chodź, to ci pokażę.

MAMA

Dobrze, pójde i zobaczę, ale pamiętaj, że tylko oglądam.

(Uśmiecha się do Tobi).

Duże worki na śmieci na progu domu oznaczały, że przyjechała porcja ubrań po moich kuzynach. Nienawidziłam ciuchów po nich, bo przypominały mi, że jesteśmy biedni. Nie mogłam patrzeć na moją matkę, jak wyciąga te ubrania i próbuje wzbudzić we mnie radość, gdy przegrzebywała worki w poszukiwaniu nowego stylu i rzeczy, które wciąż jeszcze miały metki. Nienawidziłam patrzeć na jej twarz, gdy myślała o tych wszystkich pięknych nowych ubraniach, które dopiero co widzieliśmy na wystawach i zawstydzac ją tym, że nie może ich dla mnie kupić. Zastanawiałam się, czy przeklina swojego ojca, kiedy w niekontrolowanym napadzie płaczu przymierzałam te ubrania, i czy jej naleganie, żebym wybrała sobie jakiś ciuszek, miało być drobną rekompensatą za te wszystkie rzeczy, które widzieliśmy bez szansy na kupno. Czy też może jej niespełnione sny powodowały, że chciała, żebym czuła się ładna? Jej często powtarzane inspirujące powiedzenia, takie jak „Nieważne, co na zewnątrz, liczy się to, co w środku”, tylko mnie dezorientowały. To był nieustanny teatr masek. Tak naprawdę chciała mieć te nowe ubrania z wystawy, a stare tylko pogarszały sytuację. Ale jeszcze bardziej pragnęłam zobaczyć, jak moja matka wręcza mi te rzeczy. Chciałam ujrzeć wyraz jej twarzy, gdy kupuje mi te śliczne sukienki, zobaczyć u niej szacunek dla samej siebie, gdy może za nie zapłacić. Przede wszystkim chciałam, by skończył się jej ból. By przestała się obwiniać za odejście naszego ojca. Żeby mi po prostu powiedziała, dlaczego nie zadzwonił w urodziny ani w Boże Narodzenie, zamiast jej desperackich prób wynagrodzenia mi tej straty. Pragnęłam, by czuła się dumna z faktu, że sama utrzymuje dwójkę dzieci za sto dolarów tygodniowo. Żeby w końcu o nim zapomniała. Ale ona chciała, żebym czuła się ważna i kochana. Oglądanie

wystaw było edukacją, ciuchy po kuzynach rzeczywistością, a to była lekcja, którą próbowała mi dać. Tak desperacko starała się pokazać mi tę inną stronę świata, to, co pewnego dnia będę mogła mieć. W tym samym czasie chciała, żebym poznała także brutalną rzeczywistość. Nigdy nie nosiłam żadnych używanych ciuchów, ale za każdym razem wybierałam kilka ze stosu, żeby mojej matce poprawić samopoczucie i zakończyć proces upokarzania.

Za wypłatę mojej matki kupowałyśmy kosmetyki. Lakier do paznokci, maseczki, odżywki do włosów, balsam No More Tears do rozplątania moich długich, zmatowiałych włosów – były na początku listy. Nasza łazienka przypominała salon piękności. Byłam króliczkiem doświadczalnym dla każdego nowego produktu. Mawiała: „Wypróbuję to na tobie. Najpierw musisz umyć twarz mleczkiem. Nigdy nie używaj mydła. Wyszuszy ci skórę. Zawsze używaj mleczka, a potem rozgrzej twarz gorącą myjką, żeby otworzyć pory. Zawsze używaj myjki, bo działa na skórę jak peeling. Potem zmyj i natychmiast oplucz twarz zimną wodą, żeby zamknąć pory i zapobiec zmarszczkom”. Siedziała ze mną w łazience godzinami, wypróbowując przed lustrem wszelkie upiększające wynalazki.

Była mistrzynią manikiuru i pedikiuru. Wkładała mi stopy do umywalki wypełnionej ciepłą wodą z paroma kropkami oliwki dla dzieci i kazała mi je moczyć przez jakieś piętnaście minut. Po dziesięciu minutach miałam włożyć palce do wody i przez ostatnie pięć minut moczyć paznokcie. Następnie wycierała mnie, sadzała przed telewizorem, włączała *Sonny and Cher Show* i robiła mi manikiur i pedikiur, powtarzając przez cały czas: „Ważne, żebyś potrafiła samodzielnie to sobie zrobić, bo jeśli pewnego dnia nie będzie cię stać na zrobienie ich u ma-

nikiurzystki, zawsze możesz wyglądać tak, jakby ten problem nie istniał”. Sądziła, że jeśli poprowadzi mnie w stronę pielęgnacji urody, to – niezależnie, co się wydarzy – zawsze będę mogła polegać na swoim wyglądzie. Przynajmniej taki docierał do mnie przekaz, który wydawał się dość jasny przy tych wszystkich kremach, specjalnych pędzelkach i technikach, które mi pokazywano – że pewnego dnia wszystko to nabierze znaczenia. Jednakże gdy miałam zaledwie dziesięć lat, wydawało mi się to po prostu absurdalne.

W te noce, gdy robiła mi manikiur i pedikiur, spałam z palcami stóp poza krawędzią łóżka i z dłońmi na kółdrze, zamykałam oczy i słyszałam znów głos mojej matki, powtarzającej jedną ze swoich maksym: „Kto powiedział, że uroda przychodzi łatwo”. Z tymi słowami zasypiałam.

Naturalne blondynki

Nadszedł w końcu wielki weekend. Szeptanie matki do ojca przez telefon w ostatnich tygodniach zaowocowało decyzją, że mój ojciec i ja spędzimy wspólnie nasz pierwszy weekend we dwoje. Było to dla mnie wyjątkowe wydarzenie, jako że prawie wcale nie widywałam ojca, a kiedy już spędzałam z nim te parę chwil, wydawało mi się, jakby każda miała być tą ostatnią. Zachowywałam w sercu każdą spędzoną z nim minutę. Była to dla mnie szansa, aby odkryć, o co chodzi w tej całej tajemnicy, dlaczego uważano, że mój ojciec jest takim złym facetem. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego matka i dziadek ścisiali głos, gdy o nim rozmawiali. Nawet więcej, dlaczego o nim nie rozmawiali. Miałam szansę zebrać więcej wskazówek na temat człowieka, który podobno był moim ojcem.

Czekałam u szczytu schodów, jak zawsze, gdy ktoś miał po mnie przyjechać. Z tego miejsca widziałam podjazd przez małe okienko u dołu.

Pół godziny wcześniej byłam już gotowa. Chciałam mieć pewność, że nie odjedzie, gdybym przypadkiem nie była gotowa na czas. Spakowałam swoją walizeczkę z Barbie do plecaczka w kształcie misia koala, wepchnęłam szlafrok oraz koszulkę nocną w kolorze limonki, wyglądającą, jakby należała do księżniczki, i zarzuciłam plecak na plecy. Włożyłam magazyn „Mała Miss” i egzemplarz „Cosmo” do bocznych kieszeni walizeczki, wysuwając je odrobinę, aby tata mógł zauważyć, że jestem już zupełnie dorosła, i że mama pozwala mi czytać takie fajne pisma. Poprzedniego wieczoru wy-

szczotkowałam włosy, sto pociągnąć, żeby były super-błyszczące. Tylko ja i tata. Mój brat miał jakieś rozgrywki hokejowe dla chłopców, więc nie mógł jechać. Moja matka nie chciała być przy tym, jak ojciec będzie mnie odbierał, wyszła więc z babcią. Zasady dotyczące odbierania mnie były proste. Ojciec ma zakaz wstępu do domu. Kropka. Czas odbioru: dziesiąta rano w sobotę. Czekałam na schodach od wpół do dziesiątej. Czekałam, aż mignie mi jego samochód, żeby wybiec i rozpocząć naszą wspólną podróż. Obserwowałam każde przejeżdżające auto, wypatrując czarnego cadillaca, który miał mi dostarczyć mojego ojca.

Czekałam do dziesiątej, do piętnaście po, do jedenastej. Czekałam w niewygodzie, niemal bez ruchu, aby nie pognieść sukienki. Głaskałam Twiggy po łebku. Słyszałam, jak babcia woła mnie, chcąc się upewnić, czy nadal jeszcze tu jestem. Odpowiedziałam z ociąganiem, wzdrygając się na ton jej głosu, gdy zaproponowała, że zadzwoni do niego, by sprawdzić, co się stało. Odmówiłam jednak. „Przyjedzie – powiedziałam. – Po prostu się spóźnia”.

„Na pewno nie chcesz, żebym do niego zadzwoniła?”.

„Na pewno. Przyjedzie”. Ale te półtorej godziny czekania mówiło mi, że nie jestem dla niego ważna... nie jestem dla niego wystarczająco dobra, by przyjechał punktualnie... nie kocha mnie... nawet nie chce mnie odebrać. W ciągu tej półtorej godziny przemknęło mi przez głowę wiele przeróżnych myśli, siejących wątplenie na temat tego, kim właściwie jestem dla mojego ojca i jak niewiele dla niego znaczę. A mimo to nadal chciałam go bronić i ochraniać. Wciąż jeszcze miałam ochotę pojechać do niego na weekend, a jeśli nawet coś się nie uda, bo mój ojciec będzie jak zwykle próbował wszystko spięrzyc, szansa na dowiedzenie się czegoś

więcej o nim zostanie na zawsze zaprzepaszczona. Nie chodziło o to, że mnie rani, że czuję się porzucona. Chciałam tylko, by zdawał sobie sprawę, że to robi. Wiedziałam, jak ciężko musi mu być z tym, że jest niemile widziany przez matkę i dziadków. Rozumiałam to, bo byłam częścią niego, a ta jego część, która żyła we mnie, czuła się niezręcznie, wjeżdżając na podjazd. Nie chciałam, by się wstydił wraz ze mną. Chciałam jedynie, by poczuł się akceptowany. Chciałam po prostu mieć tatę, kimkolwiek by, do diabła, nie był.

Pierwsza iza nie zdążyła jeszcze spłynąć po moim policzku, gdy zobaczyłam samochód. „Jest! Już jest! – krzyknęłam do babci”. Chwyciłam walizeczkę, ucałowałam Twiggy na do widzenia i wybiegłam mu na powitanie. Widziałam, jak pochyła się nad siedzeniem pasażera, żeby otworzyć mi drzwi.

TATA

Hej, mała Bogie*. Przepraszam za spóźnienie. Zawisłem na telefonie z kumplem. Wiesz, jak to jest. To jesteśmy sami, mała, na weekend, co?

TOBI

No chyba tak.

TATA

Co powiesz na to, żebyśmy wpadli najpierw do delikatesów po coś do kanapek, co, mała?

* 1) Termin golfowy, oznaczający trafienie z jednym uderzeniem więcej, niż przyjęty standard na dołek; 2) bogie, bogeyman – licho, zły duch, wedle legend porywający dzieci.

NARRATOR

Pamiętam czerwone, skórzane wnętrze samochodu, czarną, skórzaną kurtkę ojca, marlboro, zaczesane do góry włosy, wyszczerbione zęby, bladą skórę, okulary pilota, jasnoniebieską koszulę z poliestru z postawionym kołnierzykiem i czarne skórzane botki z suwakami po bokach. Zauważyłam delikatnie zarysowany brzusek, ale ojciec wciąż był wysoki i smukły. Szukałam w nim siebie, ale widziałam tylko jego. Potrzebowałam więcej czasu, więcej, niż miałam dostać, wiedziałam więc, że muszę zbadać każdy szczegół. Musiałam zachować wspomnienia, obserwować go, szybko się go uczyć, bo nigdy nie mogłam być pewna, kiedy znów dostanę szansę, by z nim pobyc.

Robienie zakupów z tatą w spożywczym było totalnie ekscytujące. Opowiadał przez całą drogę, co kupimy. Najbardziej lubił jedzenie z delikatesów. A jego ulubionym sklepem był Peabody's, prowadzony przez pewną rodzinę w Birmingham, sklepik z ponadstuletnią tradycją, a był tam co najmniej od czasu, gdy tata był jeszcze mały. Kolejne miejsce, gdzie tata miał „kumpli”. Znał właścicieli, rzeźnika, witał się ze sprzedawcami, gdy wchodził. Lubił wchodzić gdzieś i słyszeć własne imię wypowiedziane w obecności jego dziecka. To było to. Ubóstwiał to. Uwielbiał być wyjątkowy, machać ręką do każdej znajomej osoby i słyszeć swoje imię.

„Hej, Patrick, co u ciebie? Jak ci się macha kijem golfowym?”

„Hej, Patrick, czy to właśnie jest twoja córeczka, którą się zawsze chwalisz?”

Kiedy w końcu wróciliśmy do rzeźnika, byłam wykończona uśmiechaniem się i tym, że ojciec ciągał mnie po

całym sklepie, żeby przywitać się z każdym po kolei. Tak bardzo różniło się to od zakupów z babcią, która w zasadzie nie wypuszczała mnie samej z samochodu. Podczas zakupów miałam być cicho albo nigdy więcej z nią nie iść, toteż brak jakichkolwiek zasad w spożywczym był dla mnie genialny. Chciałam się tylko upewnić, że uda mi się dorzucić różowego ptysia z kremem do wózka, zanim ojciec skończy gadać.

PATRICK

(w delikatesach)

To co tam dziś macie? Co jest świeżutkie? Dajcie mi coś świeżego. Jak wygląda ten rost-beef? Macie może bardziej krwisty? Wiecie, że taki lubię, byleby nie był zbyt różowy.

Tata zawsze zadawał tysiące pytań na temat kupowanych przez siebie rzeczy, ale nigdy nie dawał pytaney osobie szansy na odpowiedź. Kontynuował, rzucając komentarze, aż do ostatniego pytania, kiedy to podnosił trochę głos i rzucał pytaniem prosto w ciebie.

PATRICK

To dajcie mi pół funta krwistej pieczeni, no i co tam macie jeszcze świeżego? A te steki? Hej, *Bogie*, co ty na to, żebyśmy rzucili dziś parę steków na grilla i obejrzeni mecz Red Wings? A może wolisz wybory Miss America, co? Założę się, że byś wolała. OK, Sam, ukrój dla nas kilka kawałków mięska. Wygląda na to, że zrobimy sobie małe *barbecue*. Hej, *Bogie*, poleć tą alejką i wybierz dla nas kilka ładnych ziemniaczków do upieczenia. Spotkamy się przy kasie.

Ciągle nazywał mnie *Bogie*. Był to chyba jakiś termin golfowy albo coś w tym rodzaju, ale nigdy nie rozumiałam, dlaczego właśnie tak. Cieszyło mnie tylko, że mam swoją ksywkę. Było to jak kryptonim, mogłam kompletnie zapomnieć, jak się naprawdę nazywam. Poza tym lubiłam tę nową, wymyśloną siebie, którą stawałam się przy tacie. Wydawało mi się to o wiele zabawniejsze, niż to ciągle bycie dzieckiem przy mamie i bracie. Z łatwością przychodziło mi się zmieniać. Nagle stawałam się wolna. Nie byłam bogata ani nie byłam biedna, nie musiałam mieć dobrych manier, nie musiałam też być cicho, mogłam być po prostu sobą. Miałam na to cały weekend.

Po tym, jak sprzedawca obdzwoił wszystkie stoiska i podliczył rachunek, ojciec przeszedł do drugiej części swojego *show*. Widziałam to już kilkakrotnie wcześniej, ale za każdym razem czekałam jak na szpilkach na moment, gdy otworzy portfel w poszukiwaniu gotówki.

PATRICK

Jimmy, wygląda na to, że dziś u mnie trochę krucho z kasą. Wiesz, że zawsze się zjawiam, nie? No to jak? Dzieciak jest dziś ze mną... Rozliczę się w przyszłym tygodniu, zgoda?

To była ta jego gra. Kiedy skończył już półgodzinne pogawędki ze wszystkimi, pytając o zdrowie ich żon i pokazując mnie wszem i wobec, byli zbyt zażenowani, żeby mu odmówić. Pozwalali mu się prześlizgnąć. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego musieliśmy się aż tyle pracować w tym sklepie, tylko po to, by im powiedzieć, że nie mamy czym zapłacić. Po co te pańskie gesty, uśmiechy i uściski? Co to wszystko miało znaczyć? No

cóż, to był handel. Tak nazywała się ta gra. Taką już miał taktykę, dokądkolwiek się udał. Zawsze był handlarzem. Bazował na systemie kumpelskim. Zwykł mawiać: „Mam kumpla tu, mam kumpla tam, mam kumpla, który ci to załatwi, mam kumpla, który ci w tym pomoże”. Wszędzie miał jakiegoś kumpla, co by nie wymyślić. A jeśli nie miał, nie szliśmy tam. Doszłam więc do wniosku, że jeśli nie miało się gdzie kumpla, nie było sensu tam iść. Nie masz tam kumpla – nie dostaniesz nic za darmo. Gra wydawała się prosta. Trzeba było jedynie mieć mnóstwo kumpli.

PATRICK

To co, mała, mamy wszystko, czego nam potrzeba?

Właśnie wtedy nauczyłam się kłamać, naginać, udawać, handlować, grać i używać wszelkich dostępnych na tej ziemi środków, by zdobyć to, czego się chce i przekonać osobę naprzeciw siebie, żeby zrobiła to, co chcesz. Nauczyłam się też wtedy nie czuć wyrzutów sumienia. Śmiałyśmy się przez całą drogę do domu, wcinając różne smakotyki i pijąc oranżadę.

W MIESZKANIU PATRICKA, BIRMINGHAM,
STAN MICHIGAN

Dwupokojowe mieszkanie, urządzone w stylu lat siedemdziesiątych, musztardowe barwy, nowy kolorowy telewizor, stół kuchenny Formica, winylowe krzesła, jadalnia z włochatym dywanem od ściany do ściany.

PATRICK

To jak, Bogie, co wolisz? Mecz Red Wings, czy Miss America?

TOBI

Miss America!

PATRICK

Dobra, mała. Niech będzie Miss America. Znajdź, na którym to jest kanale, a ja rzucę steki na grill. Wyciągniesz zimnego budweisera z pudełka z lodem i przyniesiesz go na dwór?

TOBI

Jasne.

MIEJSCE NA GRILLA PRZED BLOKIEM.

Patrick wychodzi ze stekami i idzie w stronę grilla. Tobi skacze po kanałach, aż w końcu łapie zwiastun Miss America. Idzie do kuchni, otwiera budweisera i kieruje się w stronę grilla. Widzi, że Patrick rozmawia z wysoką, piękną blondynką. Kobieta wydaje się zdenerwowana, wymachuje rękami. Tobi przypatruje się im z ukrycia i przysuwa się bliżej, żeby coś słyszeć.

PATRICK

Mówiłem ci, że mała jest u mnie przez weekend, nie mogę cię jej przedstawić, to nie jest właściwy moment...

BLONDYNKA

Nigdy nie jest ten właściwy moment, co, Patrick? Kiedy, do cholery, nadejdzie ten właściwy moment? Kiedy, na litość boską, powiesz im, że masz kobietę? Jesteśmy już razem od dwóch cholernych lat! Można by się spodziewać, że miałeś dość czasu, by im powiedzieć.

PATRICK

Posłuchaj, nie mogę jej teraz powiedzieć, OK? Tak się nie robi, na Boga. Prawie mnie nie zna, a ja tak po prostu jej tym nie obarczę. Mówiłem ci, kochanie, że kiedy nadejdzie właściwy moment, powiem im obu, ale nie wcześniej.

BLONDYNKA

Cóż, nie wiem, czy mogę tak długo czekać, wiesz, ja też mam swoje życie. Nie będę czekać w nieskończoność, aż się zbierzesz. Chyba zasługuję na coś więcej, nie? Co ty sobie właściwie myślisz, po jaką cholere ja jeszcze tkwię przy tobie? Powiem ci, chcę wyjść za mąż, i tak sobie właśnie myślę, że jesteś mi to winien za tyle z mej strony cierpliwości.

PATRICK

Kochanie, powiedziałem ci, nie mogę teraz o tym rozmawiać. Tobie jest w środku, zaraz przyjdzie z moim piwem, nie chcę, żeby zobaczyła, jak rozmawiamy w ten sposób. Mam i tak dość problemów z jej matką, OK...? Patrick pochyla się, całuje Blondynkę i klepie ją w pośladek. Blondynka odchodzi. Tobi obserwuje to w milczeniu zza ogrodzenia, zerkając przez szpary między listewkami.

PATRICK

Hej, mała, dzięki za browar. Znalazłaś, na którym kanale jest Miss America?

TOBI

Taa. Kim była ta pani, z którą rozmawiałeś?

PATRICK

Och, sąsiadka. Cheryl. Być może kiedyś się poznacie. Opowiadałem jej o twojej gimnastyce.

Tobi wbija wzrok w ziemię, gdy Patrick mówi o tych wszystkich rzeczach, o których opowiadał Blondynce. Marzenie Tobi o tym, że rodzice znów kiedyś będą razem, zaczyna się rozwiewać, stając się coraz bardziej odległe i nierealne.

PATRICK

To co, mała, jesteśmy dzisiaj tylko my i Miss America! A może kiedyś i ty zostaniesz miss, co? Może pewnego dnia zobaczę cię w telewizji i powiem: „To moja mała Bogie...”

TOBI

No, mogłabym zostać Miss America, gdybym chciała. Wiesz, jaki mam talent? Do gimnastyki. Czy miss muszą mieć blond włosy, czy też mogą mieć brązowe?

PATRICK

Czemu o to pytasz?

TOBI

Bo ta kobieta, z którą rozmawiałeś, wyglądała jak Miss America, a jest blondynką.

PATRICK

Och, nie, kochanie. Ona tylko farbuję włosy na blond. Wszystkie Miss America to naturalne blondynki.

Szybka kasa

Znalazłam się w sytuacji skrajnej biedy i poniżenia. Wszelkie szanse na pracę modelki rozplynęły się, a możliwości zostania aktorką wyglądały jeszcze gorzej, byłam więc zmuszona stawić czoło faktom. Miałam do wyboru powrót do domu na Florydę, gdzie mieszkała moja matka po tym, jak ojciec opuścił ją po raz drugi, i rozpoczęcie życia od nowa, albo pozostanie w L.A. i znalezienie pracy, z nadzieją na aktorską karierę. Byłam zdolowana. Zalegałam trzy miesiące z czynszem, cztery – z ratami za samochód, nie miałam ubezpieczenia zdrowotnego, ubezpieczenia samochodu, a co gorsza, kończyła mi się gotówka. Podjęłam decyzję, że nadal chcę mieszkać w L.A., ale oznaczało to konieczność znalezienia prawdziwej pracy. Jasne, zawsze wypełniałam formularze, dokądkolwiek bym nie wychodziła wieczorami, a czasem i w ciągu dnia, ale przeważnie nie miałam ochoty na żadną z tych ohydnych oferowanych mi prac; nie uśmiechało mi się być kelnerką, barmanką, hostessą, czy sprzedawczynią w sklepie z ciuchami. Chciałam utrzymać swój zwyczaj wychodzenia na całą noc i włóczenia się po klubach, zastanawiałam się więc, jak to zrobić, żeby nie wpakować się w żadną tego typu robotę.

To właśnie chodziło mi po głowie, gdy odnowiłam kontakt ze Stevenem Ashleyem. „Pierwszy Selekcyjner lat osiemdziesiątych”, to najważniejsze dla niego określenie. Przetwał Studio 54 i przeżył jego właścicieli. Był dość sławny, tajemniczy i nieśmiały. Jednocześnie potrafił być bezpośredni, gdy nadchodził czas, by powiedzieć „nie”. Steven Ashley osiągnął sukces, mówiąc

„nie” tysiącom sławnych i niesławnych. Był tym wszystkim, o czym mógł marzyć właściciel klubu, myśląc o Selekcyjnerze. Mógł wylansować lub pograżyć twój klub w ciągu jednego weekendu. Każdy, kto się liczył w tym biznesie, znał Stevena lub przynajmniej o nim kiedyś słyszał. Wypalony do cna po Nowym Jorku, szukał teraz azylu w Los Angeles, mając nadzieję na otwarcie własnej knajpy.

Usłyszałam od moich klubowych znajomych, że jacyś nowojorczyki budują bar na Melrose Avenue. Przejechałam tamtędy kilkakrotnie, zastanawiając się, czy nie wpadnę na kogoś znajomego. Dowiedziałam się, że szukają kelnerki i hostess z Nowego Jorku. Doszłam więc do wniosku, że podjadę tam i zajrzę, a być może uda mi się wypełnić formularz zgłoszeniowy albo pogadać z właścicielami, żeby zorientować się, czy mogłabym dostać jakąś pracę.

Najtrudniejsze było dla mnie jednak to, z czym musiałam się zmierzyć jeszcze w samochodzie, zanim weszłam do baru. Zdawałam sobie sprawę, że istnieje ryzyko spotkania kogoś znajomego z nowojorskich klubów i czułam się upokorzona swoją sytuacją. Kiedyś byłam modelką z Nowego Jorku. Chodziłam na randki z gwiazdami filmu. Rozbijałam się limuzynami, jadałam w najlepszych restauracjach i chodziłam na zakupy do najdroższych sklepów, a teraz siedziałam na ulicy w mojej toyocie corolli, której nie byłam nawet w stanie spłacić, i próbowałam dochrapać się kelnerskiej posady. Wciąż nie mogłam jakoś uwierzyć, że koszmarny, w którym żyłam, był rzeczywistością. Dlaczego postawiłam wszystko na urodę? Dlaczego najlepsze lata mojej kariery modelki oddałam jakiemuś pieprzonemu aktorzynek – dlaczego? Jak mogłam być tak głupia? Dlaczego brnęłam dalej w to szaleństwo, w to miasto-szaradę, wypełnione obietnicami sławy, pieniędzy i sukcesu? Dlaczego?

Nie chciałam znów płakać w samochodzie, co tak często mi się ostatnio zdarzało, ale za każdym razem, gdy próbowałam nie myśleć, kim mogłabym być albo co powinno było wydarzyć się w moim życiu, lzy zaczynały płynąć po mojej twarzy, spuszczałam więc głowę i pozwalałam im skapywać. Niszczyła mnie sama myśl, żeby popchnąć siebie choćby o jeszcze jeden cal, tylko po to, żeby dostać się z jednego miejsca w drugie. Zastanawiałam się, czy jeśli wejdę do tego baru i zapytam o pracę, będzie to oznaczało moją porażkę? Czy naprawdę poniosłam porażkę? Czy oznacza to, że dla mnie to już koniec, że jestem taka sama, jak inni? Że nie jestem wyjątkowa, utalentowana, mądra? Czy tyle to właśnie znaczy? A może oznacza to, że poddaję się temu, kim dzisiaj jestem? Że mówię: zaakceptuję dziś wszystko, co wydarzyło się w przeszłości i cokolwiek mi przyniesie przyszłość. Bo jeśli wejdę do tego baru, a ktoś z nowojorskich znajomych rozpozna mnie i zada mi to okropne pytanie: „Dlaczego interesuje cię praca kelnerki?”, a ja po prostu odpowiem: „Bo potrzebuję pieniędzy”, to czy skończę już z tym udawaniem? Czy to ciągle granie kogoś innego i pieprzenie o tym, kim naprawdę jestem, zakończy się, jeżeli zniżej się, by poprosić o tę pracę? Czy może zostanę w samochodzie, patrząc we wsteczne lustro, jak lzy płyną mi po twarzy? Co wtedy będzie? No tak! Będzie chodziło o mnie... Od tej chwili będzie chodziło tylko o mnie, przejmuję kontrolę. Żadnych pobożnych życzeń i nadziei, że wszystko będzie dobrze, myślenia, że jakiś książę na białym koniu mnie ocali. Nie, mam już dość tego gówna! Od tej chwili przejmuję kontrolę. To ja rządę moim życiem. Sama o siebie zadbam. Wejdę do tego pierdolonego baru i ile by mnie to nie kosztowało, zapytam o tę pieprzoną pracę. Tyle. Nigdy więcej wstydu. Jestem zmęczona wstydem. Potrzebuje tej cholery roboty. Pierdolę to! Wsiadam z tego obrzydliwego samochodu i mam

zamiar zmienić swoje życie. Już nie jestem primadonna. Tyle mi to zajęło. Mała pogawędka ze sobą w samochodzie i byłam gotowa.

Tamtego dnia stałam się ocalonym rozbitkiem. Kiedy spojrzałam w lustro, by otrzeć z oczu lzy, zobaczyłam, że same znikły. Startam cały swój ból i wspomnienia przeszłości. Wszystko, na co pracowałam, wszystko, co zarobiłam, rozplynęło się. To byłam nowa ja. Nie mogłam ronić łez nad minionymi żałami i rzeczami, które nigdy nie istniały. Musiałam przetrwać. Musiałam jeść. Patrzyłam na świat nowymi oczyma. One nie widziały wstydu w kłamstwie. Nie widziały różnic między jednym miejscem a drugim. Miałam wolność osądu, prawo do odrzucenia, byłam wolna od tego wszystkiego, co mogłoby mnie powstrzymać przed osiągnięciem celu. Nie było już właściwej czy też niewłaściwej drogi, którą mogłabym obrać w życiu. Będzie, co ma być.

Bar nie wyglądał jakoś szczególnie od strony ulicy. Nad ciężkimi, drewnianymi drzwiami widniał adres, jaki dostałam. Budynek niczym się nie wyróżniał, poza jedynym oknem, zasłoniętym zupełnie od wewnątrz. Przetrawiłam sobie w głowie mnóstwo razy ten adres, zapisany na skrawku papieru, żeby upewnić się, że nie poprzestawiałam cyfr i w związku z tym nie trafiłam w niewłaściwe miejsce, co mi się już zdarzyło w życiu wielokrotnie. Zapukałam cicho i czekałam. Zapukałam jeszcze raz. Walnęłam kilka razy tak mocno, jak tylko mogłam, i dalej nikt się nie odezwał.

Pomyślałam w duchu: jak mogłam znowu to zrobić? Nie tym razem, cholera, niech to szlag. Jak mogłam znowu tak spieprzyć? Cholerna liczba, kurwa mać. Dobra, chrzanię to. Nieważne, pewnie nie było mi to pisane, nie pamiętam nawet, który z klubowych znajomych dał mi ten pieprzony adres, żebym mogła do niego

zadzwoń. Co za paskudnie popierdolony dzień. Właśnie odchodziłam, kiedy ktoś zawołał mnie po imieniu.

STEVEN

Hej, Tobs!

TOBI

A niech mnie! No nie! Ty tutaj? To twój klub?

STEVEN

Mój.

TOBI

O mój Boże! Kiedy przyjechałeś na to zadupie przepychu?

STEVEN

No cóż, jestem tu już od jakichś dwóch lat.

TOBI

No co ty? Dwa lata, a teraz to? Klub?

STEVEN

Nie rozumiem..?

TOBI

Cholera, nieważne, miło cię znów widzieć.

STEVEN

Ciebie też. Masz ochotę na piwo?

TOBI

Jasne, że mam. To o co chodzi z tym miejscem? Jest twoje?

STEVEN

Tak. Mam wprawdzie współnika, ale większość należy do mnie.

TOBI

A więc udało ci się, masz własny klub.

STEVEN

Taa, udało mi się. Straszny jednak jest z tym zapieprz. Prawie wszystko robimy sami. Chodź, to cię oprowadzę.

Pierwszą rzeczą jaką zauważyłam, był bar. Jeden z tych ciemnych, mahoniowych barów, wyglądający tak, jakby stał tu od stu lat. Biegł wzdłuż całej ściany, aż do frontowych drzwi. Za barem były lustra, dzielone na mniejsze fragmenty wstawkami w angielskim stylu. Półki za barem były puste. Gdy się tak rozglądałam, zauważyłam starą kasę, kufel na napiwki, stary dywan, zaplamiony śladami minionych lat. Wdychałam przesycony dymem zapach sali. Wydawało się, że został zamknięty w tych ścianach na zawsze. Usiadłam na stolku, oparłam się łokciami o bar i wdychałam. Wdychałam wszystko. Wilgoć rozlanego piwa, na pół wyschnięte popielniczki, brudne ścierki barowe, pojemniki do mycia, pojemniki do płukania, w połowie pustą butelkę whisky, stojącą samotnie za barem. W końcu odnalazłam swój dom. Uwielbiałam każdy z tych zapachów. Były dla mnie tym, czym rosół z kluseczkami dla chorego dziecka. Znalazłam coś, co mogło mnie uzdrowić.

TOBI

Posłuchaj, Steven, przyszedł tu, bo potrzebuję roboty.

STEVEN

A co cię interesuje?

TOBI

Nie wiem, może mogłabym popracować jako barmanka albo hostessa, co tam masz.

STEVEN

Cóż, nie mam nic w tym momencie, ale może po otwarciu zrobiłabyś parę zmian jako hostessa, co?

TOBI

Dobra, słuchaj, strasznie się cieszę, że cię tu spotkałam, powodzenia z tym miejscem.

STEVEN

Tobs, odezwę się niedługo, OK?

TOBI

Jasne, trzymaj się.

STEVEN

Ty też.

Gdy wychodziłam na ulicę, wydawało mi się, że idę w zwolnionym tempie. Każdy kolejny krok wzbudzał poczucie, jakbym szła po raz pierwszy w życiu. Pozwoliłam swoim motocyklowym butom ponieść mnie w stronę samochodu. Wyciągnęłam okulary przeciwsłoneczne z torebki i założyłam je, by chronić oczy przed oślepiającym kalifornijskim słońcem. Wciąż czułam smak piwa na języku, gdy szukałam kluczyków od samochodu

w kieszeniach czarnej skórzanej kurtki. Zauważyłam, że mam na sobie wyblakłe dżinsy ze znoszonymi i pozszywanymi łatanami na kolanach, ale nie pamiętałam, jaki jest dzień, głównie dlatego, że nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Wszystkie wydawały się identyczne. Słoneczne, jasne i piękne. Jak te głupawe pocztówki ze sklepików z pamiątkami na Hollywood Boulevard. „Posmakuj życia na całego w słonecznej Kalifornii!” – głosiły napisy widniejące nad tandetnym widoczkiem panienki czy koleśka w stringach, biegnącego po plaży. Jedyną rzeczą, jaką widziałam na pocztówkach z Michigan, było zdjęcie jelenia podczas sezonu łowieckiego albo Wielkie Jeziora. Żadne z nich nie utkwiło mi w pamięci tak, jak te gołe pośladki na plaży. Jedyną rzeczą, której byłam pewna, to to, że moja wersja Kalifornii i ta z pocztówek będą się dość różniły, poczynając od dnia, gdy wyszłam z tego baru śmierdząca dymem i piwem o jedenastej przed południem, ubóstwiając ten stan.

DOMEK DLA GOŚCI, STUDIO CITY – W CIĄGU DNIA

TOBI

Jeśli udałoby mi się jakoś zapłacić czynsz w ciągu najbliższych dwóch tygodni, czy będę mogła tu zostać?

WŁAŚCICIEL

Tak, oczywiście, ale zaczynamy się już trochę z żoną niepokoić. Naprawdę potrzebujemy tych pieniędzy, a jeśli nie może pani zapłacić, będziemy zmuszeni poprosić, żeby się pani wyprowadziła.

Rozmowa ta odbyła się, zanim jeszcze zadzwonił telefon, potem były jeszcze inne: z pogróżkami od inkasentów i firm, zajmujących mnie tytułem niesplacania kredytu, pytających, gdzie w tej chwili znajduje się mój samochód, i czy mają go zabrać za zaleganie z ratami; i dalej: z firmy telekomunikacyjnej, telewizji kablowej, gazowni oraz w związku z jedyną posiadaną przeze mnie kartą kredytową domu towarowego, którą stale obciążałam dużymi zakupami, jak telewizory czy sprzęt stereo, zastawianymi następnie przeze mnie w lombardzie obok, gdy brakowało mi gotówki. Doszłam zwyczajnie do wniosku, że jedynym powodem do obciążenia karty jest odsprzedanie danej rzeczy. Wydawało mi się to proste. Wszystko, co dało się przekształcić w gotówkę, równało się możliwości pozostania w Los Angeles. Zawsze chodziło o pozostanie w L.A., niezależnie od ceny! Myślałam, że jeśli uda mi się przetrwać wystarczająco długo, to znajdę wreszcie tę żyłą złota. Musiałam jedynie wykupić trochę czasu, żeby obmyślić, jak mam to zrobić i jak spełnić wszystkie dane sobie obietnice. Obietnicami były rzeczy, które tworzyłam we własnej głowie. Widziałam je na wystawach, gdy spacerowałam po Rodeo Drive, były nimi także piękne, czarne, lśniące samochody, mijające mnie na ulicach, duże, piękne domy wzdłuż Beverly Drive, to, co oglądałam z matką na wystawach jeszcze w Birmingham, gdy byłam małą dziewczynką. Wszystko to, co widziałam przez tę samą szybę, wszystko to, czego nie mogłam mieć. Obietnice dotyczyły rzeczy, na które pewnego dnia będę mogła sobie pozwolić, jako osoba sławna i bogata. Nie byłam już siedmiolatką, trzymającą matkę za rękę, słuchającą jej marzeń, jakie śniła

dla mnie. Miałam dwadzieścia cztery lata i wciąż jeszcze patrzyłam przez tę szybę wystawową, stojąc na zewnątrz, bojąc się wejść do środka i kupić cokolwiek, żeby nikt nie zorientował się, że tak naprawdę mnie na to nie stać, czy też, co ważniejsze, że nie jestem tym kimś, za kogo się podaję, że nadal kłamię, nadal próbuję uchodzić za małą bogaczkę!

Prywatna linia

Działo się najgorsze, co mogłam sobie wyobrazić. Mój plan przeprowadzki do Los Angeles, żeby zostać sławną aktorką, sypał się. Gorzej, nie miał nawet szansy się sypnąć. Mając za sobą jedynie trzeciorzędny film i kilka żenujących sztuk teatralnych, oddalona o trzy tysiące mil od Broadwayu, nie miałam wystarczającej pewności siebie, by urzeczywistniać go w inny sposób, niż szafowanie terminem aktorki w towarzyskich pogawędkach, gdy była mowa o wykonywanym zawodzie. Jasne, odebrałam odpowiednie wykształcenie w najlepszych szkołach aktorskich Nowego Jorku i Los Angeles, plus w tych, co do których nakłamałam w swoim CV, ale przestało mnie zatrudnienie własnego agenta i naddążanie za reklamowymi bzdurami tego biznesu. Wszyscy moi znajomi, a przynajmniej ci, z którymi się prześpałam, byli wziętymi aktorami, nie widziałam więc żadnego sensu w czołganiu się po mieście, rozsyłaniu swoich zdjęć i CV, kiedy połowie tych pieprzonych aktorów opowiedziałam większość moich fantastycznych historii, które jakimś cudem lądowały w ich filmach najwyraźniej drogą osmozy. Cały ten aktorski biznes totalnie mieszał mi w głowie i oferował tak niewiele w zamian, że jego jedyną pozytywną stroną był ów cudowny luksus możliwości powiedzenia, że jest się aktorką, co oznaczało, że albo jesteś piękna i utalentowana, a przynajmniej jedno z dwojga, albo naprawdę jesteś aktorką. Termin ten oznaczał także dwie ważne rzeczy.

Sławna albo nie. Bogata albo biedna. Można go opisać na wiele sposobów. Ale jeśli nie dostajesz za tę pracę pieniędzy, to znaczy, że tego nie robisz. Ja za cholere nic za to nie dostawałam, ale wyglądało na to, że sporo robię, postanowiłam więc postugiwać się tą etykietką przy każdej nadarzającej się sposobności – na przyjęciach, w barach czy restauracjach, po to tylko, by wynagrodzić sobie jakoś nieadekwatną egzystencję bezrobotnej aktorki. W tym samym czasie była to doskonała przykrywka dla tego, o co mi naprawdę chodziło – mojej historii. Chciałam mieć teczkę na każdego i na wszystko. Nie żebym chciała użyć tych informacji przeciwko komukolwiek, ale musiałam znaleźć własną historię. Chciałam zrozumieć, jak to się dzieje, że ktoś zbudował karierę od podstaw i walczył, by osiągnąć sukces, a potem rozpieprzył to wszystko na prochy czy na cokolwiek innego, co mogło przekreślić daną mu szansę. Polowałam na najciekawszą historię o drodze do sławy. Chciałam dowiedzieć się, jak odnosiła się do wszystkiego i wszystkich, z kim miałam kontakt, ze mną włącznie. Właśnie aktorzy są według mnie najlepszymi obiektami badawczymi, cóż więc mogłam zrobić lepszego, żeby ich przyciągnąć, niż zostać jedną z nich. Wierzyłam totalnie w teorię zostania tym, kim się chce być albo dotarcia do sedna tego, co ma się z zamiar badać, i wydawało się, że ma to szansę realizacji w Los Angeles. Z tego, co zauważałam, mój plan działania był wcielany w życie na długo przed moim przybyciem; czułam, że i tak ledwo załapuję się do tego pociągu. Dostałam do wniosku, że desperacka wręcz chęć zbierania przeze mnie informacji musi mieć jakiś głębszy powód, a z początku jedyną wadą prowadzenia takiego ekscytującego i dość płytkiego życia był fakt, że nikt mi za to nie płacił.

NARRATOR

Poprzysięgam sobie, że znaję swoją historię, poznam jej bohaterów, poszukam odpowiednich miejsc, gdzie mogłaby się toczyć jej akcja, zbiorę informacje o postaciach, które nadadzą tej historii odpowiednie tempo, znajdę jakieś inspirujące miejsce, gdzie narrator (czyli ja) mógłby mieszkać, pracować, bywać. Tak naprawdę w mojej historii mogłam zawrzeć wszystko, co lubiłam robić w codziennym życiu. To były moje zasady. Pomyślałam o kilkorgu znajomych, którzy mogliby pojawić się w mojej opowieści. Pozostałych bohaterów miałam spotkać po drodze.

Była zatem Charlotte. Zbikowana na punkcie Jezusa. Nie udało się jej doprowadzić mnie do niego, ale ocaliła moją duszę. Tak czy inaczej, była piękną, wysoką, smukłą brunetką. Poznałyśmy się na lekcjach aktorstwa. Była moją jedyną znajomą, która nie należała do światka Hollywood. Potem została moją jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. Ja opowiadałam Charlotte o Hollywood, a ona uczyła mnie psalmów. Podczas naszych wspólnych wypadów ja paliłam trawę i piłam piwo, a Charlotte zamawiała wodę perrier i wypisywała biblijne wersety na serwetkach. Pozornie nic nas nie łączyło.

Dalej Stella. Spotkałam ją w klubie „Stella” kilka dni po moim przyjeździe do Los Angeles. Nikt nas sobie nie przedstawił, spotkałyśmy się po prostu pierwszego wieczoru, gdy przyszedłam do klubu. Zauważyła, że jestem sama, i spytała swoim zachrypniętym głosem Greczynki, z kim przyszedłam. Odpowiedziałam, że z nikim, a ona

złapała mnie za rękę i zaprowadziła do stolika nr 8, gdzie zwykle sadzała Jacka, Seana, Marlona i pozostałe jednoimienne supergwiazdy. Kiedy dotarłyśmy do stolika, przypaliła papierosa, odrzuciła z twarzy swoje długie, lśniące, czarne włosy i powiedziała: „Siadaj, mała, już nie będziesz sama”. Byłam u niej wypełnieniem pustego krzesła. Ale nie bardzo mnie to obchodziło. W każdą sobotę siadywałam wśród najbardziej ekscytujących aktorów, reżyserów, producentów i pisarzy, jakich można tam było poznać. Nigdy nie zapytałam, dlaczego mi pomaga. Pojawiałam się po prostu w sobotni wieczór, siadałam przy stoliku nr 8 i czekałam na przybycie pozostałych gości. Po kilku miesiącach takich praktyk, zaczęłam bywać u niej w domu na Hollywood Hills. Paliłyśmy trawę, gotowałyśmy, czytałyśmy sobie na głos i pomagałyśmy sobie nawzajem w różnych sprawach. Stella zawsze chodziła półnago. Nie znosiła ubrań. Zawsze było jej gorąco, nawet w zimie. Czuła się swobodnie, przechadzając się po domu w seksownym body czy w cienkim szlafrocisku. Była moją mentorką, moim wprowadzeniem do Hollywood i najlepszą przyjaciółką.

Na koniec Henry, mój kochanek. Był cudownie skomplikowany, piękny, inteligentny, dziecinny, seksowny i odrobinę niedomyty. Zasadniczo bezdomny, spędzał czas przenosząc się z jednego hotelu do drugiego. Zwiedził kawał świata, był odczytany, recytował mi w łóżku monologi z Szekspira, jeździł na motocyklach, rozbijał je, miał doskonałe maniery i prezencję księcia. Gdy mówił, wykonywał duże, zamaszyste gesty, mające zilustrować wydarzenia dnia. Był aktorem, muzykiem i świetnym kochankiem. Był wziętym, sławnym aktorem, bogatym i emocjonalnie niedostępnym. Dla mnie był idealny. W Henrym mogłam się schować, przy Henrym mogłam

udawać, w Henrym mogłam się zakochać. Potem znikat na całe miesiące. Byliśmy tylko kochankami. Żadnych zobowiązań, żadnych zasad, jedynie umowa, że będziemy dla siebie tym, czego potrzebujemy, w tych krótkich chwilach bycia razem. Czas dla nas nie mijał. Zaczynaliśmy tam, gdzie poprzednio przerwaliśmy. Nie omawialiśmy straconego czasu, nie rozmawialiśmy o przyszłości, zastrzegaliśmy w chwili. Henry był dla mnie wszystkim. Kochałam go. Nie mogłam mu tylko o tym powiedzieć.

NARRATOR

Miałam dość bycia sobą. Bez pieniędzy, pracy, faceta, ciągle przeprowadzki z jednego miejsca na drugie. Potrzebowałam odpoczynku, doszłam więc do wniosku, że dopóki nie stanie się on możliwy, przez chwilę mogę udawać, że występuję we własnej historii. W ten sposób cały ten wariacki bajzel wokół mnie nabierze znaczenia. Na przykład, jeśli dostalabym nakaz eksmisji, straciła pracę, nie mogła zapłacić rachunków, oszukiwała przez cały czas, wszystko to mogłoby wzbogacić moją historię. Traktując to jako pożywkę dla twórczości, mogłabym to wszystko zobaczyć w pozytywnym świetle. Tak naprawdę miałam w głowie tylko jeden cel: odnaleźć siebie. Dowiedzieć się, kim naprawdę jestem, do czego powinnam dążyć, co powinnam robić, kogo powinnam kochać. Wyruszyłam więc w podróż, która miała uczynić mnie autorką mojej własnej historii.

Zrobiłam rutynową niedzielną listę swoich dobrych i złych cech.

Dobre cechy:

piękna
zabawna
kochająca
dobra przyjaciółka

Złe cechy:

przynębiona
humorzasta
zimna
twarda

Z czym muszę skończyć:

palenie	przeklinanie
picie	oszukiwanie
robienie laski	
cukier	
sól	

Do poniedziałku zdążyłam już zapomnieć o liście i wybiegłam w podskokach do najbliższego baru, by jak najszybciej użyć swej aktorskiej etykiety i rozpocząć zbieranie materiałów do mojej historii. Chwyciłam wiatr w żagle!

NARRATOR

Za chwilę mam poznać Klausa Van Derna, jednego z najbardziej wziętych reżyserów kina akcji. Typ wikinga, trudno go przeoczyć. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i brudne włosy, związane w koński ogon w stylu lat dziewięćdziesiątych. Jest wolny, zawsze lekko wstawiony, seksowny i z punktu widzenia rozmówcy – zwyczajnie głupi. Moim celem na dzisiejszy wieczór jest wyrwanie go. Mam zamiar zrobić mu laskę. Pieprzenie się z nim na tym etapie nie wchodzi w grę. Potrzebuję reżysera dla mojej historii. Jeszcze go nie mam. Czytałam o nim w prasie branżowej. Na pewno przypominam mu islandzkie panienki z jego

ojczyzny. Zrobię się dziś wieczorem na bardziej szwedzki styl. Proste blond włosy i naturalny makijaż.

„Roxbury”, klub mieszczący się w centrum Sunset Strip, był „miejscem, w którym wypada bywać”, ale dla mnie był on czymś zupełnie przeciwnym. Czułam, że mówiono o mnie same złe rzeczy. Jeśli byleś typem bywającym w „Roxbury”, na pewno nie byleś kimś dla mnie. Nie znosiłam dużych klubów. Miałam w nich mniej szans na wyrwanie obiektu badań na dany wieczór. Zdarzały się jednak wyjątki. Dzisiaj należał do nich Klaus Van Dern.

Zaproszono mnie na imprezę dla ekipy filmu, będącego hitem ostatniego lata. Zapewne któreś z poprzednich nocy wyrwałam kogoś, żeby mnie tu wprowadził. Była to część gry. Zaprzyjaźnianie się z jednym by dotrzeć do następnego, było prostym sposobem skracania dróg w Hollywood. Przecinało czerwoną wstęgę. Wybór sprzymierzeńców był dobrze skalkulowanym zadaniem, kryterium stanowiła ich szacunkowa wartość dla mojej historii. Swoją wolny czas spędzałam na odsiewaniu tych, którzy mogli posunąć moje badania do przodu, od tych, którzy nie mogli. Przydatność nawiązywanej przyjaźni oceniałam według twoich koneksji i elastyczności jako członka gry, na przykład, czy byleś na liście gości zaproszonych na przyjęcia premierowe, czy mogłeś sobie pozwolić, by w sobotni wieczór zadzwonić w ostatniej chwili do „Ivy” i zdobyć stolik na sześć osób, kto był w twojej ekipie, kim byli twoi najbliżsi znajomi i ci, których widywałeś przy szczególnych okazjach; czy mogłeś wprowadzić mnie na imprezę „Vanity Fair” po Osakach, a co najważniejsze, czy mogłeś zbliżyć mnie do kogokolwiek, z kim chciałam się przespać w tym tygod-

niu. Moje ulubione zdanie brzmiało: „Pozwól, że przedstawię cię mojemu przyjacielowi”. To zupełnie jakby dać dziewczynce cukierka.

Jak zawsze, skrzętnie zbierałam informacje, zanim poznałam mojego Reżysera. Czytałam pisma branżowe, przeglądałam kolumnę w „Army”, przelatywałam szmatławce, choć nigdy nie traktowałam ich jak rzetelne źródło informacji. Chodziło tylko o zdjęcia i ogólny zarys. Kiedy więc zostałam przedstawiona mojemu Reżyserowi, miałam jeszcze zawsze coś do powiedzenia poza zdawkowym: „Świetny film, moje gratulacje”. Technika podchodów nigdy się nie zmieniała: Nawiązać kontakt wzrokowy gdy się przedstawiam i wypowiedzieć swoje imię. „Czy to twoje prawdziwe imię?”. „Nie, Tobie to tylko ksywka od Tobin”. „Jak masz naprawdę na imię?”. „Niestotne”. To było jak łapanie żab nad stawem. Czekałam tylko aż skoczą, i wkładałam je do kieszeni.

Nie sądzę, żeby mi mogło zaszkodzić to, że jestem ładna, ale wiedziałam, że potrzebuję czegoś więcej poza urodą, żeby udało mi się pojechać z nim do jego domu. Po tym, jak zabawa w imiona dobiegła końca, machałam do tego, kto mnie „podwiózł” i dryfowałam w jego stronę, odwracając się plecami do mojego Reżysera. Pościg się rozpoczął. Reżyser musi znaleźć drogę do mojego „podwożącego”, chcąc dowiedzieć się, kogo znam. To przesądzało o tym, czy jestem bezpieczna, co w „narzeczcu hollywoodzkim” oznacza „Czy mogę przelecieć tę panienkę i być pewnym, że się nie wygada?”. Niezawodnie zdawałam ten egzamin. Kto wie, jakie nazwiska rzuci ten, kto mnie „podwiózł”? Zresztą, kogo to obchodziło? To była moja historia.

Po tym, jak osoba „podwożąca” potwierdziła mi, że mój Reżyser chciałby urządzić mały wieczorek towarzyski w swojej chatce imprezowej w Hollywood Hills,

wchodziłam do interesu. Był tylko jeden krok, którego nie mogłam spieprzyć: niezobowiązujące odprawienie „podwoźącego”. Musiałam być ostrożna. Miał zbyt duże koneksje, poza tym mogłam potrzebować, żeby mnie „podwiózł” jeszcze raz. Nienawidziłam do bólu tej części gry. Była taka okrutna. Czułam się winna, kradnąc jedną duszę, by dorwać się do drugiej, wiedząc, że ten, który mnie „podwiózł”, także miał na mnie ochotę. On był jednak tym facetem, który nigdy nie dostawał panienki. Natomiast znajdował zwykle panienkę dla Reżysera, więc był kryty. Wszyscy byliśmy. To był cały łańcuch pokarmowy. Znajdź swoje jedzenie albo zdychaj z głodu.

Następnym krokiem było oddzielne wyjście z klubu, tak żeby nikt nas razem nie nakrył. Nie interesowała mnie sława, tylko informacje, więc to ja zawsze wychodziłam z inicjatywą „tylnego wyjścia”. Działo to na moją korzyść. Zapewniałam moją ofiarę, że można mi zaufać. Doszłam do rogu Sunset przy Chateau Marmont, a on podjechał po mnie przy reklamie marlboro. Skierowaliśmy się przez Laurel Canyon do Mulholland Drive, potem znów w lewo i w górę po stromym zboczu; tam właśnie był ten jego dom. Po chwili wszystkie wyglądały dla mnie tak samo: architektura w stylu Franka Lloyda Wrighta, wnętrza Michaela Smitha, system stereo Bose, świeczki o zapachu gardenii z Illume, no i oczywiście psy... Zawsze mnie interesowało, jakie psy miała moja zdobycz. Nie tylko dlatego, że je uwielbiam, ale też dlatego, że sama rozpaczliwie chciałam mieć własnego, i wydawało mi się, że wszyscy w Los Angeles mają psa oprócz mnie.

Po nawiązaniu nici porozumienia z czterema dogami, przeszedłam do niego. Dom był w pełni romantycznego rozkwitu. Kiedy ja zaprzyjaźniałam się z psami, on zajął się resztą – przygasił światła, oświetlił basen, wyciągnął

butelkę cristalla z lodówki i udając zdziwienie spojrzal na mnie i zapytał, czy mam ochotę na odrobinę. Chciałam powiedzieć: „Odpuść sobie to pieprzenie, dupku, pospieszmy się”. Chciałam poznać szczegóły jego charakteru, a także gdzie mieszka, jakim jeździ samochodem, kim są jego znajomi i jakim jest kochankiem. Wtedy byłam gotowa pójść dalej. Ale najpierw trzeba było odwdziżyć się za informacje. Zawsze istniała jednak szansa, że on jest tym właściwym. No wiecie, Tym Właściwym. Tym Jedynym, Który Zobaczy Cię Naprawdę. Tym, dla którego będziesz na tyle interesująca, że zechce cię lepiej poznać. A może – tylko może – spodobał mi się? Tak to wyglądało w mojej głowie. To właśnie myślałam, pieprząc się z kimś dla mojej historii, bo gdyby nie o nią mi chodziło i nie zbierałabym informacji, nie mogłabym tego zrobić. Według moich własnych zasad mogłam robić cokolwiek z kimkolwiek, kogo wybrałam, dopóki nie spotkam kogoś, kto sprawi, że przestanę.

Od tej chwili kolejne kroki wykonywałam już z pamięci. Pozwolić mu prowadzić. Pozwolić mu przygotować kąpiel i przygasić światła. Zaczekać, aż rzuci mi biały szlafrok frotté, taki sam jak jego. Teraz moja kolej, żeby się rozebrać. On już czeka nagi w wannie. Na pewno, do cholery, nie muszę mu odstawiać jakiegoś show. Po co – dla roli w jednym z jego filmów? Zejść koleś na ziemię. Nigdy na to nie leciałam. Byłam ponad takimi marzeniami. Ale on myślał, że po to właśnie tu jestem. Co za dupek. Ile razy musiałam usłyszeć, że nie można się pieprzyć za rolę, po prostu nie można... ale wiecie co? Tak naprawdę w to nie wierzyłam. Uważałam, że to jedna wielka loteria.

– Jakie masz śliczne cycki.

– Dzięki – odpowiedziałam i weszłam do wanny pełnej piany. Z szampanem w dłoni, naga, z blond włosami

zmierzwionymi na czubku głowy zrobiłam obrót i śmiejąc się, dmuchnęłam na niego mydlanymi banieczkami.

Wszystko zlewało mi się w jedno. Takie samo łóżko z takim samym widokiem, tylko inny reżyser z innym fiutem. Próbowałam szybkiej laski, żeby szybciej skończyć te nadgodziny, ale czasem się nie udawało. Tym razem, po tym, jak wszystko zostało już powiedziane i wykonane, te same słowa, co zwykle, przepłynęły na moją stronę łóżka: „Słonko, niech to zostanie między nami”. OK, dupku, pomyślałam, poza tą książką, którą kiedyś napiszę... No cóż, chyba nie jesteś Tym Właściwym.

Udało mi się jakoś dospać do rana, kiedy obudził mnie dzwonek telefonu, poza weekendem dobijający się zawsze rano do mojej ofiary – jakiś pajac ze studia z prośbą o spotkanie czy asystent z potwierdzeniem informacji na temat lotu lub coś w tym rodzaju; pieprzony dźwięk telefonu przypominający mi o kolejnym dniu bez pracy i o niczym, poza wieczorem, na co warto czekać. Odwróciłam się i spojrzałam na mojego Reżysera, żeby aportować słowa, które słyszałam każdego ranka, gdy byłam już na wylocie, czekając na nie jak szczeniak, stojący słupka z łapkami do góry: „Tak ślicznie wyglądasz o poranku”.

To był sygnał dla mnie. Czas dostać na taksówkę.

WNĘTRZE DOMU W HOLLYWOOD HILLS – SALON

Białe kanapy, nowoczesne, eleganckie, obraz *Blue Dog*. Tobi już ubrana czeka na taksówkę, która odwiezie ją do domu. Rozmawia z pokojówką, podczas gdy Reżyser się ubiera.

POKOJÓWKA

Zatem, panienko, czy chciałaby panienka napić się świeżego soku, zanim przyjedzie ktoś, kto podwiezie panienkę do domu?

TOBI

Och tak, ale cóż, ten, kto mógłby mnie podwieźć, pewnie jest już w domu.

POKOJÓWKA

Nie rozumiem?

TOBI

Nieważne, przepraszam, głośno myślę. Tak, chętnie napiję się soku.

POKOJÓWKA

A wie panienka, że te jego duże psy niemal mnie dziś rano zepchnęły do basenu. Po co, pytam go, po co panu te psy? I dlaczego takie wielkie, czemu nie cztery małe pieski? Wie panienka, co on mi odpowiedział? „Bo mam ciebie, Emerito”. Skoro ma mnie do sprzątnia, karmienia psów i prania, nie potrzebuje już żony. On w ogóle człowieka nie słucha. To ja mówię... cóż, to moja praca. Ale taka śliczna panienka powinna mieć kogoś, kto będzie panienkę kochał i weźmie ją za żonę. Pokojówka wręcza Tobie szklankę i wraca do sprzątnia, kiedy pan Reżyser schodzi po schodach, poprawiając swojego cartiera i sprawdzając baterie w komórce.

REŻYSER

To co, moja szwedzka jagódka, zamówić ci taksówkę do domu?

TOBI

Nie, czekałam tu tylko, rozmawiając z Emeritą.

REŻYSER

A, więc się poznałyście. Tak, co ja bym zrobił bez mojej Emerity.

TOBI

No cóż, zgodnie z tym, co mówi Emerita, pewnie byś się ożenił.

REŻYSER

To stąd te chichoty? Na mój temat? Tak, prawdopodobnie ma rację, więc może powinienem się ożenić z tobą.

TOBI

(żartobliwie)

Ależ kochanie, dopiero się poznałyśmy. A poza tym – nie gotuję, nie sprzątam i nie piore, więc trzymaj się lepiej Emerity.

(Z podjazdu słychać głośnie trąbienie).

TOBI

O, to do mnie... jestem uratowana. To co, kochaniutcy, pożyczycie mi parę groszy na taryfę?

REŻYSER

Ależ oczywiście, przepraszam, że musiałaś pytać. Spieszę się i zapomniałem o dobrych manierach.

TOBI

Nie ma sprawy, chyba oboje zapomnieliśmy o nich tej nocy... No to buziaczek, zostawiłam

ci swój numer na nocnym stoliku, w razie, gdybyś za mną zażęknął.

Tobi cmoka go w policzek i macha na pożegnanie do Emerity, przeciska się między dogami a basenem i zbiega po dwóch stopniach na podjazd, gdzie wita ją pakistański taksówkarz stojący obok taksówki. Tylne drzwi są otwarte.

TAKSÓWKARZ

Jedziemy?

TOBI

Do Studio City, w dół wzgórza, całkiem niedaleko. Mogę zapalić?

TAKSÓWKARZ

Tak, a co chce pani palić?

TOBI

Papierosa, zwykłego papierosa.

TAKSÓWKARZ

W porządku, może pani zapalić papierosa, ale jest wcześniej, nie bardzo zdrowo palić tak wcześniej, prawda?

TOBI

Tak, ma pan rację.

Tobi opuszcza szybę i zapala papierosa.

TOBI

Wie pan, co bym chciała? Chciałabym, żeby już zawsze było ciemno. Światło mnie tak oślepia. W świetle czuję się naga.

TAKSÓWKARZ

Co pani powiedziała? Że jest pani naga? Bo ja nie mogę pani wieźć taksówką, jeśli jest pani naga, panienko.

(Grozi jej palcem).

TOBI

Ależ nie, powiedziałam, że czuję się naga w słońcu, nie jestem naga. Chciałabym już tylko wrócić do domu...

TAKSÓWKARZ

A gdzie ten dom, jaki adres?

Tobi jest przemęczona, cyfry w numerze ulicy przedstawiają się jej w głowie. Dysleksja zaczyna dawać się we znaki. Robi pauzę na głęboki wdech.

TOBI

Sunshine Terrace 4809. Tak, cztery, osiem, zero, dziewięć.

Taksówka podjeżdża pod jej dom.

TAKSÓWKARZ

Dziękuję za napiwek, taka ładna panienka jak pani i bez męża, jaka szkoda.

Tobi waha się przez moment, zanim wysiada z taksówki. Myśli o tym, co powiedział.

TOBI

Założę się, że mówi pan to wszystkim dziewczynom, które zabiera pan z tamtego domu?

TAKSÓWKARZ

Owszem... (Śmieje się).

Wtorkowy poranek, który nastąpił po nocy spędzonej na uganianiu się za moją historią, nadszedł zbyt szybko. Gdy obudziłam się po raz drugi, tym razem we własnym łóżku, widok wyrwanych z gniazdzka kabli telefonicznych, rzuconych w kąt pokoju, przypomniał mi o rozpaczliwych próbach znalezienia spokoju po moim powrocie do domu. Reprezentowały one linie informacyjne prowadzące do mojego życia i do postaci, które tworzyłam. Te dwie linie rozdzielały moje życie. Linia ogólna przeznaczona była dla wszystkich poznawanych przeze mnie ludzi, prywatna – dla kilkorga bliskich znajomych i Henry'ego. Komunikowałam się ze światem poprzez te dwie linie, czy jak kto woli – dwa życia. W zależności od stanu swego umysłu, decydowałam, którą linię podłączyć. Te dwie linie nie tylko oddzielały dwa tory mojego życia, ale ułatwiały też dobór odpowiednich kłamstw. Tworzyły moją postać. Zanim założyłam drugą linię, prawdopodobieństwo, że ktoś przyłapie mnie na kłamstwie, było cholernie duże. Izolując od siebie te dwie ścieżki życia, mogłam kontrolować swoje zachowanie i prowadzić całkowicie satysfakcjonujący tryb życia, zarówno ten kreowany w mojej historii, jak i ten toczący się w rzeczywistości.

Decyzja, którą z linii podłączyć, wydawała się jedyną, jaką musiałam podjąć po przebudzeniu, poza tym, co chcę zjeść i czy mam ochotę na prysznic, czy nie. Lubiłam czuć się odrobinę *grungy** na zewnątrz, jako że tak właśnie czułam się w środku. Pozwalało to innym dostrzec mój ból. Mogłoby odczytać mój znak i mnie ocalić. Niestety, grungowej modzie uległo prawie całe

* Grunge – styl muzyczny (i związana z nim moda), pochodzący z Seattle, rozpowszechniony przez takie zespoły, jak Nirvana czy Pearl Jam; charakterystyczną cechą ubioru były przyduże flanelowe koszule i wytarte dżinsy (przyp. tłum.).

Los Angeles, toteż jedyną cechą, jaką dostrzegali we mnie moi znajomi, gdy byłam w tym stanie, było to, jak bardzo jestem modna.

Zapach mojej skóry i pieczętki klubowe, jakie zostały mi na ręce po poprzedniej nocy, przypominały mi o różnych chwilach, od których starałam się uciec, o piekle, z jakim musiałam się zmierzyć w ciągu dnia. Brudne dżinsy i flanelowa koszula dodawały mi otuchy. Wkładając ubranie z poprzedniego wieczoru, mogłam chociaż uniknąć konfrontacji z zawartością szafy i potencjalnego, kompletnie niechcianego ataku paniki. Musiało upłynąć wiele godzin dnia, żebym zdecydowała się podejść do tego przerażającego mebla i związanych z jego zawartością decyzji. Byłam naga w świetle poranka. Nie miałam twarzy, za którą mogłabym się ukryć, ani postaci, którą mogłabym grać, a ubieranie tej nagiej dziewczyny, bez wiedzy o tym, kim ona jest i co nosi, przypominało kupowanie prezentu dla nieznamomej osoby. O ile łatwiejsze było wsunięcie się w skórę dziewczyny z minionej nocy z nadzieją, że wszystko będzie dobrze.

Jazda po Los Angeles w świetle dnia, gdy nie miałam pracy, była mi wstrętą. Sama myśl, by szukać tej pracy, była już upokarzająca. Pogoń za nią dostarczała jedynie ciągłych rozczarowań i przejrzystej wizji, czym stało się moje życie.

Zaczęłam tworzyć kolejną ze swoich list, zatytułowaną: „Szukanie pracy”. Pod tym nagłówkiem wymieniałam wszystko, co mogło pokonać system i pomóc mi znaleźć jakieś zajęcie. Na pierwszym miejscu postawiłam na urodę. Wiedziałam, oczywiście, że była to zaleta sama w sobie, ale też i najbardziej skuteczna. Na drugim miejscu był intelekt, najpotężniejsze narzędzie, wysoce efektywne, gdy chodziło o poruszanie się wśród hollywoodzkiego bajzlu. Na końcu umieściłam znajomości: wszyst-

kie znane mi osoby, od parkowacza do szefa studia, bo w tej grze zawsze chodziło o skrócenie drogi i wejście do Hollywood kuchennymi drzwiami. Wiedziałam, że ma to swoją cenę, ale cóż...

Aby dopiąć swego, musiałam nadal grać rolę „impresowej panienki”, mając w perspektywie wiele obiadków, kolacyjek i okazjonalnych nocnych wizyt w domach producentów i pokojach hotelowych aktorów, ale wszystko to wydawało się tak ekscytujące, że możliwość, iż ktoś mógłby mnie skrzywdzić podczas uprawiania tego procederu, nawet nie przyszła mi do głowy. Jedyną ceną z jakiej zdawałam sobie sprawę, była konieczność rezygnacji z dzielenia się swoimi sekretami, zatrzymywanie ich dla siebie – wewnątrz. Sądziłam, że prawdopodobnie ta część mojego nędznego bytowania prędzej czy później połączy się z moim nowym, wypracowanym obrazem siebie, i że wszystko ułoży się jak trzeba.

Wypełniając swój wolny czas w ciągu dnia, starałam się robić wrażenie, jakbym usilnie szukała pracy. Czulałam się zagubiona, gdy o wpół do dwunastej przeczytałam w kafeterii nieopodal, co „Drama-louge” ma do zaoferowania w temacie filmów studenckich i śmiesznych audycji. Miałam dwie możliwe drogi: pójść na zakupy albo szukać pracy. Zakupy stały się moją ulubioną formą spędzania, a w zasadzie tracenia czasu w Los Angeles, nie wspominając już o tym, że były cennym źródłem informacji dla mojej historii. Wyglądało na to, że każdy sklepikarz w Los Angeles musiał po prostu podzielić się ze mną losowo wybraną anegdotą z życia którejś z gwiazd. Dość szybko oswoiłam się z tym, jak skażone są owe przybytki plotkami na ten temat. Byłam ciekawa, jak daleko byli skłonni posunąć się w ujawnianiu informacji, które tak bardzo mnie interesowały. Do moich ulubionych miejsc należały sklepy z antykami oraz małe,

swojskie sklepiki ze starociami. Uwielbiałam także te, w których wisiały zdjęcia właścicieli w towarzystwie ich sławnych klientów, trzymających ogromne torby reklamowe z nazwą firmy, tak pełne, jak gdyby właśnie obrabowali to miejsce. Sklepy te stanowiły niewyczerpane źródło informacji. Dowiadywałam się w nich o nowo otwartych restauracjach, jakie kluby są najmłodniejsze, kto z kim chodzi na randki, kto z kim przyszedł w zeszłym tygodniu, jaki rozmiar ciuchów noszą, jakie lubią kolory, gdzie mieszkają, jaki film kręcą. Były lepsze niż „Hollywood Reporter”.

Innymi miejscami poszukiwania pracy i źródeł informacji do mojej historii były oczywiście bary i kluby. Wolałam bary, szczególnie w te wieczory, gdy nie było żadnej imprezy, na przykład w niedzielę. Ułatwiały mi zbieranie danych. Ponadto obserwując te osoby w akcji, mogłam dowiedzieć się o nich o wiele więcej niż z plotek. Ludzie, o których mi głównie chodziło, przeważnie nie wychodzili w weekendy, opracowałam więc plan działań od niedzieli do czwartku, chyba że była jakaś impreza. W takiej sytuacji olewałam bary i rozpracowywałam imprezę. Wtedy właśnie odkryłam swoją miłość do barów. Cóż za wspaniałe miejsca. Zawsze ciemne, zawsze pełne alkoholu, zawsze otwarte, zawsze chętne mnie przyciągać. Czegóż więcej mogłam chcieć od miejsca pracy? Wolałam małe, stare bary, których ściany zdawały się mówić. Lubiłam szafy grające z płytami analogowymi, muzyką niezmienną od czterdziestu lat. Czerwone, skórzane boksy i stoły bilardowe, irlandzkich barmanów z błyskiem w oku i gotową historyjką. Lubiłam ciemne bary, jaskinie z przytłumionym światłem, w których mogłam dowolnie manewrować, tak by znaleźć miejsce, z którego łatwo mi będzie obserwować i badać. A przy okazji, byłam też przynętą! Musiałam

nią być. Czymże innym mogłabym ich przyciągnąć? Ludzi, o których mi chodziło, interesowały trzy rzeczy: pieniądze, władza i seks. Na pewno nie miałam pieniędzy ani żadnej władzy. Wszystko sprowadzało się więc do seksu. Seks – te cztery litery zawierały w sobie tyle zabawy i możliwości. Była to jednak tylko przynęta. Nigdy właściwie nie miałam zamiaru posłużyć się nim, by sfinansować zbieranie informacji. Interesował mnie raczej jako środek do zwabienia ich. Był to najprostszy sposób, by zbliżyć się do upatrzonego obiektu badań – zając się nim intymnie. Fakt, że pociągałam ich, choć byli zazwyczaj pijani, ułatwiał mi wyluskanie osobistych informacji z ich życia, co mogło wzbogacić moją historię, opromienić ją sławą i zaspokoić ciekawość. Nie miałam zamiaru przespać się z całym Hollywood, interesowała mnie moja historia i znalezienie pracy. A jeśli zdarzało się, że trzeba było przespać się z moim obiektem badań, no cóż, takie rzeczy dość często zdarzały się w Hollywood – wówczas zbieranie informacji stawało się bardziej zabawne.

Jak już wspomniałam wcześniej, wyjątkowo lubiałam robić laskę. Nie pytajcie mnie dlaczego – tak po prostu było. Zrobienie laski było sposobem na szybsze wyjście z pokoju, gdy ja swoją część zabawy miałam już za sobą, a on jeszcze nie. A więc tak, czasem posługiwałam się łóżkiem, by dostać to, czego chciałam. Aresztujcie mnie.

W środe dochodziłam do siebie po wtorkowym kacu, wpatrując się w bukiet „z podziękowaniem za numer”, przysłany od Reżysera, chcąc przemyśleć krok po kroku całe to wyjście i zbieranie materiału do historii. Do czwartku rano miałam już obmyślony plan zabawy i dałam spokój wszelkiej niechęci do Reżysera. W końcu do czwartkowego wieczoru pozostało zaledwie

kilka godzin, a nie mogłam go przegapić, jeśli naprawdę chciałam zostać zauważona, więc gdy zadzwoniła Carolyn oczywiście powiedziałam, że jestem chętna.

NARRATOR

Carolyn jest moją najlepszą przyjaciółką. Przenieśliśmy się razem do Los Angeles po kilku drinkach za dużo w barze „Waldorf Astoria” w Nowym Jorku pewnego deszczowego lutego dnia, gdy obie miałyśmy złamane serca przez młodych gwiazdorów. Opracowałyśmy plan ucieczki z Nowego Jorku i rozpoczęcia życia od nowa w Los Angeles. Carolyn jest ode mnie o sześć lat starsza. Pochodzi z Waszyngtonu i właśnie ma za sobą niezłe zamieszanie z władzami, spowodowane między innymi wrzuceniem do niszcarki niezwykle ważnych dokumentów. Była dobrze wykształcona, bystra, piękna, miała wysoką pozycję w polityce i można się było z nią wspaniale bawić. Mogłam w każdej chwili wyciągnąć ją na drinka, pasowałyśmy do siebie idealnie niemal w każdej sytuacji. Lata później Carolyn uzależniła się od kraku* i wyszła za mąż za uzależnionego od heroiny rockandrollowego pisarza. Byłam na jej ślubie, to jedyne, co pamiętam z tamtego dnia. Carolyn latami pożyczala mi pieniądze, gdy byłam na dnie. Powoli jej to spłacałam wiele lat później.

Umówiliśmy się na spotkanie w „Olive”, cichym, choć supermodnym barze przy Farmer's Market na Fair-

* Kokaina (przyp. tłum.).

fax. Czwartki w „Olive” miały wszystko, co najważniejsze. Uderzały głównie w „industrialny” tłum, zatem szanse na to, że wpadnę na kogoś znajomego, były spore. Zrobiłam zwyczajny, jakby niedokończony, typowy dla modelki makijaż, troszkę tu, troszkę tam, aby podkreślić właściwe rysy twarzy i nadać odpowiedni blask do wieczornych przygaszonych złotych świateł, błyszczących tkanin i ciepłego drewna. Zrezygnowałam z obcisłej, seksownej sukienki, wyciągnęłam lewis i czarny golf, żeby wyglądać jakby nic a nic nie obchodziła mnie uroda. Byłam pewna siebie i seksowna w stylu Wschodniego Wybrzeża. Zawsze uważałam: gdy jesteś w Los Angeles, ubierz się, jakbyś była w Hamptons, a gdy jesteś w Hamptons, ubierz się, jakbyś była w Los Angeles, a zawsze trafisz. Ta zasada nigdy mnie nie zawiodła w żadnej z moich wielkich misji. To, jak wyglądałam, mogło przyciągnąć faceta, którego szukałam, a ten, o kogo mi chodziło, na pewno w którymś momencie musiał mieszkać w Nowym Jorku. Nietrudno było mnie zauważyć w barze w L.A. Dziewczyna z L.A. w nowojorskich ciuchach oznaczała: „seksowna i bystra”.

Usiadłyśmy przy barze i zamówiłyśmy drinki jak zwykle: dla mnie, wódka z sokiem borówkowym i limonką, a dla niej chardonnay. Zaczęłyśmy omawiać szczegóły mojej nocy z Reżyserem i co może z tego wyniknąć. Na samym początku doszłyśmy do wniosku, że pewnie nigdy się do mnie nie odezwie, a już na pewno nie dostanę roli w żadnym z jego filmów. Pieprzyć to, ale jak mam unikać tego faceta? Bywa wszędzie, a poza tym jeszcze jedno, komu powiedział o naszej małej nocnej schadzce? Teraz muszę się martwić i o to, a ponadto, jak, do cholery, mam zapłacić czynsz za ten miesiąc? Pierdołę to, dajcie mi kolejną wódkę.

Ostatnią rzeczą, o jakiej mogłam pomyśleć tej nocy, było to, że spotkam byłego kochanka mojej byłej

współlokatorce. Ostatnim razem widziałam go w starej „chatce miłości”. Bawiliśmy się w jakąś pizamową zabawę. Kto, u licha, wie, jakie były nasze intencje. Pamiętam tylko, że było coś z pizamami, i różne twarze, które odwiedziły mnie, gdy byłam na haju po jakiejś brudnej trawie w naszym domu w San Fernando Valley. Poza tym nie byłam w stanie udzielić Carolyn informacji na temat jakichkolwiek faktów, gdy zobaczyłam go, jak wślizguje się przez tylne drzwi z jakąś blond panią. Poczułam nagły przypływ paniki i lepki pot, występujący zawsze wtedy, gdy spotykałam później Henry’ego, potem szybki kontakt wzrokowy, jedyna dobra rzecz, jaką można zrobić w takiej sytuacji, i obrót do barmana, by zamówić kolejną wódkę. Nie byłam pewna, czy załapał próbę nawiązania kontaktu wzrokowego, ale mogłam liczyć na moją współniczkę w przestępstwie, Carolyn, że poinformuje mnie o jego kolejnych ruchach, i czy przejawia ślad chęci podejścia do mnie. Skorzystałam z owej, o cholera, chwili, by przedyskutować swój plan z Carolyn, która niestety sprostowała, że to nie na imprezie pizamowej widziałam go po raz ostatni, ale gdy pocałowaliśmy się przypadkiem przy motocyklu. Kolejna, o cholera, masz rację, chwila konsternacji. Gdy go wtedy pocałowałam, on jeszcze umawiał się z moją współlokatorką. A co mi tam, pomyślałam, kogo to w ogóle obchodzi, ona już dawno nie jest moją współlokatorką, minęły dwa lata, pieprzyć to. On najprawdopodobniej tego nawet nie pamięta. Poza tym, byłam wtedy gruba.

„Dobra – powiedziałam więc do Carolyn. – Rzuć okiem na drania i powiedz mi, jak wygląda i z kim przyszedł”.

Carolyn zrobiła idealny półobrót na stołku barowym, by spojrzeć w jego stronę niby od niechcenia i zdać mi

relację. „OK – powiedziała. – Wygląda genialnie, a panielka jest paskudna”.

Doskonałe sprawozdanie. Dokładnie to chciałam usłyszeć. Teraz potrzebny był mi plan. Proste. Czekać. Zaczekać, aż podejdzie bliżej, odwrócić się i przykuć jego wzrok.

Minęło półtorej godziny, a on nadal siedział z tyłu sali z blond niunią. Im dłużej czekałam, tym bardziej byłam nakrecona, napalona i pozbawiona wszelkich złudzeń. Wypadalo jakoś sobie pomóc. Po dwóch godzinach zdecydowałam się na plan awaryjny: zapłacić rachunek, zacząć wychodzić, nawiązać z nim kontakt wzrokowy, gdy odwrócić się od baru i już... musi zadziałać.

NARRATOR

Zakochałam się w Henrym w chwili, gdy go ujrzałam, totalnie zafascynowana tym, jak chodził, mówił, poruszał się, wszystkim, cokolwiek by zrobił. Henry był uosobieniem wszelkich moich pragnień. Był Kanadyjczykiem i hokeistą. Uwielbiałam hokeistów, szczególnie bramkarzy, którym rzeczywiście był. Henry był tym hokeistą, z którym nigdy nie miałam szans poflirtować. Hokeistą z juniorów, którego mój brat przyprowadzał do domu po treningu, a którego nigdy nie mogłam mieć. Był też brudny. Tak brudny, że nawet trochę śmierdział. Pamiętam swoją była współlokatorkę, szorującą go pod prysznicem, zanim przeszli do ostrego, całonocnego seksu. Słyszałam przez ściany, jak pieprzyli się, jęcząc. Nigdy mnie to jakoś nie kręciło. Słyszałam ich przez cały czas. Ona zawsze się z kimś pieprzyła, ale nie mogłam znieść, że pieprzy

się akurat z Henrym. Kiedy go poznałam, byłam na etapie zaniżonej atrakcyjności, wciąż pracując jako kelnerka w pizzerii w Valley i miałam piętnaście funtów* nadwagi. Byłam załamana i próbowałam bojkotować sama siebie, ale wiedziałam jedno, że Henry jest mi przeznaczony. Byłam przekonana, że pewnego dnia on sam to zrozumie. Ostatnim razem, gdy go widziałam, złożył wizytę mojej współlokatorce. Wtedy go właśnie pocałowałam. Pocałowałam go w usta tuż przed domem. Czułam, że między nimi koniec, i że go długo nie zobaczę. Było mi go szkoda, że musi przyjść i się pożegnać. Było jasne, że nie miał pojęcia o darmowym gniazdku miłości, jakie sobie uwiła moja współlokatorka. Odprowadziłam go zatem do motocykla, chcąc się także z nim pożegnać. Ale wtedy go pocałowałam... Po raz pierwszy pocałowałam miłość mojego życia... Nie spodziewałam się tego, ale zrobiłam to. Pocałowałam Henry'ego – tylko tyle byłam sobie w stanie powiedzieć przez wiele kolejnych dni... Całowałam się z Henrym. Minęły dwa lata od tamtego pocałunku i znów się spotkałyśmy.

„Hej, mała” – powiedział, podnosząc się z krzesła, z drugiego końca sali. Podeszłyśmy do niego z Carolyn, a ja uściśnęłam go mocno. Czułam, że wszyscy patrzą na to, jak się przytulamy, bo przez ostatnie dwa lata Henry został wielką gwiazdą. Każdy z jego filmów przy-

* Funt = ok. 1/2 kg (przyp. tłum.).

nosił zysk ponad 80 milionów dolarów, jego notowania rosły i był na najlepszej drodze do tego, aby zostać supergwiazdą. Ale mnie jakoś nigdy nie kręciła kariera Henry'ego; widziałam jedynie pięknego mężczyznę, jeżdżącego wspaniale na motocyklu, niedbałego w ubraniu, ale promieniującego jakimś swoistym blaskiem.

Gdy skończyliśmy się przytulać, co wspominam jako ten rodzaj uścisku, kiedy obejmujesz kogoś mocno i chwytacie się za ręce, moje życie odmieniło się na zawsze. W tej jednej chwili zrozumiałam, że znalazłam bratnią duszę. Tylko dlaczego właśnie on? Nie miało to żadnego sensu. Nie czułam jeszcze nigdy w stosunku do nikogo tak wielkiej siły przyciągania, wręcz więzi, poza nim, a była to tylko króciutka chwila. Co to, do cholery, było? Co mi się właśnie przydarzyło? Dlaczego nie mogłam dalej grać swojej roli, dlaczego nawet nie chciałam? Tyle myśli przebiegało mi przez głowę w tej jednej chwili; nie byłam pewna, czy powinnam puścić jego rękę, więc nie zrobiłam tego. Trzymałam ją nadal; najwyraźniej znalazłam coś, co mogło mnie ocalić, coś, co mogło mnie powstrzymać przed tym całym szaleństwem, do którego zdążyłam już tak obsesyjnie przywyknąć. Chciałam ukryć się w Henrym i nigdy nie pozwolić mu odejść. Nie dbałam wtedy o własne ego ani o przedstawienie mu Carolyn, nie obchodziło mnie, co pomyśli jego blondi, ważne było jedynie trzymanie go za rękę. On także mojej nie puszczał. Nie chciałam, aby ta chwila minęła, marzyłam, by czas się zatrzymał, pragnęłam zostać z nim w tym miejscu na zawsze. „Kiedy znów cię zobaczę?” wymknęło mi się mimo woli.

Wymieniliśmy się numerami telefonów, przedstawiliśmy sobie swoje znajome i pożegnaliśmy się. „O mój Boże, co się tu właściwie wydarzyło?” – zapytała

Carolyn, gdy czekałyśmy na podjeździe na przyprowdzenie naszych samochodów. Modliłam się, żeby udało się nam odjechać, zanim Henry i jego przyjaciółka wyfruną przez drzwi. Nie mogłam oddać słowami tego, co czułam, a już na pewno zrozumieć, jaki to wszystko miało sens. Powiedziałam, że zadzwonię do niej jutro.

Zadowolone i wykrecone, rozeszłyśmy się. Próbowałam skupić się na numerze telefonu, zapisanym na pudełku zapalek, i postanowiłam zadzwonić do niego w następnym tygodniu, żeby zaprosić go na imprezę urodzinową. Rzuciłam zapalki obok leżących na nocnym stoliku kwiatków „z podziękowaniem za numerek” i zasnęłam.

Otwarty bar

Kogo zaprosić? Co na siebie włożyć? Przerastało mnie to. Zaprzeczająca zdrowemu rozsądkowi potrzeba urządzania imprezy w tak trudnym dla mnie czasie wydawała się czystym absurdem. Moje ego najwyraźniej domagało się dopieszczenia, a moja cielesna powłoka – ucieczki od biedy i depresji. Urządzenie urodzinowej imprezy było lekiem na wszystko, a przynajmniej doraźnym rozwiązaniem.

Kolejna przejażdżka na drugą stronę wzgórza z San Fernando Valley dała mi sporo czasu na obmyślenie planu i fantazjowanie na temat organizacji imprezy. We wtorek wieczorem jechałam jak zwykle na lekcje aktorstwa – była to jedna z niewielu rzeczy, jakim się kiedykolwiek poświęciłam, zawierająca w sobie słowo *lekcja*. Nie przepadałam zbytnio za jakimikolwiek lekcjami, a jeszcze mniej tymi, które wymagały pracy w domu, ale wszystko to było częścią wielkiego planu, dzięki któremu miałam wypełnić swoje przeznaczenie, zostać sławną aktorką i przedłużyć w czasie możliwość posługiwania się tym tytułem. Lekcje aktorstwa interesowały mnie z dwóch powodów, z czego tym mniej ważnym było samo aktorstwo, a podstawowym – tania terapia. Od dwóch lat uczyłam się u tego samego nauczyciela i czułam, że dowiedziałam się kilku rzeczy na swój temat i na temat Czechowa. Uwielbiałam rosyjskich dramaturgów. Stałam się już wręcz fanką tego ich budzącego podziw towaru eksportowego, więc co mi tam. Mogłam teraz pić ich wódkę i biegle rozprawiać o największych rosyjskich dramaturgach, a w dobry dzień nawet recytować monologi z *Mewy*.

Ale to nie Czechow przyciągał mnie z powrotem, tylko czas spędzany po lekcjach z Charlotte w knajpce po drugiej stronie ulicy, sprawiający, że cieszyłam się na nadejście wtorku.

NARRATOR

Charlotte. Zbzikowana na punkcie Jezusa. Ta, która zawsze mówiła, że się z mnie pomodli. Czasem chciałam dać jej listę rzeczy, których potrzebowałam. Na pewno była wśród nich torba od Gucciego, na którą miałam oko, chociaż, jak podejrzewałam, w modlitwach Charlotte chodziło raczej o zbawienie mojej duszy. Charlotte mówiła szeptem, jak koteczka. Mruzczała do ciebie tymi pięknymi słowami i obietnicami z Biblii. Każdy poszedłby za Jezusem, gdyby spotkał Charlotte. Jej główną i najbardziej rzucającą się w oczy cechą był biust w rozmiarze duże D, który, jak była przekonana, pomagał jej przyciągać ludzi do Chrystusa. „Jeśli ktoś może zacząć rozmowę o Jezusie, mówią, to mam nadzieję, że zwróci i na ten szczegół uwagę. Im większy, tym lepszy”. Nie mówiąc już o obcisłych bluzkach i dopasowanych džinsach, które sama zdobyła. To właśnie gorliwe oddanie się sprawie Jezusa sprawiało, że jej styl ubierania prostytutki wydawał się w porządku, dopóki głosiła Słowo. Rutyna entuzjastycznej głosicielki Biblii i ciuchy striptizerki o złotym sercu były tym, co mnie pociągało w Charlotte. W jakiś sposób wyczuwałam, że stanie się ona częścią mojej historii.

* * *

Jadąc na lekcję, zastanawiałam się, czy powinnam zaprosić Charlotte na swoją imprezę. Poznałyśmy się na lekcjach aktorstwa, ale i tym razem, jak zwykle, nie pozwoliłam nikomu zbliżyć się do mnie zbyt szybko. Spotkanie się z Charlotte raz w tygodniu najzupełniej mi wystarczało, na pewno nie była dla mnie typem przyjaciółki z wyboru, a jeszcze mniej kimś do kogo miałabym ochotę zbliżyć się poza lekcjami, stąd, tak naprawdę, traktowałam ją tylko jako znajomą. Ale pewnego wieczoru po lekcji podeszła do mnie i spytała, czy nie zechciałabym pójść z nią na kawę do knajpki obok. Miałam na końcu języka odpowiedź „nie”, ale słowo „tak” jakoś samo wyszło z moich ust. Dawne maniere czasem nie dają za wygraną. Z marlboro light w dłoni podążyłam za Charlotte do knajpki i szybko zajęłam najciemniejszy boks, jaki udało mi się znaleźć. Myśl o kawie tak późnym wieczorem wydawała mi się niezbyt zachęcająca, zamówiłam więc colę i frytki z sosem farmerskim. Słuchałam tylko, patrząc, jak Charlotte mówi. W jednej chwili zauważyłam, że ma na mnie kojący wpływ. Jej obecność dodawała mi otuchy. Nie miałam pojęcia, jak ona to robi.

Spotkanie się w knajpce stało się naszym cotygodniowym rytuałem, chociaż prawie nie odzywałam się do Charlotte przez pierwszych kilka miesięcy. Zazwyczaj byłam zbyt zmęczona, zbyt skacowana po poprzedniej nocy, czy jaki tam miałam inny powód, aby nie móc poświęcić jej czasu, a mimo to zgadzałam się, by pójść z nią do knajpki w każdy wtorkowy wieczór. Mówiłam jej, że jestem zbyt zmęczona, by rozmawiać, a ona dalej popijała swoją bezkofeinową, patrząc, jak palę marlboro, i podjadała moje frytki. Pewnego razu

po lekcjach czekałam na nią jak zwykle za teatrem, żeby pójść razem do knajpki, ale ona się nie pojawiła. Kiedy wróciłam do domu, na mojej sekretarce była wiadomość.

CHARLOTTE

Cześć Tobie, mówi Charlotte. Przepraszam, że nie zaczęłam dziś na ciebie po lekcji, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli będziemy się teraz spotykać tylko na zajęciach. To nie jest chyba najlepszy moment w twoim życiu na zawieranie nowej przyjaźni, zważywszy na to, co się ostatnio u ciebie dzieje. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć, jeśli byś kiedy mnie potrzebowała... Trzymaj się. Do zobaczenia we wtorek na zajęciach.

Straciłam przyjaciółkę, bo nie umiałam dawać – o co tu, kurwa, chodzi? Daję przez cały pierdolony dzień. Co to znaczy, że nie umiem dawać? I co, do diabła, mam dawać? Niech to szlag. Trzasnęłam słuchawką i padłam z płaczem na łóżko. Jak mogę dawać? – pomyślałam. Co mam zrobić, żeby dawać? Nigdy nie musiałam dawać, zawsze biorę... Nie wiem, jak dawać. W tej chwili chciałam tylko zamknąć oczy i zasnąć. Nienawidziłam bólu, jaki przysporzyła mi Charlotte, nienawidziłam konieczności stawienia czoła temu, kim się stałam. Wiedziłam, czego Charlotte chce ode mnie. Chciała, żebym posłuchała. Chciała, żebym uwierzyła w to, co miała mi do powiedzenia na temat zbawienia i bożego planu wybaczenia, skruchy, świętości, modlitwy i wychwalania Go oraz wszystkich innych słów, których nigdy przedtem nie słyszałam. Chciała, żebym zrozumiała, że istnieje sposób wyjścia z mojego dotychczasowego trybu życia.

że mogę go zmienić i zacząć od nowa. Nie mogła mnie tam po prostu zabrać, mogła mnie tylko w jakiś sposób naprowadzić i podzielić się ze mną wrażeniami, jak jest po tej innej stronie, bo przecież dobrze wiedziała, że nadal tkwię w tym swoim ulubionym kręgu ciemności, a czas, jaki spędziłyśmy razem w knajpce, to moje jedyne chwile światłości, ale i to musiało się skończyć. Teraz samej przyszło mi odnaleźć to światło. Charlotte uczyniła wszystko, co mogła. Pokazała mi drogę. Do mnie należało podążyć nią.

NARRATOR

Nie wiem, jak się wybiera właściwą ścieżkę. Bóg stawia te osoby na naszej drodze każdej chwili, każdego dnia, próbując nas przeprowadzić przez ten świat, a do nas należy je zauważyć. Możemy dostrzec znak, jaki nam posyła, albo po prostu przejść obok. To jak omijanie bezdomnego, zebrzącego o pieniądze. Dasz, czy nie? Musisz podjąć decyzję w tym właśnie momencie. Tak samo jest z aniołami pojawiającymi się na twojej drodze, wskazującymi właściwy kierunek. Nie możesz zaufać sobie, by uwierzyć, że anioły istnieją. Musisz wiedzieć, czym jest wiara. Ale ja nie wiedziałam, jak ją zdobyć. Kto rozdaje wiarę? Gdzie u diabła można dostać wiarę? Czy to te wszystkie niewidzialne rzeczy? Co Charlotte chciała mi powiedzieć, czego nie mogłam zrozumieć? Jak mogła naiwnie wierzyć, że to wszystko się uda? Nie mogłam wybrać jej ścieżki. Nie miałam w sobie wiary. Sama musiałam się wpierw dowiedzieć, co ona oznacza. Musiałam pójść po własnych śladach.

Ruszyłam znów pełną parą do przodu i znalazłam swój rytm. Charlotte działała teraz na mnie jedynie otępienie, więc pytanie, czy zaprosić ją na tę fantastyczną imprezę, wprawiało mnie w zakłopotanie. Niby chciałam, żeby zobaczyła, dlaczego jestem taka rozpieprzona, ale jednocześnie miałam jakiś wewnętrzny opór. Częściowo może dlatego, bo wiedziałam, że nigdy dotąd nie była na takiej imprezie, a po części dlatego, że w głębi duszy uważałam, że tylko ona może mnie ocalić, jeśli coś pójdzie nie tak. Potrzebowałam przyjaciółki, więc mimo wszystko jej wyznaczyłam tę rolę. W tym samym czasie nie chciałam, żeby trzymała mnie z dala od grzeszników. Jak zwykle znalazłam więc sposób, żeby ją zaprosić, a równocześnie wyjść na swoje. Powiedziałam, że ją zapraszam, ale może przyjść tylko sama. Tym sposobem na pewno się nie pojawi, a jeśli nawet, no to co? Zobacz, jak ohydna się stałam, kogo to zresztą, kurwa, obchodzi, w końcu to moje urodziny. Ale miałam świadomość, że spadam i zdawałam sobie sprawę z tego, że chcę, żeby Charlotte tam była i mogła mnie złapać w razie czego. Wiedziałam też, że tylko ona może to zrobić. Mimo to, jeśli tylko udało mi się pokazać jej, jak bardzo moje życie różniło się od jej trybu życia, może zrozumiałaby, dlaczego palę, dlaczego piję, dlaczego pieprzę się z facetami, których nie Kocham, i dlaczego tak bardzo siebie nienawidzę. Chwiejnym krokiem wszłam do klasy i usiadłam w ostatnim rzędzie, rozważając różne opcje przed rozmową z Charlotte. Spytałam ją, zanim nawet powiedziałam „cześć”. Jej oczy rozświetliły się, jak gdyby chciała z uprzejmości powiedzieć mi „tak”, ale powiedziała „nie”. „Przepraszam, po prostu nie mogę, ale dziękuję, że o mnie pomyślałaś”. Powiedziałam jej, gdzie to się odbędzie i kiedy, gdyby zmieniła zdanie. Opuściłam głowę na pierś i odeszłam.

Poczułam w środku pustkę, ale potrzeba znalezienia własnej historii znów dała mi siłę, by iść dalej. „Nie odwracaj się – pomyślałam. – Nigdy nie odwracaj się za siebie. Wróć do domu. Po prostu idź...”

Nagła potrzeba uporządkowania emocji i wyciszenia bólu była z reguły tym, co wyzwało we mnie napad gorliwego sprzątanego. Mimo że moje mieszkanie nad garażem składało się tylko z jednego pokoju z małą łazienką, kabiną prysznicową i aneksem kuchennym, mogłam je sprzątać godzinami. Nieważne, o której zaczęłam sprzątać, liczyło się tylko całkowite ukończenie. Odkryłam, że była to jedyna rzecz, która zagłuszała moje poczucie odrzucenia przez Charlotte. Sprzątanie było jakby misją, w której mogłam się skoncentrować na szczegółach i rozwiązać problem. Jeśli podłoga jest zaśmiecona, zamieść ją; zlać umywalkę w łazience płynem Spic & Span, wytrzeć, gotowe. Prysznic ma pianę z mydła na ściankach; spryskać Tilexem i przetrzeć gąbką. Przy każdym sprzątniętym fragmencie pokoju miałam poczucie ukończenia dzieła i nagrody. Teraz było wreszcie miejsce i porządek dla tego całego nieładu wokół mnie. Mogłam całkowicie kontrolować otoczenie. Nie było żadnych min-pulapek, żadnego odrzucenia, żadnych tłumów. Byłam bezpieczna. Mogłam się zmierzyć z atakiem paniki, jeśli chciałam, byłam w domu; mogłam doświadczać wszystkiego, co mogło mnie spotkać na zewnątrz, czując się całkowicie bezpieczna we własnym otoczeniu i mogąc sprzątać dalej, póki ból nie ucichł. Musiałam się zmęczyć, szorując podłogi, zmywając naczynia, ustawiając szklanki, czyszcząc szufladki z przyborami do makijażu, zmieniając pościel, przewieszając ubrania, aż wreszcie nie mogłam już ustać na nogach, i byłam w stanie już tylko zmyć z rąk kurz i brud, i walnąć się na łóżko, gdzie mogłam w końcu

odpocząć, przykryta swoim szaleństwem. Ukończyłam coś. Odzyskałam kontrolę nad rzeczywistością. Rzeczy były uporządkowane na jutro, a moja potrzeba ładu wynikała z tego, że jutro było dniem, w którym miałam wykonać wszystkie telefony w związku z moimi urodzinami i ostatecznie sprecyzować plan imprezy. Uprzątnęłam więc swoją słabość. Mogłam się spokojnie jeszcze raz obudzić, by rozstawić po kątach tych wszystkich, którzy byli mi potrzebni do rzeczywistnienia moich planów. Mogłam do woli kłamać, by dostać to, czego chciałam, udawać, że jestem tym kimś, kimkolwiek i z kimkolwiek chciałam być. Usnęłam, a wszystko było poukładane tak, jak mi to było potrzebne, tak, jak ja to sobie poustawiałam. To był mój układ, mój dom. Mniejsza o wspomnienia klótni Mamy i Taty, mniejsza o chowanie się w piwnicy, w kucki pod schodami, z lodowatymi stopami na betonowej podłodze. Nie mogę tam teraz pójść. Muszę się wyspać. Posprzątałam. Odłożyłam tamte wspomnienia.

Biorę głęboki wdech, kładę dłonie na twarzy, wypycham gorące powietrze przez szpary między koniuszkami palców i uciekam od tego wszystkiego: dźwięku rozwiścieczanego głosu mojego ojca i błagania mojej wyczerpanej matki, by wreszcie przestał. Podciągam kolana do brzucha i zwijam się w kłębek, czekając, aż cisza mnie pochwyti, żebym mogła zamknąć oczy i udawać, że śpię. Słyszę, jak głos matki odbija się echem w ciemności. Przechodzi cichutko korytarzem, by powiedzieć przez szparę w drzwiach do mojego pokoju: „Zawsze jest jakieś jutro, by spełniać marzenia”.

Pierwszą myślą po przebudzeniu były szczeniaczki, joint i jajko z niespodzianką. Zwariowałam na punkcie szczeniąt. Nachodziło mnie rozpaczliwe pragnienie posiadania pieska, mimo że nie byłabym w stanie go wy-

żyć, nie mówiąc już o zajmowaniu się nim. Mimo to okropnie chciałam mieć pieska, co było tylko symptomem samotności i potrzeby czułości – ogólnie rzecz biorąc tego, co zwykle czułam po zrobieniu generalnych porządków.

Skręciłam przedurodzinowy, grzecznościowy – pochodzący z domowej hodowli – prezent od mego przyjaciela Fun Boya i wzięłam parę machów, aż przyszedł mi do głowy pomysł na strój. No i bingo, lekko zakręcona, miałam wszystkie odpowiedzi: strój, gdzie należy pójść, co zrobić, jakie kupić jedzenie i jakie wykonać telefony. Chwilowo byłam uleczona. Kłątwa została zdjęta. Zadzwoił telefon.

– Tu „Słodka Lady Jane”, chcemy potwierdzić zamówienie na tort owocowy za pięćdziesiąt dolarów.

– Świetnie – odpowiedziałam. – Odbiorę go w sobotę – odłożyłam słuchawkę. Cholera, pomyślałam, ta pieprzona impreza. Co ja na siebie włożę? Niech to... Wesolutkie zakręcenie minęło.

Musiałam zadzwonić w sprawie urodzin przede wszystkim do Henry’ego. Ten telefon był najważniejszy. Bez Henry’ego impreza okazała się katastrofą. Nie będę miała z kim wrócić do domu. Impreza jest przecież tylko pretekstem, żeby go znów zobaczyć. Potrzebowałam jakiegoś powodu, nie mogłam ot tak zadzwonić i powiedzieć „cześć”. Pieprzę to, teraz cała impreza kręciła się tylko i wyłącznie wokół Henry’ego. Wszystko – począwszy od szczegółów, gdzie i o której się odbędzie – tylko mnie nudziło, chyba że byłby tam Henry.

Najpierw zadzwoniłam do klubu, żeby zapewnić sobie darmowe drinki dla gości. Musiałam zagwarantować menedżerowi, że pojawią się znane twarze i mnóstwo modelek. Powoli odczytywałam mu swoją listę, tak żeby brzmiało to naturalnie, tak jak się anonuje swoich

dobrych znajomych. Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie zacząć od paru stałych klubowiczów, potem Młode Hollywood, dorzucić paru weteranów i zamknąć listę słowami: „Bobby i jego znajomi też mogą się pojawić. A na pewno przyjdzie Sean”. Każdy porządny właściciel klubu wie, że chodzi o Roberta De Niro i Seana Penna. A jeśli musisz pytać, to jesteś kretyńcem!

„Te osoby przyjdą. Ten i ów może się również pojawić, ale kto to wie, ona będzie na pewno, tak, dzwoniłam do Forda, już wie, Jack, kto wie, może przyjdzie po meczu”. Tak to szło. TADAM... Darmowe drinki do pierwszej, ten dupek powiedział, że zapłaci też za tort. Po tej rozgrzewce byłam gotowa, żeby zaprosić gości. To było łatwe. Szybki i niezobowiązujący telefon. Dzwoniłam w ciągu dnia, wszystko szło na automatyczną sekretarkę. „Cześć, mówi Tobs, robię małe spotkanie (zawsze chciałam, żeby wszystko wydawało się małe, żeby nie wystraszyć tubylców), o ósmej wieczorem w sobotę w Bar One, jeśli chcesz, przyprowadź kogoś, do zobaczenia, mam nadzieję, że wszystko w porządku, na razie”. I tyle. Wykonałam pięćdziesiąt telefonów, poza tym do Henry'ego. Zostawiłam go sobie na koniec. Chciałam zadzwonić do niego wieczorem. Chciałam porozmawiać z nim osobiście.

Wyjęłam pudełko zapalek z jego numerem i wybrałam go. Natychmiast włączyła się automatyczna sekretarka.

„Cześć, tu Henry, zostaw wiadomość...”

„Cześć Henry, tu Tobi. Miło cię było zobaczyć tamtego wieczoru. Słuchaj, robię małe urodzinowe spotkanie w sobotę wieczorem, jeśli jesteś w mieście, strasznie bym chciała, żebyś zajął. Zostawię twoje nazwisko na Bramce. Bar One, o ósmej, mam nadzieję, że się tam zobaczymy, trzymaj się”.

Odłożyłam słuchawkę i westchnęłam. Świetnie, teraz nie wiem na pewno, czy przyjdzie, nie wiem, czy jest

w mieście, po prostu gówno wiem. Dobra, co mi tam, pomyślałam, muszę iść dalej, jak się pojawi, to się pojawi, a jak nie, to nie. Co teraz, zastanawiałam się, czego mi w tej chwili potrzeba? Drinka. I być może jeszcze jednego ceremonialnego jointa, żeby świat stał się mniej kanciasty. Z nienaruszonym planem wybiegłam z domu, bez makijażu, w dżinsach, kowbojkach, czarnej skórzanej marynarce, ze zdrowym nastawieniem i paroma dwudziestkami, które mama przesłała mi przez Western Union, jako coś w rodzaju przedurodzinowego prezentu, żebym zapłaciła rachunek za prąd. Miałam ochotę na parę wódek i już mnie nie było. Policzyłam, że tego dnia przejechałam przez wzgórza jakieś tysiąc razy, i że ostatnia przejażdżka z powrotem mogłaby mnie właściwie skłonić do zjechania z Laurel Canyon, kiedy dotarłam do Mulholland. Pomyślałam o Jamesie Deanie w jego kabriolecie*, o piosence Billy Joela *Only the Good Die Young*** i o niedającym mi spokoju głosie mojej mamy, mówiącej do mnie w nocy przez szparę w drzwiach.

Dzwoni telefon, jest zbyt wcześnie, by stanąć twarzą w twarz z oślepiającym kalifornijskim słońcem, przebijającym się przez bambusowe rolety. Waham się, ale odbieram tym swoim przytłumionym porannym seksownym przepitym głosem.

KANE

„Tobi? Cześć, mówi Kane”.

Mimo że Kane jest moim bratem, prawie się nie znamy. Ten dawniej kościasty dzieciak, który tłukł mnie

* James Dean zginął w wypadku. W ostatnim wywiadzie miał powiedzieć: „Chcę żyć szybko, umrzeć młodo i ładnie wyglądać po śmierci” (przyp. tłum.).

** „Tylko ci dobrzy umierają młodo” (przyp. tłum.).

i poniżał, miał teraz sześć stóp i cztery cale wzrostu i ważył jakieś dwieście funtów. Miał ksywkę „Wódz”. Jego głos po drugiej stronie słuchawki budził mój strach, kiedy przypominam sobie rozmowę telefoniczną, jaką odbyliśmy, zanim moi rodzice rozstali się po raz ostatni. „Znowu się rozstają, rób, co możesz, żeby się stąd wyrwać, zanim będzie jeszcze gorzej”. Kane: zawsze realista, po prostu stwierdzający fakty. Bez emocji, bez reakcji. „Jadę do Des Moines grać w pierwszej lidze juniorów z Buckaneers”. Dla Kane’a wyjazd był prosty. Miał już plan i miał dokąd pojechać. Powiedział tylko: „To tyle, jeśli chodzi o ciebie i o mnie, mała. Koniec rodziniki na pokaz, zostałaś sama”. Nie było czasu na okazywanie uczuć. Oboje musieliśmy wyrwać się z domu, uciec od tego wrzasku i krzyków. Tak wyszło, że Kane’owi trafił się bilet przede mną.

Teraz nic już nas nie łączy. Jego ciągle przezwiska i bicie mnie, kiedy byłam młodsza, nadają cierpki rys moim myślom o nim jako o dorosłej osobie. Ożenił się z moją przyjaciółką Willow z trzeciej liceum. Przedstawił mi ich sobie, kiedy została u mnie na noc po zgrupowaniu dla cheerleaderek. Skończyli w łóżku w pokoju Kane’a przy *Frampton Comes Alive*. Potem urodziło im się dwoje dzieci i przenieśli się do Dallas. Prawdziwa miłość. Idealne życie. Nienawidzą mnie. „Myśleliśmy z Willow, żeby przyjechać na twoje urodziny. Co ty na to?”. Willow na co dzień podaje koktajle podczas lotów śródamerykańskich i ma pod dostatkiem darmowych biletów dla nich obojga, dzięki którym mogą podróżować w dowolne miejsce z listy rezerwowej.

Bez żadnej pauzy słyszę, jak słowo „świetnie” wylatuje mi z ust. Odruchowa reakcja na głos mojego brata. Miałam zbyt wielkiego kaca, żeby wymyślić inną odpowiedź.

Dziesięć minut później wszystko było już ustalone. Mieli przyjechać i zatrzymać się u mnie. Ich samolot

przylatywał późno, więc mieli spotkać się ze mną na imprezie. Cóż, pomyślałam, brzmi to niebezpiecznie, ale co mi tam. To już duże dzieciaki. Walczyłam z koszmarnym bólem głowy i właśnie miałam pójść do łazienki, kiedy w słuchawce usłyszałam sygnał drugiego połączenia. Pożegnałam się szybko z bratem i odebrałam telefon.

HENRY

Cześć, Tobs, mówi Henry. To co, masz urodziny?

TOBI

Taa, będziesz w mieście?

HENRY

Nie jestem pewien, ale jeśli tak, to na pewno się pojawię.

Typowy aktorski kit, pomyślałam; byłam jednak ostrożna i nie pozwoliłam, aby ton mojego głosu okazał pogardę dla zdawkowej odpowiedzi. Był czas na pewną ripostę.

TOBI

Jasne, jak najbardziej. Jeśli będziesz w mieście, to wpadnij. Jak nie, to się zgadamy innym razem.

HENRY

OK, świetnie.

Kilka błahych tekstów. „Jak tam?”, „Co u ciebie?”, „Jak tam rola?”, „Widziałaś się z tym czy owym”.

Rozmowa w zasadzie się skończyła zanim się zaczęła. Co za poranek. Kompletnie zapomniałam o rozmowie z bratem i skoncentrowałam się na tych kilku słowach, które powiedziałam do Henry'ego. *Cholera*, pomyślałam, *co ja powiedziałam? Czy nie zabrzmiało to zbyt zdawkowo? Nie wydałam mu się zjebana? Nie wiedziałam. Niech to szlag, nie znoś tego umniejszającego moją własną wartość syfu*. Dlaczego nie mogłam tak po prostu odłożyć słuchawki i przejść nad tym do porządku dziennego? Dlaczego musiałam odtwarzać każdą chwilę, jakby oglądał to co najmniej sędzia olimpijski? *Mniejsza z tym, zrobiłam, co mogłam, na litość boską. Miałam kaca*. Wtedy przypominałam sobie jego głos, jego seksowny, piękny głos: „Cześć, mówi Henry”. Słyszałam, jak powtarza mi to wciąż od nowa, po czym zsunęłam się z łóżka i popędziłam do łazienki. Nigdy nie przykładałam zbyt wiele uwagi do wymiotowania, była to pewna norma, część ceny, jaką płaciłam za status imprezowej panielki, ale nie znosiłam swojego wyrazu twarzy, kiedy zbliżałam się do lustra. „Kim jesteś?”. Pokazywałam palcem na odbicie w lustrze i pytałam, „Kim jesteś?”.

WNĘTRZE NOCNEGO KLUBU BAR ONE, SUNSET STRIP

Przygaszone światło, kiepski wystrój, nawet jak na klub z lat dziewięćdziesiątych. Bar zaokrąglony, oddzielający część restauracyjną od parkietu. Stół bilardowy na środku sali, otoczony pluszowymi kanapami i niskimi stolikami.

MENEDŻER RESTAURACJI

Sluchaj, mogę ci załatwić tylko sześćdziesiąt darmowych wejściówek. Muszę się trzymać tego, na co się wcześniej umówiliśmy, dzisiaj będzie tłoczno.

TOBI

Dobra, ale chwileczkę! Uzgodniliśmy przecież, że bar będzie otwarty do pierwszej, a nie do pieprzonej dziesiątej, do cholery. Moi znajomi nawet nie wstają przed dziesiątą, nie daloby się z tym czegoś zrobić?

MENEDŻER RESTAURACJI

Posłuchaj, Tobs, dwunasta to wszystko, co mogę zrobić. I tylko sześćdziesiąt wejść, OK?

TOBI

Taa, rozumiem.

Dogadywanie się z menedżerem nie było moim ulubionym wstępem do imprezy, ale trzeba było dobić targu. Kiedy to już zostało uzgodnione, mogłam zająć się ważniejszymi rzeczami, na przykład swoimi włosami. Oczywiście, byłam wcześniej u fryzjera, który zrobił coś nie do końca w moim stylu, jako że w swoim mniemaniu byłam genialnym samoukiem w sprawach fryzur i makijażu. Ale nie miałam zamiaru odrzucić darmowego czesania u znanego stylisty, który zaproponował mi je w ramach urodzinowego prezentu. Zatem przy niewielkiej pracy, jaka czekała mnie w ciągu nocy, mogłam się nieźle wstawić. Szampan był moim ulubionym alkoholem. Co innego mogłaby pić solenizantka? Uwielbiałam szampana. Co za wspaniały odjazd, wszystko takie wesolutkie i uroczne. Dokładnie tyle, żeby się dobrze bawić i mieć oko na wejście, kiedy przyjdzie Henry. Te parę dręczących mnie myśli w związku z przylotem brata i jego żony, jak też możliwość pojawienia się Charlotte, powoli ulatniało się z mojego mózgu, odpędzonych bąbelkami szampana.

Przyszłam sama. Świadomość możliwości ucieczki z imprezy z pewnym wyprzedzeniem czyniła życie łatwiejszym. Chciałam wyjść z Henrym, jeśli się pokaże, a samotne przyjście mogło mi chociaż tyle zagwarantować. Przyjechałam do klubu wcześniej, kiedy nikogo tam jeszcze nie było. Wystrojona i gotowa na przybycie gości, sprawdziłam listę, pogawędziłam z barmanami, pożartowałam z kelnerkami, przestawiłam krzesła, ustawiłam wszystko z didżejem, nieskończoną ilość razy prze-spacerowałam się do łazienki, żeby wytrzeć spoczone pachy papierem toaletowym i poprawić szminkę. Po każdym okrążeniu sali wracałam do baru po kieliszek darmowego szampa i znów sprawdzałam listę. W końcu ludzie zaczęli się pojawiać. Jeden po drugim, przychodzili z buziakami i prezentami, błahymi historyjkami i nadgorliwymi uściskami. Zabierali mnie do baru na jednego drinka za drugim. Żadnego śladu Henry'ego ani mojego brata. Zalana w trupa po tym, jak większość moich gości już przybyła, miałam gdzieś, czy samolot brata miał opóźnienie czy katastrofę. Zostawiłam jego nazwisko na Bramce i życzyłam mu wszystkiego najlepszego. Robiło się jednak późno, a Henry'ego dalej nie było. Poczułam lekki smutek, kiedy zdałam sobie sprawę z mojego aktualnego wieku i zobaczyłam wielki ogień, zbliżający się w moją stronę oraz głośny śpiew *Happy Birthday*. Wzięłam głęboki wdech i spojrziałam na tłum, zgromadzony wokół mnie. Rzuciłam okiem na tyły klubu. Stał tam. Złożyłam małe podziękowanie niebiosom i zdmuchnęłam świeczki.

Kiedy tak stał w przytłumionym czerwonym świetle, Henry wydał mi się najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Nieporadny, niedomyty, i jednocześnie pełen wdzięku. Niechętny swemu statusowi gwiazdy,

wsunął się nieśmiało do boku z tyłu sali i zgarbił się nad kuflem piwa. Wyróżniały go z tłumy hawajskie czarne włosy i blada cera. Jego migdałowe brązowe oczy przenikały mnie na wskroś. Kosmyki włosów opadały mu na twarz, przesłaniając jego duszę. Emanował słodyczą, której źródła nie byłam w stanie wyjaśnić, ujmował nieśmiałością chłopca w ciele mężczyzny. Jego stopy na ziemi, stawiane z gracją jak u baletnicy, kregostup niczym struna wyciągnięty do nieba, prezenca arystokraty, ręce, które mogłyby wynieść niemowlę z płonącego domu. Z każdego ciała jego ciała bił wyzywający, piękny seks. To był Henry widziany z oddali. To był ten Henry, którego absolutnie musiałam mieć, choćby na jedną noc, choćby tylko na kilka chwil.

Skończyłam pogawędki z gośćmi. Nadszedł czas, by porwać Henry'ego i wyjść. Musiałam jeszcze tylko znaleźć mojego brata i jego żonę, żeby dać im klucze do mieszkania. Nagle poczułam, że ktoś mnie łapie za rękę. Zrobiłam półobrót na palcach i znalazłam się twarzą w twarz z Charlotte. Jakbym zderzyła się z Jezusem. Wpadłam. Pijana i nakrecona trawką, którą udało mi się dorwać w damskiej toalecie, zaniemówiłam i przeleknęłam się, że mam coraz mniej czasu, żeby dotrzeć do Henry'ego. Charlotte reprezentowała rozstaje; a ja musiałam dokonać wyboru. Mogłam pozwolić Charlotte, żeby odwiozła mnie do domu i dodała mi otuchy swoją obecnością albo zepchnąć ją ze swojej drogi. Mogłam wybrać, czy rano pójdę już nową ścieżką, wolna od tego całego syfu i zacznę nowy rok czysta, trzeźwa i bezpieczna, czy też ruszę w trasę z Jackiem Kerouacem. W jednej chwili pomachałam Charlotte z usprawiedliwiającym uśmiechem na do widzenia i ruszyłam w stronę Henry'ego. Co była warta przyjaciółka, tak w ogóle, jeśli nie miała mi niczego do zaoferowania. Nie przetrwała w przeszłości i nie było żadnego dowodu na to, by miała przetrwać

w przyszłości, poszłam więc w stronę chwil, które mogłam kreować natychmiast. W Henrym mogłam się schować, przy Henrym mogłam udawać, nie musiałam stawić czoła rzeczywistości. Charlotte mnie zraniła. Przeszła się ze mną spotykać, przestała mnie uczyć, przestała mnie słuchać, a ja nie mogłam sama odnaleźć tego, o czym mi mówiła. Tęskniłam za ciemnością i depresją, do których przywykłam. Kwitłam dzięki nim. Teraz nagle pojawił się Henry, z którym miałam to dzielić. Henry by na pewno zrozumiał, jak bardzo potrzebuję się w nim schować.

Plan był prosty. Znaleźć Henry'ego i zasugerować mu, żebyśmy wyszli. Im mniej słów, tym lepiej. Henry był prostym facetem, a im więcej mógł odczytać z języka ciała, tym lepiej. Słowa tylko wszystko komplikowały. On chciał, żeby życie było proste, piękne i naturalne. Zatem, totalnie zalana, zasugerowałam, żebyśmy wyszli i udali się do jego pokoju hotelowego, jako że mój brat z żoną umościł się w mojej kwaterze. Wiedzieliśmy dokładnie, czego chcemy. Bezpiecznego miejsca, małego, ciemnego pokoju, czystej pościeli, gdzie będziemy mogli wtulić się w swoje ramiona.

Pokój Henry'ego w „Chateau Marmont” był dla niego domem. Na stole leżały stopy książek i scenariuszy oraz skrawki papieru z zapisanymi na nich numerami telefonów. Zauważyłam przysłane poprzedniego dnia kosze kwiatów od agentów, producentów, reżyserów. Poczulałam zapach resztek pizzy i policzyłam puste butelki po piwie na podłodze: dziesięć. Łóżko i łazienka były dopiero co sprzątnięte. Martwiłam się, co założyć do łóżka. Czy tam w ogóle trafimy? Henry poruszał się pewnie po pokoju, zupełnie inaczej niż nieśmiały chłopiec na imprezie. Był teraz w swojej twierdzy. Tamtej nocy mogliśmy pozostać przyjaciółmi, nie musieliśmy stać się

kochankami, mogliśmy nigdy się nie pocałować. Ale zrobiliśmy to. Całowaliśmy się przez całą noc, każdy fragment naszych nagich ciał. Każdy cał naszych dusz, wszystko, co w nas było ludzkie, zostało odkryte. Powstrzymaliśmy się od kochania i zadawało nas to, dokąd doszliśmy. Wiedzieliśmy, że mamy czas, lata, jeśli zechcemy. Nie było pośpiechu, jedynie głód.

Tamtej nocy zakochałam się w Henrym i od tej chwili nikt poza nim nie mógł sprawić, żebym się tak poczuła. Nikt, kto umiałby mnie przytulać jak on i całować jak on. Chciałam teraz jedynie Henry'ego i zgodziłabym się na każdą cenę, żeby go zatrzymać. Chciałam, żeby przyniesione przez niego tamtej nocy chwile spokoju trwały na zawsze. Ale kiedy światło przebiło ciemność, wiedziałam już, że muszę wrócić do domu i zmierzyć się z moją piekielną rzeczywistością. Zostawiłam więc Henry'ego w łóżku, po śniadaniu składającym się z sadzonych jajek i świeżego soku. Pocałowaliśmy się na do widzenia przy drzwiach, a Henry padł z powrotem na łóżko. Już w chwili, gdy opuściłam jego pokój, zaczęłam natychmiast za nim tęsknić. Wyszłam z hotelu boso na Sunset w pożyczonej koszulce i starych dżinsach Henry'ego, z butami na obcasach w jednej dłoni i sukienką z imprezy w drugiej. Zatrzymałam taksówkę i w ciągu pięciu minut zlokalizowałam swój samotniony pojazd.

Odczuwałam niepokój na myśl swojej następnej misji. Gdzie w końcu wylądowali Kane i Willow? Z tego co pamiętałam z poprzedniej nocy, a nie było tego wiele, zdjęłam klucz od domu z łańcucha i wręczyłam go bratu razem z adresem nabazgranym na serwetce i kilkoma chaotycznymi wskazówkami. Doszłam do wniosku, że odwalilam swoje, jeśli chodzi o powitanie ich w Los Angeles, dając im odjechaną chatę, w której mogli się zatrzymać, i możliwość pójścia na plotkarską imprezę.

Niemniej jednak obawiałam się najgorszego. Prawdę mówiąc, nie zajęłam się nimi tak, jak powinnam, a mój stan nie pozwalał na zmierzenie się z należą mi burą od Kane'a. W drodze do domu zastanawiałam się, co powiedzieć, jaki wykonać gest, żeby jakoś załagodzić sytuację. Zastanawiałam się, do jakiej restauracji mogę ich zabrać na śniadanie, myśląc jednocześnie o Henrym w jego pokoju. Jeszcze się go nie pozbyłam. Wciąż czułam jego zapach i ręce, dotykające moich ust i twarzy. Chciałam pozostać w świecie marzeń, ale rozpamiętywanie szczegółów, dotyczących mojego poranka, otrzeźwiło moje myśli o Henrym, sprawiające, że znów robiłam się mokra.

Nigdy nie czułam się swobodnie, kiedy moja rodzina odwiedzała mnie w L.A. Nie chciałam, żeby mnie wydali. Żeby wygadali się, że jestem tylko prostą dziewczyną z Michigan. Obawiałam się, że mogą mnie zdemaskować w mojej nowo wymyślonej zabawie w hollywoodzką gwiazdkę. Być może nawet rozesłać ulotki z moim wizerunkiem jako brunetki. Przypominali mi o nieciekawym stanie, z którego pochodzę. Byłam ciekawa, jakie plotki mogą się pojawić po tym, jak przez jeden dzień poobserwują moje życie. Było mi wstyd, że nie spełniałam ich oczekiwań. Nie skończyłam liceum, nie poszłam na Uniwersytet Stanowy Michigan, nie miałam własnego domu. Nie miałam stałej pracy, i nie miałam, o ile im wiadomo, żadnego związku, który by dokądkolwiek dążył, nie mówiąc o małżeństwie. Cokolwiek powinno się zrobić przed dwudziestym czwartym rokiem życia, będąc z Michigan, ja tego nie zrobiłam. Według ich środkowozachodnich standardów poniosłam porażkę. Nie chciałam mieć nic wspólnego z emocjami, z którymi musiałabym się zmierzyć, ale w tym samym czasie chciałam, żeby oni dostrzegli mój ból. Czy mój brat był zdolny zobaczyć owe

znaki? Czy zauważył moje zachowanie? Czy powiedziała może coś, co obraziło jego lub jego żonę? Co będę musiała naprawić, gdy wrócę do domu, co popsulo się w moim sercu? Nie chciałam być zmuszona do zwierzeń. Chciałam tylko, żeby sami to dostrzegli i uwolnili mnie od ciężaru wypowiedzenia tego. Po prostu nie mogłam tego wymówić. Chciałam, żeby sami zrozumieli.

Zauważyłam wypożyczony samochód na podjeździe. „Cholera, są tutaj!”. Zaparkowałam i wcisnęłam stopy w przyciasne buty na obcasach. Postanowiłam zacząć od przeprosin i żartu, mając nadzieję, że są w dobrym nastroju. Kiedy się zbliżałam, zobaczyłam, że jedna część drzwi jest uchylona. Wewnątrz widać było spakowane torby.

KANE

Będziemy się zbierać. Przez cały ranekekaliśmy na twój telefon, jesteśmy głodni i zmęczeni. Mamy przyjaciół w San Diego i na Manhattan Beach, których możemy odwiedzić, więc postanowiliśmy zostawić cię tu w spokoju, zgadamy się innym razem.

Willow nie powiedziała nic, kiedy rzuciłam swoje śmieci na podłogę i opadłam na jedyne krzesło. Zaraz potem wyszli i pojechali na południe. Po wszystkich buziaczkach i pożegnaniach, podziękowaniach za urodzinowy wieczór, wskazali na leżący na podłodze prezent dla mnie, który mi przywieźli z domu. Nie odprowadziłam ich. Nie pomogłam im z bagażem. Nic mnie nie obchodzili. Nie było we mnie potrzeby dbania o rodzinę, o której starałam się raczej zapomnieć. Prehandlowałam ich na coś lepszego i większego, a oni to wyczuli. Nie planowałam tego. Jakaś cząstka mnie

żywiła skrytą nadzieję, że chwycą mnie za ramię i potrząsną mną, aż wyznam im swój plan, że chcę żyć tak, jak dotąd żyłam. Chciałam, żeby posadzili mnie blisko siebie i powiedzieli, że mnie kochają, zanim zaciągną mnie do jakiegoś ośrodka na detoks. Ale oni rozczarowani, po prostu wyszli. Usiadłam na swoim składanym ogrodowym krześle. Miałam lepsze rzeczy, o których mogłam myśleć. Miałam Henry'ego.

Odrętwiała, pomachałam im na pożegnanie z okna w wykuszu i poczułam, że pewne sprawy wymykają mi się z rąk. Już nie prowadziłam. Nie sterowałam własnym życiem. Nie istniał żaden plan. Chodziło tylko o przeżycie z dnia na dzień. Przechodzenie przez kolejne mury, pojawiające się przede mną. Zbieranie funduszy, aby utrzymać ten styl życia, oraz nieustanne kupowanie czasu, żeby przedłużyć szanse zdobycia materiału do mojej historii. Jedynie ona miała jakieś znaczenie. A teraz jeszcze i Henry.

Środowy wieczór

Praca Selekcjonerki nie była moim wyborem, tylko czymś, w czym w końcu wylądowałam, ostatnim przystankiem w długiej podróży w poszukiwaniu idealnego zajęcia. Rządziła gotówka, a ja potrzebowałam czegoś, co będzie przemawiało tym samym językiem. Nie było czasu, żeby czekać na czeki albo na wypłatę po dwóch tygodniach. Chodziło tylko o kasę w dłoni po skończonej robocie.

Chciałam pracować nocami. Chciałam pracować sama, chciałam w każdej chwili móc wypić drinka, móc zadzwonić, kiedy miałam ochotę pogadać z przyjaciółmi, i potrzebowałam jakiejś akcji, na którą będę mogła sobie popatrzeć. Myślałam o posadzie barmanki w jakimś naprawdę odjazdowym barze albo hostessy w supermodnej restauracji, ale nigdy nie przemknęła mi przez głowę myśl, by zostać Selekcjonerką. Właśnie byłam w trakcie poszukiwania pracy, gdy zadzwonił telefon.

TOBI

Słucham?

STEVEN

Tobs?

TOBI

Tak.

STEVEN

Mówi Steven.

TOBI

Kto?

STEVEN

Steven, z Nowego Jorku.

TOBI

A, Steven, tak. Przepraszam cię, stary, ale miałam taki gówniany dzień, przez cały czas jakieś obrzydliwe telefony od różnych dupków. Co tam? Jak idzie interes z knajpą?

STEVEN

Właściwie to mam dla ciebie propozycję.

TOBI

Tak, a o co chodzi?

STEVEN

Potrzebuję kogoś do selekcji na Bramce.

TOBI

Szukasz kogoś do selekcji, tak?

STEVEN

Taa, pomyślałem, że mogłoby cię to zainteresować.

TOBI

Mnie? Prosisz mnie, żebym się tym zajęła?

STEVEN

No cóż, mówiłaś, że szukasz pracy, prawda?

TOBI

No tak, nie, to znaczy tak, ale nigdy nie byłam Selekcyjerką.

STEVEN

Wiem, ale znasz wszystkich, a tylko o to chodzi. Poza tym nauczę cię.

TOBI

Jak to?

STEVEN

Stanę za Bramką i będę cię uczył, tyle. To co ty na to?

TOBI

Nie wiem, Steven. To znaczy tak, znam wszystkich, ale nigdy tego nie robiłam.

STEVEN

Spróbuj tylko, OK? Myślę, że będziesz doskonała.

TOBI

No dobra. Kiedy byś chciał, żebym zaczęła?

STEVEN

Dziś wieczorem.

TOBI

Dziś wieczorem? Chcesz, żebym zaczęła dziś wieczorem?

STEVEN

Tak, jest środa. Będzie niewielki ruch, więc przygotujesz się na piątek.

TOBI

OK, co mi tam. Ile za to dostanę?

STEVEN

Sto dolarów za noc; potem, jak się rozkręci, sto pięćdziesiąt za noc. Umowa stoi?

TOBI

OK, stoi.

STEVEN

Bądź w barze o siódmej, przedstawię cię chłopakom. Jestem prawie pewien, że Billy i Daniel będą z tobą na Bramce. Dwóch facetów mam na zewnątrz, trzech w środku, plus szef ochrony przez krótkofalówkę, no i oczywiście ja będę z tobą tuż za bramką przez cały czas. OK? Do zobaczenia o siódmej. Ubierz się ciepło, na czarno, z wyjątkiem kolorowej koszuli. Dobra, Tobs? Myślę, że ci się spodoba. Coś mi po prostu mówi, że ci się spodoba...

Siódma nadeszła zbyt wcześnie. Był początek października, a noce zaczynały się robić chłodnawe. Martwiłam się, czy będzie mi wystarczająco ciepło. Przegrzebałam ciuchy w poszukiwaniu odpowiedniego stroju. Wyciągnęłam wszystkie swoje stare kurtki z Nowego Jorku i położyłam je na łóżku. Chciałam czegoś, co podkreśli moją władzę. Chciałam, żeby mi było ciepło,

ale także wyglądać cool. Przymierzyłam czarną skórzaną kurtkę, którą zazwyczaj nosiłam do dżinsów, buty motocyklowe i niebieską koszulę. Spojrzałam w lustro i mnie odrzuciło. Przymierzyłam czarne dżinsy, czarny golf pod białą koszulą, czarne buty i czarną kurtkę pilotkę. Zerwałam to z siebie i rzuciłam na podłogę, gdzie leżała sterta odrzuconych rzeczy.

Dochodziła szósta i zaczynało się robić ciemno. Byłam przekonana, że nie mam co na siebie włożyć i że po prostu zadzwonię do Stevena, żeby dał sobie ze mną spokój. Byłam zmęczona przebieranką, i na co mi to zresztą? O co w ogóle chodzi z tą robotą? Już mnie stresowała, a myśl o staniu na zewnątrz klubu na ulicy przez całą noc napawała mnie przerażeniem i poczuciem osamotnienia, gdy nagle czarny długi płaszcz, leżący na łóżku, przykuł mój wzrok. Nie miałam go na sobie, odkąd wyjechałam z Nowego Jorku, ale coś mi w nim mówiło, że warto całe zabawie dać jeszcze jedną szansę. Założyłam długą jedwabną bieliznę i grube narciarskie skarpety. Przeszukałam szafę, znalazłam czarne skórzane spodnie i wsunęłam je szybko na siebie. Chwytałam czerwony golf i wciągnęłam na ciepłą podkoszulkę. Spojrzałam w lustro. Na razie nieźle. Potrzebowałam czegoś więcej. Jeszcze raz biała koszula, pomyślałam, zerkając od czasu do czasu na zegarek. Zaczynało mi brakować czasu. Wrzuciłam białą koszulę na czerwony golf i wsunęłam ją w skórzane spodnie, włożyłam motocyklowe, podniosłam czarny wełniany płaszcz i założyłam go. Przejrzałam się w lustrze. Czegoś tu brakowało. Potrzebowałam jeszcze czapki. Nie było już czasu na przymierzanie pieprzonych czapek. Przemysślałam to szybko i złapałam baseballówkę z amerykańską flagą. *Gotowe. OK, wszystko, jestem gotowa. Jeszcze raz rzut okiem*

na całość. Czy jeszcze czegoś potrzebuję? Tak, cholera! Rękawiczek. Gdzie są te pieprzone rękawiczki?! Bez paniki. Przeszukać ciuchy narciarskie. Niech to szlag, gdzie są te pieprzone ciuchy narciarskie?

Nagle wszystko się zatrzymało. Poczulałam szarpnięcie w sercu. Czulałam się, jakbym obserwowała wypadek samochodowy. Ten był szybki. Pozbawił mnie powietrza z płuc, pochylałam się nad łóżkiem, chwytając metalowe poręcze, żeby zebrać siły. *Nie, nie dziś, nie dziś, pozwól mi oddychać, pozwól tylko mi posiedzieć na łóżku i zatrzymać się na kilka sekund, a wszystko będzie dobrze.*

Usiadłam na brzegu łóżka, jedną ręką trzymając się poręczy, a drugą chwytając za serce. Siedziałam w ciszy, czekając, aż puls odnajdzie rytm. Liczyłam uderzenia, trzymając dwa palce na tętnicy szyjnej, i czekałam. Wdychałam powietrze przez nos i wydychałam przez usta, jak mi zalecił kardiolog. *Proszę, Boże, proszę. Nie teraz, tylko nie tym razem, tak mi dobrze szło, pozwól mi oddychać.* W końcu, po około pięciu minutach, wszystko się uspokoiło. Pociłam się zarówno pod warstwami ubrań, jak i ze strachu wywołanego atakiem paniki. Ale tym razem nie mogłam się zatrzymać, nie mogłam dać za wygraną, musiałam wstać z łóżka, musiałam sprawić, że się uda, albo stracę ostatnią szansę zarobienia pieniędzy i pozostania w L.A. Spojrzałam na zegarek. Było piętnaście po szóstej. Jak mogło się tyle wydarzyć w ciągu zaledwie piętnastu minut? Poczulałam ulgę, że wciąż mam wystarczająco dużo czasu, by dotrzeć do klubu i się nie spóźnić, zwlokłam się więc z łóżka i poszłam do łazienki, żeby zetrzeć pot z twarzy i poprawić makijaż. Otworzyłam apteczkę, chwyciłam dwa supermocne przeciwbólowe, ściągnęłam włosy w kucyk i pomaszerowałam w stronę drzwi.

Droga ze Studio City była moim ulubionym fragmentem dojazdu do Los Angeles. Zazwyczaj wybierałam

Laurel Canyon przez wzgórze, jeśli miałam się dostać do wschodniej części miasta. Zachwycał mnie sposób, w jaki Laurel Canyon wcał się wstęgą w miasto w stronę centrum. Jazda przez wzgórze pozwalała mi zastanowić się nad ostatnimi wydarzeniami i dawała mi szansę poczuć się, jakbym zostawiła za sobą jeden świat i wkraczała w inny. Za każdym razem, gdy widziałam pojawiające się światła Sunset Boulevard, gdy zbliżałam się do miasta, czułam, jak przekreśla się we mnie klucz. Otwarta na biznes, otwarta na nowe pomysły, gotowa spróbować wszystkiego.

Pojechałam La Brea i skręciłam w lewo w Melrose, kierując się w stronę klubu. Miałam jeszcze piętnaście minut. Po tych piętnastu minutach moje życie być może zmieni się na zawsze. Zaparkowałam samochód po drugiej stronie ulicy naprzeciwko klubu i wyłączyłam silnik. Uchyliłam okno, zapaliłam papierosa i obserwowałam Przednią Bramkę. To właśnie ona, pomyślałam. Spojrzałam we wsteczne lustro i zauważyłam tylko czubek baseballówki. Pstryknęłam w daszek i zobaczyłam swoje zielone oczy, patrzące w głąb mojej duszy. „To jest właśnie to, słoneczko”, powiedziałam do siebie. „Tyle cię to będzie kosztowało, co? Będziesz musiała pójść tą trudniejszą drogą, nie?”

Odwrociłam wzrok od lusterka, zamknęłam samochód i przeszedłam przez ulicę w kierunku Bramki. Mojej Bramki. Otworzyłam i wszedłam do środka.

Klub oświetlały lampki za barem i kilka kinkietów. Ściany były z ciemnego dębu, a dywan ciemnoczerwony. Nie przypominało to w niczym miejsca, które pamiętałam z czasów budowy. Było ciemne, posępne, próżnia wyizolowanego czasu. Wydawało mi się, że wciąż mam przysysa do baru. Sufit, choć był wysoko, wydawał mi się jednak niski i kojący; to było pudełko, małe

bezpieczne pudełko, w którym mogłam się schować. Szum dmuchającej klimatyzacji i rozmowy kelnerek narzekających na zimno uspokajały mnie, gdy ich wysokie, piskliwe głosy tłumil kolejny podmuch powietrza z wentylatorów. Koncentrowałam się na każdej z nich po kolei, patrzyłam, jak biorą do ręki tace i liczą je, składają serwetki i czyszczą plastikowe menu. Patrzyłam, jak rozmawiają i śmieją się, zauważyłam, jak gładko wykonują każdą czynność; ich pracowite dłonie nie spoczęły, dopóki nie był gotowy kolejny stosik serwetek czy menu. Wtedy przypominałam sobie o rękawiczkach. Cholera, pomyślałam. Wiedziałam, że o czymś zapomnę.

Siedziałam cierpliwie przy barze. Widziałam tył głowy barmana po drugiej stronie baru; nie byłam pewna, czy on mnie widzi, i wtedy się odwrócił.

JONNIE

O mój Boże, niech mnie diabli, to ty.

TOBS

Jonnie, to naprawdę ty?

JONNIE

Tak, to ja, co ty tu do cholery robisz?

TOBS

Co ja tu robię? A ty co tu robisz!?

JONNIE

Pracuję.

TOBS

Taa, ja też tu pracuję.

JONNIE

Co ty pieprzysz. Więc to ty? Ty jesteś tą Selekcjonerką?!

TOBS

No, zdaje się, że tak.

JONNIE

Ja pieprzę, no to musimy za to wypić. Napijmy się.

Rozlaliśmy colę i z uśmiechem stuknęliśmy się szklanczkami. Znałam Jonniego od lat, z różnych klubów w Los Angeles, zawsze był dla mnie miły. Cieszyłam się, że tu jest. Właśnie teraz wszystko zaczęło się wreszcie wydawać na swoim miejscu. Jonnie będzie barmanem. Steven był właścicielem klubu, wszyscy znajomi wiedzieli, że mam tu pracować i powiedzieli, że przyjdą się ze mną zobaczyć. Czy mogło być coś bardziej doskonałego, pomyślałam. Byłam szczęśliwa. W końcu znalazłam coś, z czym czułam się w porządku, a co ważniejsze, miejsce, w którym miałam szansę znaleźć swoją historię. Jonnie powiedział mi, że Steven jest na górze, i żebym poczekała po prostu, aż zejdzie. Klub był już otwarty od dwóch miesięcy, zanim Steven się do mnie odezwał, zdawałam sobie też sprawę, że czeka mnie małe piekielko ze strony koleśki, z którymi miałam pracować, nie wiedziałam też, co się stało z poprzednim Selekcjonerem, pomyślałam więc, że nie będę się wychylać z pytaniami, dopóki sami nie zaczną tematu.

Zobaczyłam, jak Steven schodzi po schodach z clipboardem, krótkofalówkami, klikerami, listą gości i z dwoma wielkimi facetami, ubranymi na czarno. Zgasiłam papierosa i wyprostowałam się.

STEVEN

Tobs, to są Billy i Daniel, pracują dziś z tobą na zewnątrz. A to twoja lista gości, krótkofalówki i dwa klikery. Billy i Daniel zaopiekują się tobą dziś wieczorem, więc jeślibyś czegoś potrzebowała, po prostu daj im znać, a oni się tym zajmą. Jakies pytania? Nie martw się, będę tuż za Bramką. Dobra, dzieciaki, dajemy czadu.

Billy był czarnym Irlandczykiem z południowego wybrzeża Bostonu, który miał tytuł w Golden Gloves, grał w hokeja w pierwszej lidze juniorów i uwielbiał oglądać każdy rodzaj sportu w telewizji. Miał uśmiech dookoła głowy i odpowiednią historię. Prawdziwy facet, wołał rodzaj rozmowy właściwy szatniom sportowców, niż rozwlekle wynurzenia na temat codzienności. Przeniósł się do Los Angeles w poszukiwaniu pracy jako aktor, po tym, jak teatry Nowego Jorku rzuciły na niego okiem. Kiedy go spotkałam, stał na Bramkach od sześciu lat. Był jednym z najlepszych. Znał wszystkich i wszyscy go lubili. Co najważniejsze, potrafił się bić. Billy stał na Przedniej Bramce. Nienawidził być w Środku. Lubił stać na zewnątrz na mrozie. Dla Billy'ego im zimniej, tym lepiej. Zawsze było mu gorąco. Tylko czarna skórzana kurka i T-shirt w samym środku zimy. Ciągłe uderzał pięścią o pięść, mówiąc: „Jak dzisiaj będzie, dzieciaki, co to dzisiaj będzie?”.

Daniel był najlepszym przyjacielem Billy'ego. Miał sześć stóp i dwa cale wzrostu i ważył jakieś sto osiemdziesiąt pięć funtów. Był silny, ale miał serce kociątka. Niemieckie dziedzictwo i pasująca do niego blond czupryna stanowiły idealną kombinację zastraszenia i siły. Daniel był dobrym glina, a Billy złym. Daniel był nowy na Bramce, dostał tę robotę jedynie dzięki Billy'emu.

Nigdy wcześniej nie pracował na zewnątrz i nigdy na Przedniej Bramce. Billy jednak chciał kogoś, kogo lubił, żeby dzięki niemu noc mijala szybciej, a Daniel był do tego stworzony. Zatem Daniel się dostał ot tak. Billy musiał go tylko przedstawić Stevenowi i już następnego dnia był na Przedniej Bramce. Billy i Daniel byli też nierozłączni po pracy. Razem biegali, grali w tej samej drużynie hokeja i uganiali się za kobietami po całym mieście. Pewnego dnia Daniel miał umrzeć Billy'emu na rękach z powodu udaru słonecznego na Hollywood Hills.

Pierwsze godziny miały przeważnie spokojnie. Na Bramce niewiele się działo, były to głównie rezerwacje na kolacje. Słuchałam, jak Billy i Daniel dyskutują na temat meczu Rangersów w telewizji. Obserwowałam, jak operują dłońmi, gestykując przy każdym słowie. Wydawało mi się to niemal tańcem – mogli mówić bez przerwy o każdym meczu, drobiazgowo opisywać każdego zawodnika, każdy gol, każde krycie. Kiedy tak snuli swoje opowieści, słyszałam tylko dźwięk uderzających o siebie ich czarnych skórzanych rękawiczek, gdy któregoś z nich ponosiło przy opisywaniu zagrywek na boisku. Słyszałam to tylko dlatego, że wciąż obserwowałam i czekałam. Obserwowałam ulice, obserwowałam każdy samochód wjeżdżający na podjazd, z którego był odstawiany na parking, obserwowałam każdą wysiadającą osobę, starając się zapamiętać, jakim przyjechała samochodem, z kim, czy przyjechali na drinka, czy na kolację, i kim byli. To była najważniejsza rzecz na Bramce. Nigdy nie zapominaj twarzy. I nigdy imienia, które z nią idzie. Byłam spokojna, witalam każdego gościa, sprawdzałam listę, dawałam znak Billy'emu i Danielowi, żeby otworzyli Bramkę, i czekałam. Czekałam na dziesiątą. Wtedy miało się zacząć prawdziwe przedstawienie. Wszystko przedtem było tylko próbą kostiumową.

Do tego momentu nie odprawiłam nikogo z kwitkiem. Każda osoba podchodząca do Bramki miała rezerwację na kolację albo była na liście. Wiedziałam, że Billy i Daniel czekali, aż przestanę wpuszczać, ale do tej pory nie było ku temu powodów. Wiedziałam, że muszę szybko podejmować decyzje, patrzeć ludziom prosto w oczy, odprawić ich i nie odstępować od podjętej decyzji; nigdy jednak tego wcześniej nie robiłam, a co dopiero z Billym i Danielem, którzy mnie wciąż obserwowali, i Stevenem za Bramką.

Znałam podstawowe zasady i doszłam do wniosku, że jeśli tylko będę się ich trzymać, to mam szansę jakoś dać sobie radę przez tę noc. Żadnych grup facetów wczesnym wieczorem czy kiedykolwiek. Wypełnić klub wieczorem pięknymi kobietami. Wpuścić wszystkie rezerwacje bez pytania o nazwiska na liście. Sprawdzić liczniki przed jedenastą. Żadnych Arabusów, prostytutek, dzieciaków poniżej dwudziestego pierwszego roku życia, chyba że są aktorami. Sprawdzić, czy nie mają broni. Żadnych podpitych, trzymać miejsce na po północy, wypatrywać na ulicy limuzyn i samochodów z miasta, sprawdzać stanowiska ochrony przez krótkofalówkę co piętnaście minut, uważać na radiowozy na ulicy, przez cały czas sprawdzać, czy nie pojawia się komendant straży pożarnej, i mówić „nie”... powtarzać „nie”, aż będzie się to mieć na myśli. Nigdy nie zastanawiać się nad raz podjętą decyzją, nawet jeśli była zła. To jedyna droga, żeby się udało. To jedyny sposób...

NARRATOR

Pomyślałam o wyrwaniu się stamtąd już pierwszej nocy, kiedy zaczynałam. To było jak niebezpieczny narkotyk, owo słówko „nie” i posiadanie władzy mogącej przesądzać o lo-

sie danej osoby. Za każdym razem, gdy odprawiłam kogoś z Bramki, mogłam poczuć satysfakcję z dania wiary mojemu własnemu kłamstwu. Władza, jaką dawało mi mówienie „nie”, była uzależniająca. Zawsze, gdy udało mi się splawić kogoś z Bramki, każdy następny taki zabieg stawał się dzięki temu łatwiejszy. Mówienie „nie” przypominało trochę dawanie sobie w żyłę i zachowanie pewności siebie w tym samym czasie, no i było za darmo. To był idealny koktajl na moją niską samoocenę. Tak, odkryłam swoją Utopię, swój nowy, najsilniej działający na mnie narkotyk. To było to, tyle mi wystarczyło, żeby dać się złapać, jedno małe trzyliterowe słowo. Właśnie tak! Wchodzę w to! Chciałam więcej po tym pierwszym „nie”, jakie wypowiedziałam właśnie tam, na Melrose Avenue, do niewielkiego wzrostem pięćdziesięcioletka, machającego mi przed oczyma złotym Rolexem, którym próbował mnie skusić za wypuszczenie go do środka. Naprawdę nie spodziewałam się, że będzie mi z tym aż tak dobrze, ale to było jak strzał. Przez te sześć do ośmiu godzin na Bramce miałam absolutną kontrolę. Nie mój gospodarz, któremu byłam winna pieniądze, nie bank, do którego należał mój samochód, nie agenci, którzy nie mogli się umówić ze mną na spotkanie, żeby pomóc mojej karierze aktorskiej, nikt z tych ludzi nie miał władzy nade mną ani nad moim życiem na Bramce. Należała tylko do mnie. Pójście do pracy, zostawienie mojego niepewnego świata na zewnątrz tej pieprzonej Bramki i chwilowe przejęcie kontroli przyniosło mi ulgę. To było

jak narkotyki, który ładowałam w siebie noc po nocy, czekając tylko na chwilę, kiedy opuścić mój rzeczywisty świat i wejść w ten, w którym mogę tworzyć i przekształcać rzeczywistość każdego wieczoru, w zależności od tego, jak bardzo potrzebowałam kopa.

Dobiegła końca moja pierwsza noc na Bramce. Dexter był szefem ochrony; zadzwonił po ostatnie rozliczenie i wezwał stanowiska przez krótkofalówkę, żeby sprawdzić i zamknąć wszystkie wyjścia. Stałam na Bramce jak lwica, jak posąg, powtarzając w nieskończoność „dobranoc”, rozdając całuski, zapamiętując twarze, obserwując, jakie pary się zahaczyły i wyszły razem, zapamiętując samochody, do których wsiadały, na końcu żegnając ostatniego samotnego aktora, reżysera, kelnera. Zamknęłam Przednią Bramkę i wzięłam pierwszy oddech tego wieczoru, wpatrzyłam się w głąb baru prosto w oczy Stevena, spojrzałam na clipboard, teraz pomazany zakreślonymi nazwiskami, skrzyżowałam dłonie na swoim długim, ciężkim, czarnym płaszczu i opuściłam ze wstydu głowę. Kiedy podniosłam wzrok, by spojrzeć na Stevena, już go nie było. Każdy mój krok w stronę baru, żeby zamówić u Jonniego drinka, wydawał mi się trwać wieczność. Z każdym krokiem zauważałam w sobie jakąś zmianę, jakiś dodatkowy ciężar. Mięśnie ramion zrobiły się wyraźniejsze, krok mi się wydłużył, ręce opadały w dół ocieźały, a nogi sunęły jak w balecie, unoszone każdą stalową puentą moich butów coraz bliżej wódki, bliżej baru, bliżej stołka, na którym mogłam w końcu usiąść i po prostu gapić się bez wyrazu.

Słyszałam za sobą Dextera i chłopaków, pijących i stukających się kufkami z piwem. Słyszałam z pięćset razy słowo „cycki”, odbijające się jak echo w muszli, razem z „zajebiste” i „co ty pierdolisz”. Słyszałam Stevena

i tego drugiego wysokiego, kościstego właściciela (nigdy nie mogłam zapamiętać jego imienia), liczących gotówkę. Czulałam upojny zapach pełnych popielniczek i piw rozlanych na wilgotnym dywanie. Patrzyłam, jak kelnerki niczym kangurzyce wyluskują napiwki z kieszeni fartuszków. Pomocnicy kelnerów zaczęli znów gadać po hiszpańsku i zbierać się, by złapać autobus do centrum. Siedziałam nadal, gapiąc się i popijając wódkę z sokiem z borówek, a kiedy spojrzałam w lustro po drugiej stronie baru, zobaczyłam w nim swoje odbicie.

JONNIE

Pamiętaj, Tobs, zimne ręce, gorące serce.

TOBI

Tak, jasne, na razie, Jonnie.

JONNIE

Na razie, Tobs. Prześpij się, jutro czwartek, a ty jeszcze nic nie widziałś.

DEXTER

Hej, mała, dokąd się wybierasz? Nie idziesz sama do samochodu, to już przeszłość, słonko. Połowa tego miasta ma ochotę cię zabić po takiej nocy. Od tej pory nigdy, ale to nigdy nie idziesz sama do samochodu, obiecujesz?

TOBI

Taa.

DEXTER

Po to my tu jesteśmy, żeby cię chronić, jasne?

TOBI

Taa.

DEXTER

Gratulacje, to twoja pierwsza noc. Masz to coś, Tobs, tylko nie pozwól, żeby ten cały syf dookoła cię zabił, OK?

TOBI

OK.

Jechałam do domu w ciszy, z otwartymi oknami, zimne, wilgotne powietrze przepływało przez samochód. Zapaliłam papierosa i przejechałam przez Laurel Canyon w stronę domu. Było wpół do czwartej, kiedy dotarłam pod dom. W mieszkaniu, po ataku paniki i towarzyszącej mu gorączkowej przymiarce ubrań, był totalny bałagan. Zepchnęłam te zwały z łóżka na podłogę jednym ruchem ręki, usiadłam na pościeli i zdjęłam swój ciężki, czarny płaszcz. Kieszonki pełne były prochów, cukierków, bileków, wizytówek, chusteczek higienicznych, wejściówek, był tam też balsam do ust, pięciocentówka, kokaina, papierosy, zapalniczki, klikery, nóż, listy i banknoty studolarowe.

Leżałam na łóżku i wyglądałam przez okno na panoramę San Fernando Valley, wciąż miałam przed oczyma widok, jak mnie całują, ściskają moją dłoń i wtykają mi różne gówna do kieszeni. Serwetki z numerami, kto wie, czyimi, nie obchodziło mnie to, chciałam prochów. Szczególnie ziela. Nienawidziłam koki, ale pomyślałam, że mogę ją komuś oddać albo sprzedać. Ziele i alkohol, to było coś dla mnie. Nie musiałam nic przyspieszać. Ale odpływanie – doskonałe. Doskonałe, bo odkąd skoń-

czyłam dziesięć lat doskonaliłam sztukę palenia. Była to ceremonia, którą regularnie celebrowałam z wielką radością. Nie należałam jednak do wagi lekkiej; mogłam przypalać przez całą noc i trzymać się do kupy. Żadnych paranoi, przez które przechodzi tyle panienek. Radziłam sobie ze swoim zielelem.

Z zamkniętymi oczami zdejmowałam kolejne warstwy ubrań, daremnie próbując stłumić w pamięci sceny z Bramki, i wtedy zobaczyłam twarze.

„Dalej, panienko, ile to będzie kosztowało?” – pytał pięćdziesięcioletni, łysiejący mężczyzna w ciuchach od Versace.

„Wiem, że jesteśmy na liście, mój partner dzwonił wczoraj do Stevena” – napierał trzydziestoletni asystent, i tak dalej.

Każda z twarzy, którym powiedziałam „nie”, każda z twarzy, które odrzuciłam, wszystkie przyjechały tu do domu razem ze mną, aż zmuszona byłam rzucić im jeszcze raz owo „nie”, zanim, zgasiwszy światło – udało mi się w końcu zasnąć.

NARRATOR

Dzwoni telefon. Może Henry z dalekiego świata? Postanawiam odebrać. To Carolyn. Prawie jej nie słyszę. Jej wołanie o pomoc jest niewyraźne, ledwo do mnie dociera. Belkocze, ale wylapuję jej prośbę do mnie, żebym przyjechała do domu w Hollywood Hills, gdzie mieszka z mężem. Tym razem brzmi to inaczej niż podczas tych wszystkich rozmów telefonicznych późną nocą, kiedy łamiącym się głosem przysięgała, że już nigdy nie zapali kraku. Tym razem to chyba coś poważnego. Zwlekam się z łóżka, wsiadam do samochodu

i jadę do Carolyn. Widzę, że brama jest otwarta, więc wjeżdżam na posesję. Dom porażony jest w ciemnościach, w nieświeżym powietrzu czuć dym z papierosów. Szukam po omacku kontaktu i spostrzegam nieprzytomną Carolyn, leżącą na kanapie. Podnoszę z podłogi w kuchni telefon bezprzewodowy i dzwonię po karetkę. Czekam, aż przyjadą sanitariusze i patrzę, jak podnoszą jej martwo nieruchome ciało z kanapy i przypinają je pasami do noszy. Próbuję odpowiadać na ich pytania, ale nie mogę wydusić słowa. Jazda krętą drogą przez Sunset Plaza wydaje się wiecznością. Carolyn powoli odzyskuje przytomność. Biorę ją za rękę i mówię spokojnie: „Już po wszystkim, kochanie, wyjdiesz z tego”. Wyglądam przez okno, marzę jedynie o śnie. Teraz uratowałam ją, ale co będzie następnym razem? Kto ją wtedy ocali? Nie widywałam się z nią zbyt często od naszego ostatniego spotkania w „Olive”. Kilka razy jadłyśmy razem lunch i czasem wyskoczyłyśmy na piwo, ale obie walczyłyśmy o to, by nasze życie stało się pełne. Byłyśmy w kontakcie dzięki długim rozmowom przez telefon. Czułam, że u Carolyn coś się zmienia. Wydawało mi się, że nie może znaleźć dla siebie miejsca w nowym małżeństwie z rockandrolowym dziennikarzem, i że w ogóle jest niešťczęśliwa na drodze, którą wybrała. Wydawało się, że musi się wydarzyć to, co nieuniknione. Los Angeles zabrało Carolyn na zawrotną przejażdżkę. Kilka piw dla zabawy zmieniło się w kilka kresek. Kilka kresek do

wciągnięcia zmieniło się w kilka grudek do wypalenia. W ciągu paru miesięcy Carolyn stała się stuprocentową kokainistką. Brała krak skąd się tylko dało. Wciąż w ciuchach od Michaela Korsa i Calvina Kleina, potrafiła przejechać wiele mil wokół Los Angeles, by coś dorwać. Pękało mi serce, gdy widziałam ją taką chudą i zaćpaną. Carolyn wierzy, że krzyżyk, wiszący przy wstecznym lusterku, kiedyś ją ocali. Zawsze, gdy kupuje kokainę na La Brea czy Sunset, dotyka krzyżyka, zanim dobije targu. Za każdym razem, gdy Carolyn dzwoni i słyszę jej głos, cieszę się, że udało się jej przebrnąć przez kolejny dzień.

Dobry Boże, pobłogosław moich przyjaciół i rodzinę, bądź przy mnie dziś, jutro i każdego dnia w moim życiu. Dziś modlę się specjalnie za moją przyjaciółkę, Carolyn, proszę, nie pozwól jej umrzeć.

Zanim zamknęłam oczy przed snem, myślałam o Henrym. O tym, jak całował mnie tamtej nocy w „Chateau”, o tym, jak jego ciało kołysało się, gdy szedł, o pozie tancerza, jaką przyjmował, gdy się zatrzymywał. Widziałam jego gesty towarzyszące recytacjom Szekspira. Widziałam Henry’ego. Wszystko było mi miłe, co do niego należało. Tęskniłam za jego głosem, zapachem skóry i słonym posmakiem. Gdzie był Henry tej nocy? Jak go odnaleźć w moim śnie? Co zrobić, by móc ucałować jego cudowne usta? Pragnęłam Henry’ego w każdy możliwy sposób, w jaki można kogoś pragnąć. Chciałam go mieć w sobie, nad sobą, przed sobą, słyszeć, jak szepce moje imię, gdy zbliża usta do mojej szyi. Tęskniłam za swoją tajemnicą. Pragnęłam, by

Henry przypomniał mi, że wciąż mogę czuć cokolwiek, nawet jeśli zaprzędam swoją duszę.

Tej nocy zawarłam ze sobą układ, że nie powiem Henry'emu o Bramce. Nie może się dowiedzieć, pomyślałam, o czymkolwiek, co dotyczy Bramki. Musi pozostać kimś osobnym. Będziemy tylko kochankami. Nic mu nie powiem o Bramce, o mojej Historii, o moim codziennym życiu. Nigdy też nie pozna moich znajomych, nasze ścieżki nigdy się nie przetną. Spotkam się z nim, gdy zadzwoni, wmówię sobie, że go nie kocham, nawet jeśli to nieprawda. Będę go jedynie pragnąć. Henry sprawi, że będę uczciwa, powtarzałam sobie pod nosem, a powieki opadały, coraz cięższe.

Spałam na brzuchu, z jednym kolanem podciągniętym do góry, obiema rękami obejmując poduszkę, ze zwiniętymi w nogach majtkami, aż w końcu odespałam swoją pierwszą noc na Bramce.

Czwartkowy wieczór

WNĘTRZE DOMKU GOŚCINNEGO TOBI,
STUDIO CITY – RANO.

Zapisuje w pamiętniku.

NARRATOR

Chyba znalazłam swoją historię. A może to ona znalazła mnie? Widzę twarze wszystkich, o których napiszę. Spotkałam ich wczorajszej nocy na Bramce. Dziwne, jakie ukojenie dało mi to okropne miejsce. Zimne, wilgotne, ciemne, grzeszne. Jak może wywoływać tak wspaniałe uczucia? Jak skończy się ta historia? Nic teraz nie czuję, chcę tylko przeżywać tę historię do chwili, aż nie będę już dawać rady, zmuszona ją spisać. Zrobiłam sobie dziś rano zdjęcie polaroidem. Coś w rodzaju dowodu na to, jak wyglądam po pierwszej nocy na Bramce. Chyba zachowam je aż do ostatniego wieczoru na Bramce, a potem porównam oba. Włożyłam je do pudełka ze zdjęciami. Depresja powróciła. Czuję, jak pada czarna deszcz. To jak wybuch ciszy, która ogarnia moje serce i zagęszcza krew. Wszystkie traumy z przeszłości eksplodują mi przed oczami.

Głośne dźwięki zaburzają mnie do tego stopnia, że zaczynam się bezsilnie miotać, lękam się gwałtownych ruchów, które mnie bulwersują i wprawiają w stan odrętwienia; czuję się oddzielona, jakbym, obserwując życie,

wyglądała przez okno, niewidziana przez resztę świata. Tak czuję się dzisiaj, a kto wie, co będzie jutro? Czasem stan ten pozostaje w uspieniu przez lata, pozwalając mi oddychać, śmiać się, uśmiechać, powracając, gdy najmniej się tego spodziewam. Chwyta mnie wtedy mocno za głowę. Próbuję to traktować jako jedynie mały krok do tyłu, ale dobrze wiem, co to jest, czułam już tę swoją depresję wcześniej i wiem, jak smakuje. Myślę więc, że jeśli tylko nie przestanę biec, jeśli będę się trzymać, może pokonam ją i tym razem. Ale nie mogę o niej zapomnieć, depresja jest wszędzie. Jest, kiedy się budzę i patrzę rano w lustro; jest w wyborze między tostem a owocem; jest obecna, kiedy decyduję, co na siebie włożyć; panuje nad tonem mojego głosu; jest wszędzie, dokąd idę...

Szansę na to, żebym odebrała jakikolwiek telefon przed południem, były prawie żadne, ale wraz z moim nowym sposobem na utrzymanie się na fali, definitywnie przestałam go odbierać. Nieodebrane połączenia nie były dla mnie ważne, owszem, pewna satysfakcja z obserwowania, że telefon dzwoni, a ja go nie odbieram, wydawała się o tyle pełniejsza, że doszłam do wniosku, iż tych paru szczęściarzy w końcu odnajdzie mnie w taki czy inny sposób. Zazwyczaj stawali po prostu przed moimi drzwiami albo wpadali na mnie w jednym z moich śniadaniowych lokali. Ale ten poranek różnił się od całej reszty błahych dni, które były wcześniej. Już nie byłam jedną z ładnych dziewczyn mieszkających w Los Angeles i walczących o to, by zostać aktorką; teraz obudziłam się z rzeczywistą i prawdziwą pozycją, nie wymyśloną przeze mnie czy moje alter ego, ale z realnym zawodem i prawdziwą pracą. Nie miałam jeszcze w kieszeni pieniędzy z tygodniówki, ale nadchodziła sobota i stopy nie zapłaconych rachunków na kuchennym stole miały zostać spłacone. Ale teraz kolejność ich wydawała się

mieć przyczynę we własnym szaleństwie i kategorii, na jakie je podzieliłam, nabrały sensu. Czyszczenie, samochód, gotówka. Zanotowałam na każdym z rachunków, jak go spłacić. Wykonywałam telefony, zawierałam umowy, podejmowałam ustalenia i robiłam plany spłaty, zobowiązania wobec lokalnych przedsiębiorstw komunalnych, firmy telekomunikacyjnej i moich cierpliwych gospodarzy, którzy, gdyby nie byli w trakcie rozwodu – typowa sytuacja producent-gwiazdka – pozbawiliby mnie już dawno dachu nad głową. Teraz chodziło o przebrnięcie przez każdy kolejny dzień.

Następnym koniecznym posunięciem była wyprawa do urzędu pracy. Chociaż miałam już teraz robotę, nie chciałam pozbawić się możliwości dodatkowego dopływu gotówki.

WNĘTRZE URZĘDU PRACY, PÓLNOCNE HOLLYWOOD

NARRATOR

Stałam w kolejce do informacji w biurze rejestracji bezrobotnych północnego Hollywood, czując się winna: winna bycia białą, winna bycia zdolną do znalezienia pracy, wciąż próbując wykorzystać system, żeby dał mi wszystko, co może, winna tego, że chcę więcej. Schowałam się za swoimi ciemnymi okularami, czekając z innymi w kolejce. Świadoma przestępstwa popełnianego wobec państwa, chowałam się i czekałam w tym samym czasie. Powtarzałam w głowie kłamstwo, którego chciałam użyć, a kolejka po pieniądze posuwała się do przodu. Przygotowałam sobie mowę i powtórzyłam powód, próbując przewidzieć, jakie

mogą paść pytania. Sprawdziałam w myślach pulapki, w jakie mogą wpaść, jeśli mi zadadzą jakieś nieprzewidziane pytanie. Szukałam odpowiedzi, znajdowałam ją, przechodziłam do następnego. Przeglądałam się badawczo urzędnikom za szybą z pleksi, obserwując każdy ich ruch. Liczyłam osoby stojące przede mną, próbując odgadnąć okienko, do którego trafię. Chciałam móc dokonać wyboru. Chciałam tylko, żeby przeszedł mój kit, chciałam tu wygrać. Ile jeszcze mam czekać w tej pierdolonej kolejce, zanim odkryją moją obecność, zanim wyskoczą zza pleksi i aresztują mnie? Stoję w kolejce i czekam. Widzę latynoskie matki z dziećmi, bezrobotnych aktorów, innych podobnych do mnie oszustów. Czuję się lepsza, czuję się gorsza. Nic nie czuję. Czekam. Widzę w myślach Bloomfield Hills. Widzę twarz dziadka i jest mi wstyd, ale nadal stoję. Potrzebuję pieniędzy. W końcu okradam rząd, dostaję coś z powrotem, coś, na co – czuję to – zasłużyłam. Nie obchodzi mnie, czy ktoś bardziej desperacko ich potrzebuje, jak mógłby być ktoś bardziej zdesperowany ode mnie? Podobają mi się ta kolejka, oznaczała, że jestem zwyczajna, przeciętna. Poniżała mnie. Lubiałam towarzystwo zagubionych dusz.

URZĘDNICZKA

Proszę wypełnić ten wniosek, wpisać poprzednich pracodawców oraz ich adresy. Proszę usiąść tam, na jednym z tych niebieskich krzesel i zaczekać, aż ktoś panią wezwie.

NARRATOR

Wciąż miałam paranoje, że im więcej czasu spędzę w tym miejscu, tym większa jest szansa, że ktoś mnie rozpozna. Może ktoś z Bramki, a może któryś z moich bezrobotnych znajomych aktorów. Każdy, kto może ujawnić moje oszustwo. Czytałam wielokrotnie każdy fragment wniosku, sprawdzając prawomocność swoich kłamstw, kalkulując fałszywe zarobki i dodając w myślach pieniądze, które będę mogła wydać na różne dodatkowe rzeczy. Dodałam pieniądze z tygodnia do tego, co przynosiłam z klubu i obliczyłam różnicę pomiędzy wieczorami na Brame i tymi, których miałam nie brać. Wyliczałam miesięczną średnią wydatków osobistych i dodatkowy dochód z zasiłku dla bezrobotnych do miesiąca, kiedy miał się skończyć. Kontrolowałam liczby i podobało mi się to.

URZĘDNICZKA

Tobi, Kelly, żółta kolejka.

NARRATOR

Chwila osądu, ale imię, które usłyszałam, moje prawdziwe imię, ukłuło mnie w serce. Nie znosiłam swojego prawdziwego imienia. Przypominało mi o bolesnej przeszłości, którą zostawiłam w domu. O ile łatwiej było żyć w wymyślonej skórze. Sam dźwięk tego imienia brzmiał dla mnie jak grzyt żelaza na szkle, ale musiałam zrobić krok w stronę pieniędzy. Czekałam nerwowo przy okienku, gdy

urzędniczka wklepywała moje życiowe zarobki w komputer. Zastanawiałam się, czy zauważy kurtkę z Agnes B, pasemka we włosach, czy nabierze podejrzeń co do okularów przeciwsłonecznych. Zastanawiałam się, czy patrzy na moje kłamstwa na ekranie. Tak, pracowałam w zeszłym roku, tak, mieszkalam, tak przez dwa lata, tak, tyle zarobiłam, tak, tak się pisze moje nazwisko, tak, to data moich urodzin.

URZĘDNICZKA

Prześlemy pani zawiadomienie pocztą w ciągu dwóch tygodni.

TOBI

Dwóch tygodni!?! Paniusiu, ja nie mam pierdolonych dwóch tygodni!

URZĘDNICZKA

Przykro mi, proszę pani, takie są przepisy, dwa tygodnie zajmuje proces określenia wysokości zasiłku.

TOBI

Jakiego pierdolonego zasiłku, o czym pani mówi? Nie mam dwóch tygodni, potrzebuję pieniędzy teraz!

URZĘDNICZKA

Jeśli się pani nie uspokoi, będę zmuszona wezwać ochronę.

TOBI

Cóż, niech sobie pani wyobrazi, że to ja jestem ochroną. Miłego, kurwa, dnia.

NARRATOR

Walnęłam ręką w szybę i pękła. Wysłałam, wkurwiona na cały świat, wkurwiona na siebie i swoje życie, wkurwiona na własne kłamstwa. Wtedy do mnie dotarło – dlaczego to zrobiłam? Dlaczego wścieklałam się na tę biedną kobietę? Dlaczego? Dlaczego nie mogłam tak po prostu wyjść, dlaczego wszystko musi zaraz być wielkim wydarzeniem, czemu nie mogłam wyjść i zaakceptować tego, co dostałam, czemu musiałam wszystko zawsze wyolbrzymiać? Dlaczego, do diabła? Wypalałam się, spadałam, nie potrafiłam się komunikować, potrzebowałam snu, drinka, byłam na nogach ciurkiem od trzydziestu sześciu godzin, miałam w dodatku ochotę na seks...

Wsiadłam do samochodu, puściłam jakiś klubowy mix i ruszyłam. Otworzyłam okna, wpuszczając wiatr do środka, żeby nie zasnąć. Musiałam dotrzeć do domu.

Jedyny telefon, jaki musiałam wykonać, był ten do matki, zapewniający mi 200 dolarów tygodniowo, które przesyłała mi przez Western Union. Do tego momentu żyłam za 200 dolarów tygodniowo i nadal udawało mi się być miejską dziewczyną. Nie powiedziałam jej, na czym tak naprawdę polega moja praca, jedynie to, że ją dostałam. Pomyślałam, że oszczędzę jej sercu z przedmieścia ataku i wstydu w country clubie, gdyby dowiedziała się, jak bardzo jestem zdesperowana, a poza tym „Cześć Mamo, jestem Selekcjonerką” i tak, za cholere,

nic jej nie powie. Pozwoliłam jej myśleć, że dostałam jakąś pracę w restauracji u znajomych, i że kiedy uzbięram wystarczająco dużo pieniędzy, będzie mogła zaprzestać przysyłania mi tych 800 dolarów miesięcznie. Wydawało mi się, że to właśnie chciałaby usłyszeć, więc dlaczego miałabym jej tego nie dać. Była milion mil stąd, na Florydzie, i nigdy mnie nie odwiedzała. Stałam się w zasadzie bezcielesnym głosem po drugiej stronie słuchawki, odzywającym się w czwartki po piątkową gotówkę. Przekroczyłam granicę powstrzymywania się od zgarnięcia gotówki. Ciągła potrzeba, by czuć się, jakbym uczestniczyła w wyścigu o ziemię podczas gorączki złota, stała mi się tak bliska, że zapomniałam już, jak to jest czuć wdzięczność, nie mówiąc już o docenieniu samego daru. Za każdym razem, gdy matka do mnie dzwoniła, wycinałam z rozmowy ton jej głosu, w którym slychać było zmęczenie wielogodzinną pracą w sklepie obuwniczym Bloomingdale'a, żeby chronić samą siebie przed poczuciem winy w związku z kolejną osobą, którą włokę przez swoje pogmatwane życie. Ignorowałam to, co do mnie mówiła, że nie może już przysyłać mi pieniędzy co tydzień. Za każdym razem próbowałam powstrzymać potok słów, jako że przerabiałymy już ten temat wielokrotnie, żeby nie musieć wyobrażać jej sobie kłęczącej na obolałych kolanach, obsługującej kolejną niecierpliwą klientkę. Zawsze potrafiłam znaleźć jakiś powód, dla którego znów przysyłała mi gotówkę – jakiś niezapłacony mandat, opłata rejestracyjna, zaległy rachunek. Cokolwiek by to nie było, zwyczajnie potrzebo-wałam gotówki i chciałam, żeby mi ją dała, szczególnie teraz, gdy dostałam realną szansę samodzielnego utrzymania się. Im bardziej naciskałam, tym bardziej stawałyśmy się sobie odległe. Gdy kończyła rozmowę, mówiąc „Kocham cię”, nigdy to do mnie tak naprawdę nie docierało, kończyłam krótkim „Pa, odezwę się w przyszłym tygodniu”.

Czwarta nie nadchodziła wystarczająco szybko ani też drzemka, tak bardzo mi potrzebna przed moją drugą nocą na Bramce. Te same ciuchy, powiedziałam do siebie, zanim zasnęłam, tylko inna koszula. Nastawić budzik na szóstą, prysznic, ubrać się i do pracy. Po prostu zrób to, Tobi, choć raz się pokaż. Chcę płakać, dlaczego nie umiem już płakać? Chciałam, by mnie ktoś objął, przytulił...

NARRATOR

Byłam gotowa. Czwartkowy wieczór, jedenasta, tylem do Bramki, żadnych lin, Billy i Daniel formują falangę przede mną, sto pięćdziesiąt osób próbuje wepchnąć się do środka, negocjując, przekupując, czarując. Odepchnąctum, trzymać się dwa kroki za chłopakami.

TOBI

Dalej, ludziska, cofnąć się, odsunąć ich, w porządku, wstrzymujemy, o właśnie, tak trzymać, jeszcze jeden, wystarczy, zatrzymujemy, dalej, do cholery, zabierz mi tych idiotów sprzed oczu, ustaw liny, wezwij tylną bramkę, zamknij tył, ile jest? Sprawdź klikery, lewe też, zacznij odliczać, tylko wejście i wyjście.

Wyrzucałam z siebie rozkazy jak pieprzony kucharz w barze szybkiej obsługi. Wejście i wyjście oznaczało, że za każdą osobę wychodzącą, mogła wejść jedna, i było to do dupy, jako że nie okazało się to proste, szczególnie jeśli było wcześniej, a nie dostałaś jeszcze listy gości na drugą część wieczoru. Jeśli jakimś cudem dotarła późno, a ty nie zostawiłaś dla nich wystarczająco dużo miejsca, miałaś przesrane. Teraz było już trzysta osób czekających przed Bramką, żeby wejść do środka, obserwujących

każdy twój ruch, wyrzaskujących, łączących się w pary, wszystko, byleby się dostać do środka, cokolwiek, by zostać tym wybranym. Ale ja wiedziałam, że Steven jest tuż za Bramką, że czeka i obserwuje każdy mój wybór, każdą blondkę, którą wpuszczam, każdego świetnego koleśka z modelką, i, oczywiście, każdego pana niby nic, ale u władzy, ktokolwiek to był danego wieczoru.

Dobierałam szybko i celnie, zerkając przez cały czas na stojącego za barem Jonniego, sprawdzając liczbę mężczyzn kupujących drinki. Byłam silna. Pozwalałam ukrytej we mnie bestii uwolnić się i odrobinę zabawić władzą. Im dłużej kazałam tłumowi czekać, tym atrakcyjniejszy wydawał się klub, co stabilizowało posadę moją i pozostałych pracowników. Nie miałam pewności, ile czasu ten interes się utrzyma, ale nie byłam też w stanie sobie wyobrazić, że będą jeszcze inne kluby. Wiedziałam jedno, że albo utrzymam ten klub, albo znów wyląduję na bezrobociu. A skoro miałam to pociągnąć, to równie dobrze mogłam się przy tym nieźle bawić.

Drapałam się po nosie, a cały tłum obserwował każdy mój ruch, z nadzieją, że zobaczy sygnał zezwalający na jego wejście, przyjęcie na imprezę. Stałam z boku i powiedziałam chłopakom, że zamykamy Bramkę i nikogo więcej nie wpuszczamy. Cały tłum przesunął się i zwrócił w moją stronę; czułam te trzysta par oczu, wpatrzonych we mnie, przeszukujących moją duszę, wpatrujących na mojej twarzy jakiegoś znaku, który dałby im iskierkę nadziei. Brutalną prawdą było to, że większość z nich miała nie dostać się do środka.

TOBI

„Wiesz, co myślę, koleś? To nie twój wieczór. Wybrałeś zły wieczór i nic nie mogę dla ciebie zrobić. Wiesz co, kotku? Nie mogę cię dziś

wpuścić. Wszystko zajete. Mam od cholery rezerwacji na całą noc, i jakieś dwie sekundy, żeby ci o nich opowiedzieć, więc spróbuj innym razem, kochanie. Tak, słonko, właśnie, to właśnie mówię, dzisiaj nie da rady, a teraz dalej, mam co robić. Ile macie? Dobra, to wchodźcie. Dalej, ludziska, odsuńcie się, potrzebuję tu trochę miejsca. Daniel, zabierz ich stąd albo nas wsadź. Nie mogę się dostać do tych, których potrzebuję, a ci, których nie chcę, są z przodu, rozrzedź ich odrobinę i zacznij wzywać samochody. Jeśli Bobby się dziś pojawi, przyjdzie pewnie z kimś jeszcze, mówię wam, jeśli go przegapię, to koniec...

Po tym, jak miałam już w klubie znanego aktora, mogłam właściwie całkiem zamknąć Bramkę i czekać, aż tłum stopnieje. Mogłam teraz gapić się nad ich głowami na lampy uliczne i zobaczyć wszystkie piękne barwy nocy. Czułam zapach miejskiego powietrza, wdychając głęboko powietrze do płuc. Zapaliłam marlboro light i delektowałam się każdym zaciągnięciem.

NARRATOR

Barwy nocy są takie piękne. Światła samochodów jak jarzące się, rozmyte plamy, neony krzyczą na zielono, pomarańczowo i niebiesko. Litery, rzucają cienie na ulicę. Czas, by odejść i obejrzeć tłum od tyłu, ocenić zmarzniete, udreżone dusze, stojące i wyczekujące pod Bramką, wpatrujące się darmo w ochroniarzy, świdrujące nas na wylot. Z miejsca, w którym stałam, wyobraziłam sobie siebie na Bramec. To nie ja, pomyślałam, to jakaś

inna dziewczyna, jakiś inny stwór. To jestem ja, ta cicha, a nie tamta...

STEVEN

To co tam mamy, jest w pół do drugiej, a ja jestem kurewsko zmęczony.

TOBI

Mamy siedemdziesiąt pięć osób w środku, ale cała drużyna A już sobie poszła.

STEVEN

Dobra, to wpuszczaj motloch i zamów jakąś pieprzoną pizzę, tylko bez *pepperoni*, nie znoś *pepperoni*.

W końcu zostaliśmy sami na Bramce, Billy i Daniel mieli szansę pogadać, a ja – się wyciszyć. Billy i Daniel znali układ. Wiedzieli, że nie mam ochoty rozmawiać. Miałam kurewsko dość gadania, negocjowania, oszukiwania, mówienia „nie”, mówienia „tak”, mówienia czegośkolwiek. Miałam dość brzmienia własnego głosu. Gapiłam się na ulicę, patrząc na przejeżdżające samochody, aż moje myśli zaczęły zwalniać, a rytm serca zrównał się z płytkim oddechem.

Wygoniłszy ich dość wcześniej, puściliśmy gównianą muzykę, rozjaśniliśmy światła i ogłosiliśmy ostatnie zamówienie. Dexter wyjął papugę z samochodu. Mówiła do wszystkich „słodziutki”. Posadził ją sobie na ramieniu, zebrał klikery i krótkofalówki, następnie sprawdził wyjścia. Dostarczono pizzę, ale byłam zbyt zmęczona, by jeść. Czekaliśmy godzinę, zanim podliczono gotówkę. Jedno- i dwudziestodolarówki dzielono na kupki po tysiąc

dolarów, potem rzucano to na stół i liczone od nowa, aż całość zgadzała się z poprzednim rozliczeniem, następnie zapisywano w notatniku, jak punkty w kartach.

BILLY

Co masz? Ja mam dziesiątki.

DEXTER

Co masz? Ja mam dwudziestki.

STEVEN

Ile zarobił bar?

I tak w kółko, a ja siedziałam przy barze nad wódką z sokiem borówkowym.

Wpatrywałam się w przydymione lustro za barem. Słuchałam gadania Jonniego, aż jego słowa stały się częścią muzyki w tle, przelatującej mi przez głowę. Wciąż czułam swoje zimne dłonie obejmujące szklaneczkę z wódką, ale moja dusza odpływała, a umysł przewijał obrazy przeszłości. Byłam w ponurym nastroju i pozwoliłam sobie na powrót do przeszłości, by odwiedzić to dawne miejsce, które teraz wydawało się tak odległe, że gdybym mogła pojechać tam jeszcze raz, być może zobaczyłabym je zupełnie inaczej; może tym razem znalazłabym coś, co miałoby sens, zobaczyłabym kogoś inaczej niż podczas ostatniej wizyty. Chciałam się tam udać, bo szukałam czegośkolwiek, co naprowadziłoby mnie na jakąś wskazówkę czy powód, dla którego tak bardzo siebie nie lubiłam, czemu byłam tak nieszczęśliwa.

Pozwoliłam wódce rozplýwać się po krwiobiegu i, zostawiwszy ciało na stołku barowym, podążyłam myślami z powrotem do Kansas City.

Bye bye, miss american pie*

Zdarzyło mi się to dwa razy w życiu, z dwoma różnymi facetami. Czasem pomaga myślenie o jakiejś dającej kopa piosence jak ta, którą napisał Joe Cocker. Przeważnie jednak po prostu staram się nie myśleć o tym, co się stało.

Byla tam z moim chłopakiem, Riverem. Poznaliśmy się w sali, w której siedzieliśmy, zatrzymani po lekcjach. Podrobiłam podpis na przepustce, żeby spać na moment z matematyki na fajka z tymi okropnymi dziećmi, a pani Wathford zauważyła mnie, kiedy stamtąd wracałam, i poprosiła o przepustkę, której nie podpisała. Kiedy więc ja odsadywałam swój wyrok za palenie, River siedział za troszkę zbyt mocne popychanie Jimmy'ego Jamesa na boisku do kosza podczas wu-efu. Próbowaliśmy jakoś zabić czas pisaniem listków i przekazywaniem ich między i pod ławkami, co musiało wystarczyć do naszej pierwszej randki w niedzielę, kiedy mogliśmy w końcu porozmawiać. Spędziliśmy cztery dni w tej sali, planując naszą pierwszą randkę. W ostatnim listku ustaliliśmy, że spotkamy się w The Carousel. W niedzielne wieczory niepełnoletni mogli przyjść potańczyć na dyskotekę i pić napoje gazowane. Mnie miała tam podrzucić matka, a River miał się zabrać ze swoim starszym bratem, Colinem, którego widziałam raz, jak przyjechał po Rivera do szkoły. Colin miał dwadzieścia trzy lata. Nadszedł niedzielny wieczór. Tak jak planowa-

* Tytuł piosenki (przyp. tłum.).

liśmy, podwieziono mnie do klubu The Carousel, a do domu miałam wrócić z Riverem i jego starszym bratem. Obiecałam być w domu przed dziesiątą.

LOKALNE CENTRUM HANDLOWE,
KANSAS CITY, MO

Nocny klub The Carousel.

W THE CAROUSEL.

Leci muzyka. Parkiet jest wypełniony nastolatkami tańczącymi w rządku i poruszającymi się do YMCA*. Tobi i River tańczyli cały wieczór. Tobi robi sobie przerwę, kiedy zaczyna się *Last Dance* Donny Summer.

Mówi Riverowi, że wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza i wróci za pięć minut.

NARRATOR

Pamiętam chłodne nocne powietrze, uderzające w spoconą pierś. Oparłam się o latarnię, żeby odpocząć i odetchnąć. Pamiętam zbliżające się światła samochodu. Próbowalam zapalić papierosa, kiedy podjechał do mnie zielony opel. Colin, starszy brat Rivera, krzyknął do mnie z samochodu.

COLIN

Muszę kupić piwo, chcesz się przejechać? Co to za ociąganie się, kochanie? Boisz się, że mój młodszy braciszek pomyśli, że cię pukam? No chodź, wsiadaj do samochodu, co myślisz, że mam cały dzień, żeby tak siedzieć,

* Popularna piosenka, do której układ choreograficzny demonstrują kolejne litery tytułu YMCA (przyp. tłum.).

i że zmarnuję na ciebie cały bak świetnej benzyny? Zrobimy sobie małą przejażdżkę, co? Boisz się...

TOBI

Nie, nie boję się, ale kiedy wrócimy? Powiedziałam Riverowi, że spotkamy się przy stole za pięć minut. Będzie tam na mnie czekał.

COLIN

No dobra, chcesz tam na niego zaczekać z piwem w ręce, czy chcesz tu zostać całą noc myśląc o tym? No chodź już, wsiadaj do tego pieprzonego samochodu.

TOBI

Jak daleko musimy pojechać? Bo ja nie jadę dalej niż parę przecznic.

COLIN

Zamknij się już, OK? Po prostu się zamknij.

(Colin zaczyna się niecierpliwic i jest wyraźnie pijany).

Teraz jedziemy po to cholerne piwo i koniec. Dość tego pieprzenia. Nie znoszę miaukliwych panienek.

W SAMOCHODZIE COLINA

Colin zapala skręta i podaje go Tobi. Tobi zaciąga się, a wtedy on kładzie jej rękę na udzie. Colin jedzie dalej. Tobi próbuje odsunąć jego rękę. Chłopak denerwuje się, że go odrzuca.

TOBI

Zatrzymaj się, Colin. Chcę wysiąść.

COLIN

Kazałem ci się, kurwa, zamknąć, nie? Niech to szlag. Co mam zrobić, żebyś zamknęła pysk? Jedziemy teraz do lasu po piwo i już.

NARRATOR

Kierowaliśmy się w stronę lasu. Próbowaliśmy zapamiętać, gdzie skręciliśmy, ale było ciemno. Staraliśmy się zauważyć drzewa, znaki, domy, cokolwiek, co by mi pomogło odnaleźć drogę powrotną, jeśli tylko zdołałabym wydstać się z samochodu i uciec. Błagałam go, żeby się zatrzymał i mnie wypuścił. Ale nic nie skutkowało. W miarę jak wjeżdżaliśmy w las, ucichłam ze strachu i obserwowałam spod oka szaleńca obok mnie, jak wypełnia się gniewem, czekałam, aż popełni jakiś błąd, cokolwiek, co pozwoli mi uciec. W końcu samochód stanął. Było zupełnie ciemno. Czekałam na swój moment. Wpatrywałam się wprost przed siebie. Słyszałam swój płytki oddech, wdech, wydech. Widziałam go w chłodnym, wilgotnym, wieczornym powietrzu. Nawet nie drgnęłam.

COLIN

Wysiadaj z tego pierdolonego samochodu albo cię zabije, przysięgam. I skończ już z tymi cholernymi łzami, słyszysz?

(Colin podchodzi do Tobi siedzącej na przednim siedzeniu pasażera i wyciąga ją z samochodu).

Co jest, dziewczynko, boisz się, że pajak cię wciągnie za obraz? Pomóż mi teraz znaleźć to przekłete piwo. Wiem, że włożył je do

strumienia, żeby się schłodziło. No dalej, rusz tyłek. Im szybciej je znajdziemy, tym szybciej wrócisz do mojego braciszka. Na pewno masz niezłą dupcię...

NARRATOR

Kiedy tak trzymał mnie i wyciągał z samochodu, zauważyłam, że kluczyki są wciąż w stacyjce. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na samochód przy włączonych światłach i zapamiętać numer rejestracji, ale raziły zbyt mocno. Rozdarłam sukienkę i rzuciłam kawałek tkaniny na ziemię. Nie wiem, dlaczego. Wtedy podszedł z tyłu, chwycił mnie za włosy i zaczął ciągnąć w stronę strumienia. Nic nie widziałam, ale słyszałam plusk wody. Było bardzo ciemno. Pamiętam jeszcze zapach mokrych liści.

COLIN

Gdzie ono jest? Wiem, że ty wiesz. Gdzie on, do cholery, schował to piwo, co? Chodź no tu, mała kurewko, wiem, że razem z moim bratem kupiliście piwko i wsadziliście do strumienia, żeby było zimne. Gdzie ono jest, do cholery? Dalej, nie mam na to całej nocy, no?

TOBI

Powiedziałam, że nie wiem, gdzie je położył. Nic nie wiem o piwie.

COLIN

Przestań, kurwa, kłamać. Natychmiast. Mów, gdzie jest piwo. Wiem, że kupiliście je wczoraj w Shop & Go.

TOBI

Tam jest.

(Tobi pokazuje w dół na skarpe w stronę strumienia).

Wiedziałam, że jesteśmy na szczycie skarpy. Widziałam przewrócony pień, gdzie razem z przyjaciółmi paliliśmy trawę w ciągu dnia. Byłam pewna, że to samo miejsce. Myślałam w duchu, znam przesmyk, wiem, jak idzie wzgórze, wskażę mu skarpe, poprowadzę do krawędzi strumienia i zepchnę w dół wzgórze, a potem pobiegnę do samochodu. Wiedziałam, że kluczyki są w samochodzie. Musiały tam być, pomyślałam.

COLIN

Gdzie: tam?

TOBI

Dobra, pokażę ci.

COLIN

Najwyższy czas.

(Tobi prowadzi go do krawędzi i wskazuje na strumień).

TOBI

Tam, włożył je do rzeki, żeby się schłodziło, tuż za tą skałą.

COLIN

Zaprowadź mnie tam.

TOBI

Nie mogę, spadnę. Musiałabym ominąć skałę, ale tobie na pewno się uda.

COLIN

Dobra, zostań tam, a jeśli ci się wydaje, że uciekniesz, to przemyśl to jeszcze raz. Nie zapominaj, że ja mam kluczyki. Zaczekaj tu.

(Colin idzie do strumienia w kierunku skały).

NARRATOR

Widziałam, jak idzie w kierunku skał. Czekalam, aż jego głowa zejdzie poniżej linii światła i zaczęłam biec, biegłam wzdłuż krawędzi po swoje życie i potknęłam się. Upadłam na ziemię i straciłam orientację co do kierunku. Nie widziałam już światła samochodu, nie widziałam światła księżycy znad krawędzi. Wtedy zobaczyłam jego...

COLIN

No, no, umiesz całkiem niezłe biegać. Wiedziałas, jak rozumiem, że nie ma tu żadnego piwa, co? No powiedz, suko, powiedz, że wiedziałas, że nie ma tu żadnego piwa, mów, do cholery...

NARRATOR

Chwyć mnie za rękę, złapał za gardło i pochpnął na ziemię, rozpiął rozporek dzinsów i wepchnął mi się między nogi, zerwał ze mnie bieliznę, wciąż trzymał rękę na moim gardle, dusząc mnie i gwałcąc w tym samym czasie, powtarzając wciąż...

COLIN

No i dorwałem teraz dupeczkę mojego braci-szka, dorwałem...

NARRATOR

Złazł ze mnie, kopnął brudne liście na moją twarz i odszedł w głąb lasu. Leżałam nieruchomo wśród mokrych liści, aż usłyszałam, jak samochód odjeżdża. Jakoś udało mi się dojść do szosy. Przypuszczam, że przeszedłam około dwóch mil, zanim znalazłam automat telefoniczny. Stamtąd chyba zadzwoniłam do swojej dawnej opiekunki, żeby po mnie przyjechała. Przynękała, że mnie nie wyda. Następnego dnia siedziałam w szkole, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Zastanawiałam się, czy krew, która tamtej nocy spływała mi po nogach, to krew z rany, czy po prostu z pierwszego rżnięcia.

Cztery lata później wyglądałam przez okno swojego ogólniaka na bezkresny horyzont litego złota pól pszenicy. Marzyłam jedynie o Nowym Jorku. Kiedy na lekcji angielskiego wszyscy omawiali *Słońce też wschodzi* Hemingwaya, mój umysł tworzył nowe wizje z różnymi fantastycznymi osobami wokół mnie. Wyobrażałam sobie siebie we wspaniałych mieszkaniach w centrum Village, biegając z wystawy na wystawę, wzniesioną burzę, gdziekolwiek się pojawiłam. Widziałam kieliszki napelnione szampanem, dla mnie, kiedy wchodziłam do kolejnej galerii. Wyobrażałam sobie barwną grupę artystów wokół mnie, dyskutujących o teorii piękna. Ale przede wszystkim widziałam siebie w Nowym Jorku. Widziałam prawdziwą siebie, rodzącą się od nowa do życia. Ból

sprawiło mi czekanie na to, aż będę wystarczająco dorosła, by móc uciec. Kiedy rozglądałam się po klasie i przyglądałam twarzom innych dzieciaków, czułam ogarniające mnie odrętwienie. Czułam się odrzucona, wykreślona przez samą siebie, przez moje pasje, które nie dopuszczały, by jakkolwiek myśli o imprezach czy chłopakach, tak typowa dla nastolatki, przemknęła mi przez głowę. Widziałam wciąż od nowa tę samą scenę: moje dzieciństwo osuwające się w morze łez i machania ręką na do widzenia. Nie słyszałam żadnych dźwięków poza głuchym biciem serca, odpowiadającego echem w mojej piersi.

Większość dni spędzałam na czytaniu magazynów przywiezionych z domu albo wykradzonych z biblioteki. Dowiadywałam się, co jest nowe i trendach w Nowym Jorku i Los Angeles. Czytałam opisy restauracji, recenzje książek, oglądałam zdjęcia gwiazd wchodzących i wychodzących z klubów, zapamiętując nazwy wszystkich najmłodniejszych miejsc. Próbowalam zapamiętać, co było w tle za danym aktorem czy inną sławną osobą, żeby mieć pojęcie, jak wygląda klub czy restauracja, a potem dopasowywałam do zdjęć w innych magazynach, sprawdzając, co to za miejsce. Doszłam do wniosku, że jeśli trafi mi się kiedyś szansa na wyjazd do Nowego Jorku, to już będę wiedziała, dokąd pójść, zaczęłam więc dogłębnie studiować kluby, kto tam przychodzi, dlaczego i kiedy. Uczylałam się na pamięć „Who is who”, nocnego życia z początku lat osiemdziesiątych. Powiazałam to z opisami wystroju wnętrz restauracji, wystawami sztuki, artykułami poświęconymi właścicielom galerii i rozmaitym wieczorom poezji, organizowanym w Village. Wszystkie te informacje zdobywałam poprzez zaprzyjaźnioną bibliotekę, sfatszowaną przepustkę i „New York Post”. Godzina spędzona w bibliotece sta-

wała się dla mnie godziną szczególnych poszukiwań i badań. Najbardziej ciekawiło mnie, jak udawało się moim obiektom studiów ominąć te tłumy czekających przed klubem ludzi, jakie widziałam na zdjęciach. Chciałam wiedzieć, w jaki sposób dostawali się do środka. Chciałam wiedzieć, co trzeba było zrobić, żeby tam wejść. Kogo musiałeś znać? Zacztywałam się więc dalej w poszukiwaniu odpowiedzi.

Były lata osiemdziesiąte: Studio 54, Area, całe to życie w centrum, Danceteria, Heartbreak, kluby dla gejów, kluby po godzinach, wszyscy chodzili do klubów. Wyglądało na to, że każdego, kto był kimś, można było znaleźć w którymś z nowojorskich klubów o tej czy innej porze. To był zatem sposób na wejście do środka, pomyślałam. To był mój sposób. To było to, to mnie kręciło. Jak bym była od tego uzależniona. Czytając o klubach, czułam tę gorączkę, czułam ją nawet jedynie myśląc o nich.

Czekałam wciąż jeszcze jeden rok szkoły, ale ja nie miałam tu już nic do roboty. Jediną rzeczą, jaka mi się podobała był *cheerleading*, ale w końcu wywalili mnie z drużyny za to, że przespałam się z moim facetem, gwiazdą drużyny koszykówki, na zgrupowaniu dla cheerleaderek poprzedniego lata na uniwersytecie Kansas i cała drużyna została za to zdyskwalifikowana w finale. Ale co tam, kogo to, do cholery, obchodzi, wiedziałam, że i tak wyfrunę tego roku ze szkoły i uderzę na Nowy Jork, więc mała osobista satysfakcja wydawała się w porządku. W ten właśnie sposób racjonalizowałam różne swoje pomysły. Za każdym ruchem w moim życiu stał jakiś plan, a im więcej zawierał odpowiedzialności za innych tym lepiej. Zajęcia zespołowe, takie jak choćby zgrupowanie cheerleaderek, były tylko sposobem na wyrwanie się z domu, chciałam rozkręcić własny interes i zacząć żyć w prawdziwym świecie. Nie potrzebowałam nikogo.

Nie chciałam w swoim życiu nikogo. Chciałam się skupić tylko na sobie. Ja na wielkiej odkrywczej wyprawie przez życie. Ale, co najważniejsze, musiałam udowodnić sobie, że te wszystkie dni, spędzone w klasie na marzeniach o Nowym Jorku, nie były tylko pieprzoną stratą czasu i kolejnym niespełnionym snem. Potrzebowałam tego. Chciałam wyrwać się z Kansas. Chciałam zobaczyć, co jest tam daleko, a już szczególnie to wszystko, co widziałam w tych kolorowych czasopismach. Byłam w trzeciej klasie, a moje stopnie się nie zmieniały. Same dwóje i pały. Ale przynajmniej byłam konsekwentna. Jedyną lekcją, z której się nie urywałam, był francuski. Doszłam do wniosku, że jeśli zostanę modelką i przyjdzie mi zamieszkać kiedyś w Paryżu, to francuski może się przydać, więc go zostawiłam. Nie znosiłam tych lekcji, ale były częścią planu.

Po szkole, o ile w ogóle udawało mi się dobrać do końca zajęć, pracowałam w centrum handlowym. Pracowałam w tym samym sklepie z ciuchami odkąd skończyłam czternaście lat, oczywiście okłamałam ich wtedy co do mojego wieku. Oszczędzałam pieniądze na wyjazd do Nowego Jorku, a przynajmniej tyle, ile zostawało mi po kupieniu ciuchów. Mniej więcej w tym czasie zostawiłam chłopaków z liceum i przzerzuciłam się na facetów z college'u. Kłamałam co do swojego wieku. Wyglądałam na starszą, a chłopcy ze szkoły nie mieli mi nic do zaferowania, więc tak to poszło. Kręciłam się z koleśkiem z drugiego roku na uniwersytecie Kansas, którego poznałam przez znajomą ze szkoły katolickiej – zabierała mnie w weekendy po pracy na imprezy bractwa. Też pracowały w centrum handlowym, więc wypadły z nimi były o wiele bardziej ekscytujące niż z dziewczynami, które znałam z państwowej szkoły, a poza tym nauczyły mnie sikać na dworze bez ściągania bielizny.

NARRATOR

Za chwilę poznać Missy, Kelly i Lolę. Moje przyjaciółki ze szkoły katolickiej. Poznałam je przez Missy, z którą pracowałam w centrum handlowym. Nie przypominały w niczym znajomych ze szkoły państwowej. Missy była odjechana; wysoka i szczupła, miała w sobie pewną surowość chłopaczary. Mogła cię śmiertelnie przerazić, kiedy słyszałaś, jak mówi tym swoim przepitym głosem siedemdziesięcioletniego faceta palącego trzy paczki dziennie. Była twarda jak skała i lubiła rządzić. Uwielbiałam ją. Uważałam, że zrobiłaby wielką karierę w wojsku. Z drugiej strony była Kelly, delikatna i śliczna. W każdym calu, uczennica prywatnej szkoły, cała w różach i zieleniach, wszystko doskonale zgrane, monogram na każdej rzeczy, włącznie z sygnetem. Piła jak marynarz, kłęła jak szewc i była najbardziej popularną dziewczyną w swojej szkole. Lola była blond lalczką, typową dziewczyną z kalendara. Miała największe cycki wśród trzecioklasierek i zbyt mocny makijaż. Wszyscy chłopcy ją uwielbiali. Była słodka i rozkoszna, mogła dostać wszystko, czego chciała, trzepocząc swoimi długimi sztucznymi rzęsami. Lola piła tylko piwo, wyłącznie beczkowe. Nauczyła nas pewnego dnia jak robić laskę na hot dogu z Frosty Freeze za centrum handlowym. Miała całą biblioteczkę książek, jak „to” robić.

Wyglądało na to, że mają całą sieć facetów do dyspozycji w każdej grupie wiekowej. W każdy piątek po pracy przebieierałyśmy się w najbardziej pomysłowe,

kolorowe, różowo-zielone ciuchy bogatych dziewczyn ze szkół prywatnych, jakie tylko udało się nam zdobyć, i zjeżdżałyśmy na autostradę do Lawrence w stanie Kansas na imprezę bractwa, o której dowiedziała się któraś z dziewczyn przez starszego brata albo czwartoklasistę, z którym się przyjaźniła rok wcześniej. Tak ruszałyśmy w trasę, ze wszystkimi rekwizytami ozdobionymi monogramami, mnóstwem zimnego Coorsa i paczek marlboro light, no i z jakąś dobrą trawą, zdobytą przez którąś z nas. W drodze każda z nas miała inne zadanie. Ja byłam od skręcania blantów. Spędzałam całą podróż na uniwersytet w Kansas na tylnym siedzeniu samochodu, skręcając jointy i pieprząc o głupotach z Missy, która odpowiadała za muzykę i otwieranie piwa. Missy była też odpowiedzialna za uzupełnianie zapasu piwa i przykrywanie go lodem, kiedy opróżniatyśmy lodówkę.

Kelly była kierowcą, jako że zazwyczaj tylko ona miała samochód albo tylko ona potrafiła znaleźć taki, który mogła zatrzymać na całą noc. Odpowiadała też za plan na wieczór. Znała wszystkie detale na kampusie i zwykle to ona dostawała telefon od któregoś z jej chłopaków z bractwa czy którejś z dziewcząt, mającej nadzieję, że Kelly będzie próbowała wkupić się w ich łaski, a w związku z tym skapnie im coś z pieniędzy jej ojca. Ale to nigdy nie było misją Kelly. Interesowały ją imprezy i tylko one. Kelly miała plany. Wiedziała, dokąd zmierza życie, wszystkie wiedziałyśmy, spędzałyśmy więc ostatni rok razem, zanim wszystko się miało zmienić. To nas łączyło. Każda z nas miała plan, jak się wyrwać, a zanim to nastąpiło, chciałyśmy się tylko nieźle bawić.

Kelly zatem zajmowała się planami i imprezami, podczas gdy Lola rozdawała nasze fałszywe dokumenty i wybierała kasety do słuchania po drodze. Każda z nas była odpowiedzialna za swoją legitymację. Lola zdoby-

wała je od czwartoklasistek, które wychodziły tego wieczoru na randki, w związku z czym ich nie potrzebowały, a za każdą wręczała im po dziesięć dolców. Musiałyśmy dać Loli pieniądze do poniedziałku, kiedy to miała oddać legitymacje. Jej zadaniem było także poinformowanie nas, jak dostać się do baru i ominąć selekcjonera, szczególnie, jeśli brakowało nam jednej czy dwóch legitymacji. Musiałyśmy wykombinować, jak je sobie podać, kiedy mijaliśmy bramkarza. Lola nie chciała żadnej wpadki w swoim nowym biznesie. W końcu ten szwindel na boku szedł jej całkiem nieźle i, jeśli o nią chodziło, nie zamierzała dopuścić, żeby coś się spieprzyło, więc do niej należało poinformowanie nas o konsekwencjach zgubienia legitymacji. Po tym jak Lola palnęła nam wykład, upalałyśmy się. Musiałam się ujarac pierwsza, jako że ja skręcałam. Nie mogłam się też doczekać recenzji. „Świetny joint, Tobs”. „Dobra robota”. „Nieźle, naprawdę nieźle”. Puszczaliśmy *Hotel California* i zaciągaliśmy się. Kelly była dobrym kierowcą, więc nigdy, ale to nigdy nie martwiłyśmy się o spowodowanie jakiegoś wypadku; wydawało się nam to po prostu niemożliwe. Czuliśmy się niezwykczonie, jak wszystkie siedemnastolatki.

Autostrada K-10 do Lawrence była dwupasmówką bez świateł, stacji benzynowych, parkingów i z niewieloma zjazdami. Kiedy już dojechaliśmy do Lawrence, musiałyśmy znaleźć miejsce, żeby się odstawić i zrobić makijaż, zazwyczaj więc robiłyśmy to na zmianę w toalecie u Denny'ego, a jedna z dziewczyn zamawiała frytki dla nas na spółkę, bo i tak miałyśmy ze sobą coś do przegrzyzienia, ale nie chciałyśmy, żeby nas wywalono za używanie tylko łazienki. Loli zajmowało to zawsze najwięcej czasu. Nie wiedziałyśmy, co u diabła ona tam robiła, ale żartowałyśmy na ten temat przy

stoliku i przysięgałyśmy, że wypycha tam stanik, jako że miała największe cycki z nas wszystkich, a żadna ich tak naprawdę nigdy nie widziała. Snułyśmy tylko przypuszczenia, co ona może tam robić, ale każda miała własne triki w łazience. Mnie nie zależało na urodzie. Interesowała mnie trawa. Ta właśnie, której miałam nie palić bez reszty dziewczyn. Łazienka była dla mnie miejscem, gdzie mogłam się upalić i zdrowo nakręcić. Nosilałam w torebce perfumy, które rozpylałam, żeby reszta dziewczyn się nie zorientowała, po czym wrzucałam do ust kilka miętówek. Świeżutka jak poranna rosa i szybująca wysoko na obłoczku.

Potem zaczynała się jazda. Przystankiem była dla nas zazwyczaj kowbojska knajpa, gdzie poza campusem, jakieś nieważne miejsce, gdzie mogłyśmy wypróbować nasze lewe dokumenty przed ważniejszymi knajpami w college'u późniejszym wieczorem. Przygotowywałyśmy plan w samochodzie. Lola omawiała poszczególne etapy naszych działań i kolejność, w jakiej przekażemy sobie legitymacje. Potem podawałyśmy sobie piwo z lodówki w samochodzie i wrzucałyśmy kilka puszek do torebek, żebyśmy mogły, będąc już w środku, zaoszczędzić kasę. Jeśli wszystko szło dobrze, wychodziłyśmy. Byłyśmy gotowe na campus, knajpy studenckie i imprezy bractwa. Wtedy właśnie system kumpelstwa zaczynał dawać efekt. Obowiązywały też pewne zasady.

KELLY

Po pierwsze, jeśli spotkacie jakiegoś kolesia, a on będzie chciał się z wami gdzieś pokręcić, powiedzcie któregoś z nas, dokąd idziecie. Po drugie, jeśli jedna z nas chce wyjść, wychodzimy wszystkie. Po trzecie, żadna z nas nie przypala, jeśli nie powie o tym drugiej. A jeśli

się zgubicie, spotykamy się u Denny'ego o czwartej rano na parkingu. OK?

Dawaliśmy zatem nura w noc, każda z innym powodem do buntu i ogólnym brakiem zainteresowania względem tego, co miało się wydarzyć w ciągu wieczoru. Imprezy w bractwach były naszymi ulubionymi. Darmowe piwo, fantastyczni faceci i znajomości na następny rok. Czasami kłamałyśmy co do swojego wieku, mówiłyśmy, że przyjechałyśmy z Columbi tylko na jeden wieczór z wizytą do siostry z bractwa, czasem mówiłyśmy prawdę, ale nigdy na temat wieku. Kiedy już byłyśmy w danym domu, zazwyczaj miałyśmy plan, która kogo ma zamiar wyrwać tego wieczoru. Pieprzenie na początku wieczoru było zazwyczaj niedopuszczalne, ale w miarę jak noc się przewijała, a beczka się osuszała, wydawało się raczej dobrym niż złym pomysłem. Pytanie zazwyczaj brzmiało: gdzie i z kim, a nie jak i kiedy. Od czasu do czasu któraś z nas znajdowała drogę do jakiegoś milego pokoiku chłopca z bractwa, dostarczając to, czego studentki pierwszego roku miały nie robić. Nas to za cholerę nie obchodziło, lubiłyśmy seks i wydawało się, że przyczyni się on do wspaniałej pogawędki w drodze do domu, jako że opisywałyśmy ze szczegółami rozmaite pozycje, jakie poznałyśmy i jak świetnie zrobić laskę. Seks nas intrygował, a im więcej uczyłyśmy się od studentów, tym większą furorę robiłyśmy wśród chłopaków z liceum. Wydawało się, że nie ma nic do stracenia. Główną zasadą było jednak nie zająć w ciąży, a prezerwatywy nie były dla nas opcją. Wprawiały nas tylko w zakłopotanie, nie wiedziałyśmy, jak ich używać i jak je zakładać, a za każdym razem, kiedy próbowałyśmy, okazywało się to katastrofą, więc przerywanie było wybraną metodą oraz małe pigułki, zwane przez nas bombami. Większość

z nas jakoś się zabezpieczała, ale nigdy nie udawało się nam zrobić tego właściwie i zawsze zapomniałyśmy brać te pieprzone pigułki. Tak naprawdę starałyśmy się pokonać statystykę. Tak robiłyśmy ze wszystkim w życiu, więc dlaczego miałyby być inaczej z antykoncepcją. Doszłyśmy do wniosku, że jeśli coś się spieprzy i któraś z nas zajdzie w ciążę, zrzucimy kasę z centrum handlowego, pojedziemy przez stan do Missouri, żeby zrobiła skrobankę. Na wszystko był plan.

Po imprezie w bractwach ładowałyśmy się do samochodu i ruszałyśmy do barów. To była moja ulubiona część wieczoru, bo nie tylko było tam więcej chłopaków z college'u, ale też było tam ciemno, głośno i wydawało się, że jest to dokładnie to, na co powinnam się przygotować odnośnie do życia w Nowym Jorku. Tu miałam szansę podejmowania decyzji, przy zamawianiu drinka u barmana, mogłam też zostać sama i poznać, kogo chciałam, a co najważniejsze, miałam przed sobą pole do uważnej obserwacji. Chciałam być podglądaczką, patrzeć na interakcje innych, kiedy przemieszczałam się po barze. Chciałam badać wybory ludzi od momentu, kiedy wchodził do baru, aż do chwili, kiedy go opuszczali. Chciałam dociec, dlaczego siadali w takim, a nie innym miejscu, dlaczego zamawiali danego drinka. Prawie wszystko mnie w tym miejscu fascynowało.

Czułam w sobie jakąś dziwną siłę, pewność siebie, której nie miałam w życiu poza knajpą. Tam w półmroku czułam się bezpieczna. Porozumiewałam się też z innymi w sposób, w jaki nie robiłam tego nigdy przedtem. Czułam się wygodnie, kłamiąc, zwolniona z poczucia winy w związku z myśleniem o seksie, piciu i upalaniu się. Czułam harmonię z samą sobą. Ciemny bar wydawał mi się idealnym miejscem, by z ukrycia obserwować wszystkie reakcje, których byłam tak ciekawa u ludzi, więc

za każdym razem, gdy łądowałam w takim przybytku, byłam zadowolona, nie mówiąc już o tym, że zwykle wychodziłam niemal ostatnia. Ale działo się tak nie wcześniej aż wszyscy ochroniarze stali się moimi kumplami, a ja nabrałam pewności, że nasza następną wyprawa skończy się sukcesem.

Gdy w końcu wypadałyśmy z barów, byłyśmy gotowe na nocne śniadanie u Denny'ego, a tam kombinowałyśmy, gdzie by tu uwalić się do rana, bo trzeba było być w pracy w centrum handlowym przed dziesiątą. Wybierałyśmy zwykle boks na tyłach restauracji, pojemny na tyle, by pomieścić wszystkie osoby, które poznałyśmy tej nocy, sprawdzałyśmy, ile której zostało pieniędzy i zrzucaliśmy się na jedzenie. Naszą kelnerką była zazwyczaj Shirley, która dawała nam mnóstwo rzeczy za darmo. Może było jej nas żal, a może chciała się nas szybko pozbyć. Co by to nie było, zawsze prosiłyśmy właśnie o nią.

Po śniadaniu jechałyśmy do domu albo zwałyśmy się u kogoś w pokoju na kilka godzin, zanim wyczerpane, ruszymy w stronę domu, wspominając minioną noc. Pierwsza część podróży mijala w ciszy, dopóki jedna z nas nie zaczynała się śmiać lub chichotać do siebie i opowiadać zabawne historyjki na temat zachowania którejś z nas podczas tego wieczoru. To była ulubiona część naszej podróży, a każda z dziewczyn miała własny styl opowiadania. Historyjki Kelly zawierały zazwyczaj dobry scenariusz erotyczny, poznanie potencjalnej siostry z bractwa i zaprzyjaźnianie się z innymi kandydatkami. Lola dzieliła się swoimi intymnymi spostrzeżeniami na temat faceta, z którym spotykała się już od roku, ich planami, ślubu i zamieszkania poza miasteczkiem uniwersyteckim. Missy i ja byłyśmy zazwyczaj współniczkami w przestępstwie. Nasze historie o tym, jak gubiłyśmy się w ciągu wieczoru, a potem próbowałyśmy prześledzić nasze

kroki, żeby się odnaleźć, składały się na świetną komedię. Przez większość czasu wolałam słuchać historii innych. Zakutana w koce na tylnym siedzeniu, lubiłam rysować małe bużki na zaparowanych szybach, gapiąc się na przesuwający się przed oczyma wspaniały Środkowy Zachód, marząc jednocześnie o Nowym Jorku i o tym, jak by to było cudownie tam żyć. Wiedziałam, że ta część mojego życia dobiega końca i chciałam ją zapamiętać właśnie taką. Chciałam zapamiętać zapach pierwszego szronu na polach pszenicy. Chciałam pochwyć nasz śmiech, schować w pudeleczku i trzymać blisko serca. Niewinność opuszczała mnie, śmiałam się razem z resztą dziewczyn, ale w głębi serca wiedziałam, że mam swój plan i to na niego liczę, kiedy miały kolejne chwile długiej drogi do domu.

Centrum handlowe, modelka i prawiczek

Praca w centrum handlowym opłaciła się w końcu, kiedy jedna z moich przyjaciółek z innego sklepu wpadła do mnie w czasie przerwy i zapytała, czy nie interesowałaby mnie praca modelki. Roześmiałam się sądząc, że to chyba oczywiste, przecież wiadomo było, że chcę zostać modelką. Setki razy opowiadałam znajomym o swoich planach dotyczących Nowego Jorku i pytanie to wydało mi się najgłupszym, jakie można mi było zadać. Kiedy minął początkowy szok, poinformowałam mnie, że w centrum handlowym odbywa się właśnie casting do konkursu na modelkę, a jego zwyciężczyni ma pojechać do Nowego Jorku. Miałam tylko stanąć w kolejce i pozwolić im zrobić mi zdjęcie polaroidem, a oni powiadomią mnie potem, czy zakwalifikowałam się do konkursu. Organizatorem konkursu pod hasłem „Look of the Year” była Agencja Modelek „Elite”. Właściciel agencji, John Casablancas, przybył do centrum handlowego z kilkoma swoimi łowcami talentów, promującymi konkurs i nową szkołę modelek, którą miano otworzyć w okolicy.

To była moja szansa. Popędziłam z powrotem do sklepu i zamieniłam nijaki kostium na nowe dżinsy od Calvina Kleina, białą podkoszulkę i kowbojki. Pobiegłam, by stanąć w kolejce z pozostałymi stu pięćdziesięcioma dziewczynami, także mającymi nadzieję, że uda się im wyrwać w cholerę z Kansas. Czekalam i czekałam, próbując rozszyfrować twarze łowców talentów, i asystując przy każdej z dziewczyn, którym robili zdjęcia.

Zastanawiałam się, czy nie mam zbyt mocnego makijażu lub też czy jest może zbyt niewyraźny. Zastanawiałam się, czy powinnam upiąć włosy, czy raczej zostawić je rozpuszczone, czy by nie polecieć do sklepu i nie założyć wysokich obcasów. Po prostu nie wiedziałam.

W końcu przyszła kolej na mnie. Pewna siebie, jako że już wiele razy stałam przed aparatem, pozowałam do zdjęcia. Przeszłam długim podestem, jaki ustawili przed sobą, uśmiechnęłam się i puściłam oko do Johna Casablancas, po czym zeszałam na dół i wróciłam z lękiem do pracy, że przedłużyłam znacznie przerwę i mnie wyleją.

Każdego dnia po szkole sprawdzałam skrzynkę pocztową, patrząc, czy jest coś dla mnie. W końcu, po dwóch miesiącach bez żadnego odzewu, przyszedł list. Rozkoszowałam się nim, patrząc na duże, pogrubione czarne litery, układające się w napis ELITE na kopercie. Obawiając się najgorszego, powoli otworzyłam.

„Droga Panno Tobie Tobin, została pani wybrana do uczestniczenia w finale konkursu Środkowego Zachodu w Kansas City, 23 października, 1984”. List wyjaśniał, że potrzebny jest podpis rodziców na formularzu zgłoszeniowym, że wezmę udział w sesji zdjęciowej i będę musiała wystąpić we własnym stroju. Jury konkursu oceniało uczestniczki w czterech kategoriach: wybieg, osobowość, kostium kąpielowy i sesja zdjęciowa. Podrobiłam więc podpis matki, wysłałam formularz następnego dnia i zaczęłam robić zakupy. Chciałam wyglądać zwyczajnie, niezbyt wyszukanie, potrzebowałam też kostiumu kąpielowego, który pokazałby moje długie nogi. Wiedziałam, że jurorzy preferują młode, świeże, wiejskie dziewczyny, z czystą cerą, doszorowane, zależało mi więc na takim wyglądzie. Miało też być duże koktajlowe przyjęcie dla wszystkich sędziów i dziewcząt, na którym miał się pojawić sam John Casablancas, wiedziałam więc,

że jeśli będę wyglądać na nim seksownie, następnego dnia będę pewniakiem. Wybrałam seksowną małą czarną, buty z paseczków na obcasach i srebrne kolczyki. Celowałam w miejski styl klubowy, który widziałam u modelek w magazynach, jakie czytywałam w bibliotece. Konkurs miał się odbyć za miesiąc, a ja musiałam przećwiczyć odpowiedni chód, kiedy więc nie było w sklepie klientów, odsuwałam wieszaki i robiłam wybieg aż do zaplecza. Przynosiłam różne buty, żeby ćwiczyć obroty, przymierzalam różne ciuchy, żeby zobaczyć, w czym mi będzie najlepiej. A po pracy wkładałam kostium kąpielowy i ćwiczyłam chodzenie przed lustrem, a pozostałe dziewczyny odkurzały za mnie w tym czasie. Niektóre z nich chodziły przede mną, udając, że też są modelkami, a reszta naśladowała dźwięki fleszy, udając jurorów i fotografów. Podczas tego miesiąca pracowałam więcej niż kiedykolwiek, aby zaoszczędzić ile się tylko da, na wypadek, gdybym dostała szansę wyjazdu do Nowego Jorku.

Był październik 1984, a do wielkiego dnia pozostał mi tydzień. Byłam gotowa. W końcu powiedziałam matce o konkursie, ponieważ ktoś musiał mnie tam zawieźć, a nie było nikogo innego. Ale nie obchodziło mnie, co o tym myśli. Chciałam tylko wygrać. Konkurs miał się odbyć w Crown Center Hotel, Kansas City, Missouri, w sobotnie popołudnie, ale przyjęcie koktajlowe było w piątkowy wieczór. Mała czarna i wysokie obcasy, gotowa do wyjścia. Załatwiłam samochód na wieczór, więc stwierdziłam, że jestem gotowa. Do reprezentacji Środkowego Zachodu wybrano dwadzieścia dziewcząt i wszystkie miały się tam pojawić, ale co ważniejsze, miał być także John Casablancas. Dostałam do wniosku, że gdybym przeszła obok niego kilkakrotnie tak, aby mnie zauważył, to moje szanse na jutrzejszym konkursie mogłyby wzrosnąć. I miałam rację. Pozostałe dziewczyny

były piękne, ale większość przez całą noc trzymała się swoich matek i nie miały nic innego do powiedzenia poza tym, że myślą, jak super byłoby pojechać do Nowego Jorku. Cholera, pomyślałam, jak „super” byłoby móc myśleć w ten sposób. Jedna tego typu niewinna myśl rocznie – w moim przypadku byłby to prawdziwy rekord. Poza tym, uważałam, że te dziewczyny nie musiały się wyrwać. Wszystkie miały plany pójścia do college'u albo wyjścia za mąż, jeśli to nie wypali, a ja miałam tylko tę jedną szansę, a jeśli jutro nie wygram, nie ma planu B. Wyszłam z przyjęcia czując, że odniosłam sukces. Nawiązałam bezpośredni kontakt wzrokowy z Johnem, zamieniłam parę słów z jednym z sędziów i zauważyłam, że o mnie szepczą. Czulałam się usatysfakcjonowana, przyszedł więc czas, żeby pójść się wyspać przed wielkim dniem.

Obudziłam się rano, patrząc bezmyślnie w sufit. Jednolita biała przestrzeń nade mną ulatwiła mi zakomponowanie płótna nadchodzącego dnia. Tyle razy prze-rabiałam to w głowie, że już niemal nie pamiętałam. Ale teraz znów się ten obraz pojawił: ja na wybiegu przed sędziami, patrząca ponad głowami widowni, obracająca się powoli na wysokich obcasach, upewniając się, że ruch jest płynny i pełen gracji, nie reagująca na szepty, kiedy przechodziłam, uśmiechająca się, gdy schodziłam. Nagle pukanie do drzwi.

MAMA

Kochanie, nie śpisz? Czas wstawać. Gotowa na twój wielki dzień?

Matka zawsze wkurwiała mnie, kiedy mówiła coś takiego. Nie lubiłam, kiedy przypominano mi o nadchodzącym dniu, zwłaszcza, co sądziła, że ja o nim myślę, więc od samego początku byłam zirytowana. Nie

aż tak, żeby te parę minut w łóżku i kilka kroków pod prysznic nie mogły tego uleczyć. Wzięłam tego ranka długi prysznic z rodzaju tych, kiedy golisz całe nogi, przechodząc do bardziej intymnych miejsc. Taki, kiedy używasz specjalnego mydła i robisz peeling całego ciała, nakładasz maseczkę z błota i wcierasz we włosy głęboko działającą odżywkę. Zajęło mi to jakieś czterdzieści pięć minut i zużyło całą gorącą wodę w domu. Potem czas na włosy, superdługie suszenie na okrągłej szczotce, potem wetrzeć trochę żelu i podkręcić elektryczną lokówką, wreszcie gotowa na trzeci krok: makijaż. To była moja mocna strona. Mogłam zrobić z moją twarzą niemal wszystko. Podnieść brwi, wymodelować linię szczęki, podkreślić kości policzkowe, sprawić, żeby usta wydawały się pełniejsze, co by nie wymyślić, ja mogłam to zrobić.

Po skończonych zabiegach upiększających i wzięciu ubrań, pojechaliśmy do centrum Kansas do hotelu. Zameldowałam się, dostałam tabliczkę z imieniem, rzuciłam okiem na wybieg, poszłam za kulisy, żeby powiesić ubrania i przyjrzałam się pozostałym dziewczynom. Wszystkie matki kręciły się wokół nich, wykladały ich ubrania, czesały im włosy i plotkowały ze sobą. Nie wiedziałam dlaczego, nie rozumiałam tego, ale czulałam się inna. Nie chciałam, żeby moja matka poznała te dziewczyny. Nie chciałam nawet, żeby tam była. Dobrze mi było samej i czulałam, że ona wchodzi w drogę wszystkiemu, co mogłabym chcieć zrobić. Wciąż zamierzałam popracować nad Johnem Casablancas, w razie gdybym nie wygrała, żeby zapewnić sobie bilet do Nowego Jorku, a obecność matki utrudniałaby mi rozpoczęcie mojego małego show.

Po godzinach siedzenia, interview i sesji zdjęciowej, nadszedł w końcu czas na wybieg i konkurs kostiumów

kapielowych. Tu mogłam zabłysnąć, jak sądziłam, szczególnie po tylu godzinach treningu w sklepie. Ustawiono nas za sceną według numerów i wyszliśmy na wybieg. Byłam już prawie na końcu, z czego się cieszyłam, bo pocity mi się stopy i musiałam wyjmować je z butów i wycierać o dywan. Wtedy przyszła ta nagła fala, zanim była moja kolej, żeby skierować się do wyjścia. Pieprzyć to, pomyślałam, i tak pojedę do Nowego Jorku niezależnie od tego, co powiedzą sędziowie, i tyle. Wyszedłam więc na wybieg ze wzrokiem utkwionym ponad głowami przede mną, mając nadzieję, że nie upadnę ani też nie będę wyglądać, jakbym się spieszyła, i w dziesięć sekund było już po wszystkim. Nie widziałam żadnej z twarzy sędziów, nawet nie ośmieliłam się spojrzeć w tamtą stronę. Tak więc skończyło się. Czas ogłosić zwyciężczynię.

Nie wygrałam, ale zdobyłam drugie miejsce, a wtedy wypowiedzieli owe magiczne słowa: „Przyjedź następnego lata do Nowego Jorku, a my umieścimy cię w jednym z naszych apartamentów i zapewnimy start”. Wręczyli mi moje nowe błyszczące portfolio z „Elite” i wkrótce znalazłam się za drzwiami. Moim przeznaczeniem było więc zamieszkać w Nowym Jorku i to wydawało się ostatecznie przesądzone.

Podróż do domu była katorgą, słuchanie mojej matki rozwodzącej się nad tym jak jest jej przykro, że nie wygrałam i że może gdybyśmy kupiły inne ciuchy i mniej seksowny kostium, mogłabym wygrać. Zawsze tak było. Przenigdy nie przyznałaby, że mój sen właściwie się ziścił, bo zaplanowałam go bez niej. Kiedykolwiek wymyśliłam coś sama, ona mnie nie słyszała. Walczyłam jednak o to, by mnie usłyszała tamtego dnia w samochodzie, bo chciałam, żeby do niej dotarło, że wyjeżdżam ostatecznie i najprawdopodobniej rzucam szkołę. Puściło mi więc.

TOBI

Ty nigdy nie chcesz mnie usłyszeć, co? Nie chcesz słyszeć, że wyjeżdżam. Co jest z tobą, do cholery, dlaczego nie możesz mnie po prostu wysłuchać? Wyjeżdżam stąd na dobre i nigdy już nie wrócę, próbowałam tysiąc razy powiedzieć ci, że jestem nieszczęśliwa. Nie widzisz, że ja tu umieram? Chcę się stąd wydostać. Chcę szansy na życie. Chcę szansy, żeby zacząć moje własne. Nie chcę żyć jakimś posranym snem o tym, że ty i tata znów kiedyś będziecie razem i będziecie żyli długo i szczęśliwie, w to na pewno nie uwierzę. Daj mi odejść! Pozwól mi upaść na twarz. Pozwól mi zająć się sobą! Nie chcę, żebyście ty czy tata kiedykolwiek się mną zajmowali. Pracuję od czternastego roku życia, i to było w porządku, więc o co teraz chodzi? Dlaczego zawsze musisz mi to robić? Dlaczego zawsze sprawiasz, że czuję się taka samotna i nie słyszana?

MAMA

Bo nie wiem, co ci powiedzieć. Zawsze wyśkakujesz z tymi szalonymi pomysłami na temat Nowego Jorku, uciekasz, pakujesz się w kłopoty w szkole, a ja mam już nerwy na wykończeniu. Nie wiem, co zrobić, żebyś była szczęśliwa.

TOBI

Właśnie. Mamo, już nie możesz mnie uszczęśliwić. Nie możesz mi wynagrodzić złych ocen w szkole, bo nigdy nie zaakceptowałaś mojej dysleksji, i nie wynagrodzisz mi czasu, kiedy

byłam zawieszona w szkole, bo nie jesteś w stanie sprawić, żebym się zainteresowała szkołą. Nie rozumiesz? Ja chcę się stąd wyrwać! Zrób mi tę jedną przysługę i puść mnie, po prostu mnie puść.

MAMA

Nie wiem, pomyśl.

TOBI

No cóż, ja jadę, nieważne, co powiesz, a jeśli będę musiała iść do Nowego Jorku na piechotę, to pójdę, do cholery.

Trzecia klasa liceum ciągnęła się jak odsiadka w więzieniu. Byłam skoncentrowana jedynie na wyjeździe do Nowego Jorku i jak zaoszczędzić wystarczającą ilość pieniędzy, żeby się tam dostać. Dalej wóczyłam się z przyjaciółkami ze szkoły katolickiej i wyskakiwałam od czasu do czasu na imprezy college'u, ale nigdy nie spuszczałam oczu z wyjazdu.

Po konkursie byłam w kontakcie z agencją modelek, a oni zapewnili mnie, że wszystko będzie gotowe na mój przyjazd w lecie i że nie powinnam się o nic martwić aż tam dotrę, a oni wszystko mi wyjaśnią po moim przyjeździe. W domu trzymałam więc buzię na kłódkę na temat rzucenia szkoły. Dostałam do wniosku, że poruszanie tego tematu donikąd nie prowadzi, a kiedy już wyjadę, i tak nie będą mogli ściągnąć mnie z powrotem. Oceny stały się jeszcze gorsze niż moje zwyczajowe dwójki i olewałam większość lekcji. Cały ten czas, kiedy wagarowałam i pracowałam, teraz się odbijał. Byłam na wylocie i wiedziałam o tym. Bez przerwy ciągnano mnie do gabinetu dyrektora i pytano, dlaczego sama nie złożę

wniosku, dlaczego jestem taka nieszczęśliwa, i kiedy te spotkania stawały się coraz częstsze, wygarnełam im, co o tym myślę.

TOBI

Wiecie, dlaczego nienawidzę tej szkoły? Bo jesteście bandą pierdolonych prostaków. Już mnie tu nie ma! Właśnie tak, rzucam to, słyszysz mnie pan? Słyszysz mnie, kutasie? Rzucam to! A jeśli myślisz, że nie widziałam, jak się we mnie wgapiałeś na korytarzu, to przemyśl to jeszcze raz, perwersie, bo dobrze widziałam. To ciebie należałoby zamknąć!

DYREKTOR

Dobrze, tyle zupełnie wystarczy, koniec z tobą. Wróć do klasy i zostań tam, póki nie wezwie my rodziców, żeby po ciebie przyjechali.

Wpatrując się w zegar na ścianie, obserwując, jak wskazówka przesuwająca się wciąż w kółko, stworzyłam plan. To by było na tyle. Więcej nie wytrzymam, duszę się. Nie mogę oddychać. Duszę się. Kiedy zadzwoni dzwonek, wtopię się w tłum, pójdę do szafki, zabiorę kurtkę i wyjdę prosto frontowymi drzwiami. Tak zrobię. Więcej nie wytrzymam, nie dam rady. Nie przesiedzę jeszcze jednej lekcji. Rzucę to. To tyle. Koniec. Muszę tylko dostać się do samochodu tak, żeby nikt mnie nie złapał. Mogę to zrobić. Boże, proszę, pomóż mi, już nie mogę patrzeć na te twarze. Pomóż mi się stąd wydostać. OK, po prostu idź spokojnie do frontowych drzwi i wmiešaj się między czwartoklasistów, miń ochronę, dalej, uda ci się. Zbierz się w sobie i zrób to. Po prostu wyjdź, do cholery! Właśnie tak, wyjdź przez te pieprzone drzwi

i zacznij nowe życie. Właśnie tak, kochanie, świat leży u twoich stóp. Po prostu zrób to, wyjdź!

Minęłam ochronę i już nie obejrzałam się za siebie. Wsiadłam do samochodu, zapaliłam papierosa i zjechałam na wiejską drogę, ale najpierw zatrzymałam się na chwilę przy tamie na rzece, gdzie starsze klasy palą trawę w czasie przerwy na lunch. Wszyscy mnie znali, większość była moimi przyjaciółmi, ale była to grupa tak zwanych nieudaczników, dzieciaki w czarnych T-shirtach z koncertów, ci, którzy słuchali muzyki przez cały dzień i rozbijali się po okolicy swoimi pikapami, popijając piwo. Ta grupa najbardziej mnie intrygowała, bo nie należałam do niej. Byłam cheerleaderką, mój chłopak uchodził za gwiazdę drużyny koszykówki, moi przyjaciele należeli do śmietanki towarzyskiej. Nigdy nie rozmawiałam z nimi na korytarzu i nie poznawałam ich w klasie; tak po prostu było. Po szkole i podczas lunchu stanowiliśmy grupę przyjaciół. Czułam więc, że właściwie byłoby małe pożegnanie.

Zatrzymałam się w miejscowym 7-Eleven, zgramęłam sześciopak i paczkę fajek, po czym pojechałam nad rzekę. Nie chciałam im mówić „do widzenia”, chciałam, żeby to był dzień, jak każdy inny. Pragnęłam ich zapamiętać takimi, jacy byli. Nie chciałam, żeby odczuli, że nie wystarczą, aby zatrzymać mnie w szkole, albo że to, co robię, będzie lepsze od tego, co czekało ich w życiu. Czułam, że aż nadto już im się dostało od całej reszty tak zwanej szkolnej śmietanki i że gdybym zaczęła im opowiadać jak Nowy Jork odmieni moje życie, wyglądałoby to na bezduszne przechwalanie. Spędziliśmy więc nasze ostatnie wspólne godziny pijąc piwo i opowiadając kawały o innych dzieciakach ze szkoły, snując nasze marzenia i rozprawiając o tym, co byśmy zrobili, gdybyśmy mieli milion dolarów lub wygralibyśmy na loterii,

i tak dalej, ale nie byłam zobowiązana do żadnego oficjalnego pożegnania. Czułam tylko, że jestem to winna jemu.

Nazywał się Tucker. Poznaliśmy się rok wcześniej na zajęciach z matematyki. Nauczyciel poprosił go, żeby mi wytłumaczył pracę domową w klasie, gdybym czegoś nie rozumiała. Tucker był z grupy „czarnych koncertowych T-shirtów” w szkole, i gdyby nie polecono mi rozmawiać z nim w klasie, nie poświęciłabym mu ani chwili. Wydawał mi się jednak powiewem świeżego powietrza w porównaniu z innymi znajomymi, którzy zanudzali mnie do łez. Nie był zbyt atrakcyjny, ale było w nim coś, co mnie intrygowało, szczególnie sposób, w jaki patrzył na mnie w klasie. Wydawał się mądry na swój wiek, nigdy też nie czułam się niezręcznie, będąc z nim sam na sam w klasie. Wiedział, że i tak nigdy nie zrozumie matematyki, ale, jak sądzę, doszedł do wniosku, że mogłabym zrozumieć jego. Rozśmieszał mnie, opowiadając dowcipy o swoich głupawych znajomych i relacjonując, co oni myślą o mnie i moich znajomych. Opowiadał o swoim dorastaniu w Kansas, o tym, jak ganiał po okolicy z młodszymi braćmi i jak hodowali bydło, które w końcu sprzedali po okresie długotrwałej suszy, wspominał, że jego matka rozwiodła się z ojcem po tym, jak zostawił ją dla jakiejś kobiety ze sklepu z narzędziami, różne takie szczegóły ze swojego życia, którymi inne dzieciaki się ze mną nie dzieliły. Lubiłam chodzić na matematykę, wiedząc, że zobaczę się z Tuckerem, a on powie mi więcej różnych historii; pewnego dnia zapytał, czy nie chciałabym poznać jego znajomych. Odruchowo zamierzałam uciąć krótko „nie”, ale sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że słowo „tak” samo wyszło mi z ust. Mijały tygodnie, dalej pracowaliśmy razem w klasie

i od czasu do czasu widywaliśmy się w bibliotece, aż pewnego popołudnia, właśnie w bibliotece, podszedł do mojego stolika i poprosił, żebym poszła z nim po szkołę. Nie powiedział dokąd, a jedynie, żebyśmy się spotkali na parkingu po lekcjach. Tak zrobiłam. Zawiózł mnie wtedy nad rzekę. Po kolei przedstawił mnie dzieciakom, którym nigdy nie mówiłam „cześć” w szkole, każdemu z nich powiedział moje imię. Nie musiał mi mówić, kim byli jego przyjaciele, chciał mnie im tylko pokazać i to mnie uderzyło. Jak mogłam to wszystko przegapić? Jak mogłam przyjmować to, co ktokolwiek wcześniej mówił, bez zobaczenia grupy na własne oczy? Jak mogłam być tak głupia i prosta, żeby nieomal przegapić całą prawdę o liceum? Dlaczego nie oglądałam wystaw, jak uczyła matka, zanim to kupiłam? To właśnie pokazał mi Tucker tamtego dnia – pokazał mi, jak odkrywać rzeczy na własną rękę. Podjąć w życiu ryzyko. Wyjść naprzeciw i próbować różnych ścieżek życia, nawet tych, których się najbardziej obawiasz. Pokazał mi, że nie powinnam lękać się rozwoju i zmiany, ośmielił mnie, żebym uwierzyła we wszystkie swoje marzenia, nie tylko te ogólnie akceptowane przez ludzi. Jego podarunkiem dla mnie było przesłanie, którego potrzebowałam zanim mogłam faktycznie wyjść przez tamą szkolną bramę i to wszystko rzucić. Jego przekaz był dla mnie jasny: rzeczy nie zawsze są tym, czym się nam wydają. Mówił mi też, żebym uważniej przyglądała się temu, co widzę, że zawsze jeszcze można dopatrzeć się czegoś więcej. I tak było. Tucker, stojący tuż przede mną, to niewątpliwie ktoś, komu powinnam się lepiej przyjrzeć.

Spotykaliśmy się po szkole nad rzeką prawie każdego dnia, czasem podczas lunchu, kiedy nie szliśmy na lekcję. Mogliśmy dzielić się tym miejscem i być w nim razem

widziani. Przez większość czasu w szkole udawałam, że nie znam Tuckera, poza lekcjami spędzanymi na matematyce bądź kiedy znajdował mnie w bibliotece, skąd wymykaliśmy się razem do kina i całowaliśmy się dziko. Wciąż jednak chodziłam na randki z moim chłopakiem, gwiazdą koszykówki, i spotykałam się ze starymi znajomymi, jakby nic się nie zmieniło. Byliśmy z dwóch różnych miejsc, a spotkanie się było o wiele ważniejsze, niż tworzenie barier, których nie moglibyśmy przeskoczyć, mieliśmy więc dla siebie rzekę i nasze marzenia. Spędzaliśmy godziny rozmawiając o tym, co z nami będzie, jak skończymy szkołę, jak w końcu będziemy mogli być razem; on będzie mnie odwiedzał w Nowym Jorku, a ja odwiedzę jego w college'u, ale przez cały ten czas wiedziałam, że nic z tego się nie zdarzy, lecz nie miałam serca mu tego powiedzieć. Tak czy inaczej, nie byłam pewna, czy chciałaby usłyszeć prawdę.

Sytuacja w szkole stawała się coraz bardziej napięta, a Tucker wiedział, że chciałam wkrótce wyjechać. Nie chciał nawet wiedzieć kiedy, miał tylko jedną prośbę, zanim to zrobię: chciał, żebym się z nim pożegnała. Sądzę, że najbardziej ze wszystkiego nie chciał iść do college'u jako prawiczek, a ja też nie chciałam, żeby taki poszedł. Nigdy w zasadzie nie powiedział, że nim jest, ja jednak tak myślałam, sądząc po sposobie, w jaki patrzył na mnie w bibliotece – słodko i z zaciekawieniem, nigdy zmysłowo. Zakładałam, że jest prawiczkiem. Było zimne wiosenne popołudnie, część lodu na rzece jeszcze nie stopniała, kiedy więc wszyscy się rozjechali, postanowiliśmy pójść do stodoły, o której wiedzieliśmy, że jest niedaleko stąd, żeby uciec od zimna. Myślę, że Tucker czuł, że nigdy mnie już nie zobaczy, ale żadne z nas nie powiedziało na ten temat ani słowa,

wiedzieliśmy tylko, że zostało nam tych parę godzin razem. Kochaliśmy się w stodole, a potem pomachaliśmy sobie na do widzenia, odjeżdżając każde własną drogą. Jego słowa zostaną ze mną na zawsze. „Rzeczy nie zawsze są tym, czym się wydają, przyjrzyj się więc bliżej temu, co już widzisz, a zawsze znajdzie się jeszcze coś więcej”.

Piątkowy wieczór

W piątek rano obudziłam się zmęczona jak nigdy dotąd. Łzy płynęły mi po twarzy. Czułam smak każdej kropli, zmierzającej w stronę ust. Moje ciało było niczym kamień. Otepiąłem od tego wszystkiego, zagubiona w ciszy, nie myślałam nawet o minionej nocy, po prostu czułam ją każdym nerwem, obudziłam się z nią.

W kieszeni znalazłam trzydzieści doliców, z czego dziesięć potrzebowałam na benzynę, reszta musiała wystarczyć na jedzenie do niedzieli, kiedy to miałam dostać wypłatę. Pomyślałam, że ktoś musiał mi je zeszłej nocy wsunąć do kieszeni, kiedy otwierałam mu Bramkę albo się z nim witałam; co by nie mówić, miło było znaleźć zwitek pieniędzy w kurtce. Teraz jakieś tanie jedzenie, pomyślmy... OK, Farmer's Market. Lubiłam tam chodzić w ciągu dnia, obserwować bezrobotnych pisarzy i leciwych aktorów, jak siedzą w cukierni nad kawą i pieprzą o starych dobrych czasach, strajku czy o Kanadzie; o czym by, do cholery, nie rozmawiali, lubiłam, jedząc, patrzeć na nich, a było to miejsce, gdzie mogłam dostać najtańsze jedzenie w mieście, obserwować ludzi i pisać, pozostając niezauważona przez potencjalnych klubowiczów.

FARMER'S MARKET, L.A.

TOBI

Poproszę gofra z truskawkami, bananami i mnóstwem bitej śmietany, do tego bezkofeinową.

SPRZEDAWCA

Dobrze, ma pani numer 56, poproszę panią, kiedy danie będzie gotowe.

Nie wiedziałam tylko, że w tym miejscu trzeba, kurwa, czekać na gofra dwadzieścia pięć minut. Typowy dla Los Angeles bajzel. Pozwól ci umrzeć z głodu, zanim ktokolwiek zauważy. Nie wspomnę już o moim niskim poziomie cukru i napięciu przedmiesiączkowym. *Jezu, jak dzisiaj cholernie gorąco, jak może być taki upał w dzień i minus czterdzieści* w nocy? Roztapiam się.* Przystałam mówić do siebie, zmęczona brzmieniem własnego głosu przeżartego zgorzkniałymi myślami i sarkastycznym spojrzeniem na świat, i zaczęłam słuchać. Słuchałam rozmów wokół mnie, podsłuchiwałam, jak jakaś kobieta radzi się matki, czy powinna zaprosić tego czy innego kuzyna na wesele; zauważyłam białe spodnie matki z dopasowaną do nich torebką i butami i pomyślałam: *Miami.*

Zatopiłam się w odgłosach tła: brzękaniu naczyń, dźwięku popychanych wózków sklepowych, pstrykaniu aparatów w rękach zwiedzających market wycieczkowiczów, w bieganiu dzieci, handlujących głośno sprzedawcach. Wtedy zobaczyłam ją wśród tłumu. To była Charlotte. Wyglądała inaczej, niż kiedy widziałam ją ostatnio na swojej imprezie. Coś nieuchwytnie zmieniło się w jej włosach. Może to chodziło o kolor, nie jestem pewna. Ale było w niej coś, co uderzało. Byłam pewna, że mnie nie widzi w miejscu, gdzie siedziałam, i niepewna, jak zareaguje, gdy mnie zobaczy. Nie wiedziałam, czy miała by chęć się ze mną spotkać, czy ją to jeszcze w ogóle obchodzi. Minęło parę miesięcy od mojej urodzinowej

* W skali Fahrenheita (przyp. tłum.).

imprezy i od tamtej pory nie rozmawialiśmy. Czulałam się zażenowana. W głowie miałam gonitwę myśli. Rozważałam słowa, od których mogłabym zacząć powitanie. Przyszły mi na myśl rozmaite rzeczy, o których jej powiem, że mnie zaprzętały, mogących wyjaśnić brak kontaktu z mojej strony. Wymyślałam kłamstwa, które by ją przekonały o tym, że próbuję oczyścić swoje życie z występku i zupełnie je zmienić. Myślałam o pracy, o której mogłabym jej opowiedzieć, żeby wyjaśnić, dlaczego wyglądam na tak do cna zmęczoną, ale ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby jej powiedzieć prawdę. Charlotte była zbyt czysta, zbyt idealna, jak na moje popaprane życie. W jej chrześcijańskim świecie byłam grzesznicą i nie sądziłam, żeby znalazło się w nim miejsce dla kogoś takiego, jak ja. Czekałam więc, patrząc, jak Charlotte płaci za kawę, odwraca się i zaczyna iść prosto w moją stronę. Nie było czasu, żeby się ukryć, zbiec. Zauważyłam, że uśmiecha się, kiedy nasz wzrok się spotkał, powiedziała „cześć”. Spojrzałam tylko i również odpowiedziałam „cześć”. Dobrze wychowanie nigdy nie pozwoliłoby jej być niemiłą. Charlotte była typem do przejrzania „na wylot”. Miała na myśli to, co mówiła i zawsze była ze mną szczerą co do swoich uczuć.

Fakt, że zobaczyłam Charlotte, pozbawił mnie tchu. Poczulałam się naga, umniejszona, jak dzikie zwierzę w świetle reflektorów. Pęknięta. Otrzeźwiająca obecność Charlotte i mój kac nie były najwłaściwszą mieszanką dla sensownego procesu myślowego, który miałby szansę odbyć się tu, w tym miejscu, w tym momencie. Wiedziałam tylko to, że Charlotte była prawdopodobnie jedyną osobą, która mogła mnie ocalić. Tyle, że ja nie byłam jeszcze gotowa na zbawienie. W tej chwili widziałam tylko długą podróż, jaka mnie czekała. Pomyślałam, *nie okłamałam jej. Nie okłamałam jej. Powiedziałam prawdę,*

co robię i gdzie pracuję. Dlaczego nie skłamałam? Czy to Charlotte miała to coś, jakiś trik, który sprawił, że powiedziałam prawdę, a może to ja wyciągałam do niej rękę? Co Charlotte miała, czego ja tak bardzo potrzebowałam? Dlaczego nie mogłam jej okłamać? Zastanawiałam się, czy kiedyś przyjdzie odwiedzić mnie w pracy. Chciałam, żeby przyszła, jednocześnie mając nadzieję, że tego nie zrobi.

SPRZEDAWCA

Numer 56, gofr z truskawkami i bananami, dodatkowa śmietana i bezkofeinowa.

Kiedy wróciłam do domu, na pierwszej linii było szesnaście wiadomości, sześć na drugiej, a na drzwiach przyczepiona karteczka od Henry'ego: „Hej, zgubiłem notes z adresami i nie mogę znaleźć twojego numeru. Wróciłem już, zadzwoni!”. Podpisano: H.

Był tu. Jeszcze go czuję. Wrócił. W końcu wrócił. Liczyło się tylko to, że wrócił. Obejrzałam karteczkę tysiąc razy, żeby upewnić się, że to od niego, bo potrzebowałam tej pewności. Henry'ego i mnie łączyło niewiele poza łóżkiem, a mimo to dla mnie było to coś o wiele więcej, niż dałam dotąd od siebie komukolwiek, zarówno fizycznie, jak emocjonalnie. Chyba podobało mi się to w tej formie. Było nam obojgu łatwiej bez zbyt wielu pytań, a przynajmniej bez tych niewłaściwych, jak: „Kiedy się znów zobaczymy?” czy też „Dlaczego nie zadzwoniłeś?”. Żadne z nas nie miałyby zresztą na nie odpowiedzi, unikaliśmy więc w naszym życiu tego stereotypu. Henry był moim jedynym skrawkiem prywatności poza moim prawdziwym imieniem. Był moją tajemnicą, moją przystanią, oddechem jedynym, jaki kiedykolwiek zaczerpnęłam, czując się przy nim bezpiecznie.

a przecież jednocześnie prawie mnie nie znał. Nie miało dla niego żadnego znaczenia, że tyle rzeczy na swój temat trzymałam przed nim w tajemnicy; w końcu i temu chodziło o to samo. Zawarliśmy obopólne porozumienie, a przez osiem godzin razem spędzonych, kiedy naprzemian pieprzyliśmy się, to znów zasypialiśmy, żadne z nas nie zastanawiało się, czego chce od niego to drugie.

Cholera, która to godzina? Zasnęłam. Wpół do siódmej, kurwa, muszę się dostać do klubu, jaki dziś wieczór? A, piątek, piątek wieczór. Gdzie karteczka, chcę zabrać karteczkę ze sobą, chcę go mieć przy sobie. Przynic, przebrać się, wziąć karteczkę, pojechać do klubu, odstuchać wiadomości później, kiedy wrócę do domu, to tylko ci, którzy chcą się dostać na listę, nie oddzwaniać przed sobotą, unikać ich do soboty czy niedzieli. Zabrać karteczkę.

Jechałam do pracy jakbym tę drogę przemierzała tysiące razy i, prawdę mówiąc, tak było, ale tym razem czułam się inaczej, tym razem miałam dostać pieniądze za robotę, nie tylko snuć się ulicami i wyrzucać z siebie kolejne bzdury do przedstawicieli Młodego Hollywood. Nie, w ten piątkowy wieczór miałam powód i bardzo się starałam nie spieprzyć jedynej szansy na to, by może jeszcze na chwilę zahaczyć się w Los Angeles.

NARRATOR

To prawdopodobnie marzenia sprawiały, że Los Angeles wciąż jeszcze żyło dla mnie. One były dla mnie wszystkim, jak chyba dla każdego, kto przyjeżdżał do Los Angeles z zamiarem rozpoczęcia kariery aktorskiej. Chodziło o obietnicę wynagrodzenia po całej tej

ciężkiej pracy. Oznaczało to bycie uznanym i dostrzeżonym jako jednostka. Oferowało poczucie bezpieczeństwa i status społeczny. Sława była wszystkim, czego można było pragnąć od życia. Z oddali tyle dla mnie znaczyła. Tak wiele, bo tylko niewielu mogło ją zdobyć. Została stworzona dla mistrzów gry w życie. Sława i bogactwo były moim celem. Jakikolwiek inny sposób na życie wydawał mi się teraz beznadziejnie zwyczajny. Chciałam spełnienia swoich marzeń i wszystko to szło razem z nimi. Marzenia przepychały mnie przez dni, kiedy nie miałam pieniędzy ani pracy. Marzenia pocieszały mnie, kiedy brakło mi usprawiedliwienia dla mojego paskudnego postępowania. Liczyły się tylko marzenia. One sprawiały, że biegałam po cztery mile dziennie w pełnym słońcu. Pomagały mi klamać, żebym mogła zdobyć to, czego chciałam, dawały siłę, by przetrwać choćby jeszcze tylko chwilę. Małe kłamstewka... Chciałam być wśród tych, którzy mieli te same marzenia albo już je spełnili. Czytałam wszystko, co było dostępne na temat tego, jak zostaje się gwiazdą. Sypiałam z gwiazdami. Pracowałam z gwiazdami. To był mój jedyny motyw, by zostać w Los Angeles. Bez względu na to, za jaką cenę. Tak usprawiedliwiałam przed sobą pracę na Bramce. „Za każdą cenę”, mówiłam sobie. To wiele ułatwiało. Świadomość nagrody na końcu, świadomość tego, że za swoją ciężką pracę dostanę wynagrodzenie w postaci tak wielu możliwości i szans. Przyszłość wydawała się niemal gwarantowana. Splacałam dług, jak mówią. Po prostu splacałam dług.

DEXTER

OK, Tobs, w piątki jest tak. Wcześniej idziemy w rezerwację, potem około jedenastej zamykamy się aż do jakiejś pierwszej trzydziści. Potem naganiamy ich, kowboju. Czas ich stąd wykurzyć, więc sprawdzaj, ile wyszło, a ile weszło do dwunastej, bo będzie ci potrzebne miejsce, kochanie. No i upewnij się, że ty i chłopcy dostaniecie swoją kasę na pizzę...

TOBI

Co to, kurwa, jest kasa na pizzę?

DEXTER

W piątek wieczór musimy kupować pizzę z lokalu obok, bo tu wcześniej zamykają kuchnię, więc musimy zagnieść ciasto na bramce. Fundusz na pizzę. Złapiesz dryg, jestem pewien. Chodźcie, chłopaki, jest wpół do ósmej, wychodzimy. Otwarte.

PRZED KLUBEM, MELROSE AVENUE, L.A.

TOBI

Ile mamy?

DANIEL

Dziewięćdziesiąt osiem.

TOBI

Która jest?

BILLY

Wpół do jedenastej.

TOBI

Wstrzymujemy.

BILLY

Wstrzymujemy, Tobs, już czas.

TOBI

Na co?

BILLY

Na kasę na pizzę, masz zebrać cholerne pieniądze na pizzę.

TOBI

Mam klub pełen pieprzonych dupków, a miejsc może na pięć, dziesięć osób z rezerwacją na za piętnaście minut i najlepszych przyjaciół wszystkich w drodze, więc jak, do kurwy nędzy, chcesz mnie prosić teraz o kasę na pizzę?

BILLY

Bo musisz się nauczyć, jak dobijać targu, bo jeśli się teraz nie nauczysz, to nie dasz sobie rady, więc zrób to. Zdobądź kasę.

Wtedy zaczął się robić syf. Mogli poczekać, ale nie całą noc. Dobijałam więc targu. Bazowałam na wszystkim, o czym tylko można pomyśleć. Używałam czego się dało. Umawiałam się co do następnego wieczoru, chwili później tej samej nocy, na kiedykolwiek mogłam, sprzedawałam zresztą każde kłamstwo, które zechcieli by kupić, gdyby tylko mogło przenieść mnie do następ-

nego klienta i zabrać mi tę całą resztę sprzed oczu. Dolny próg opierał się na tym, że niektórym po prostu nie dane było wejść.

TOBI

Nie dzisiaj, nie dam rady, impreza zamknięta.

To był mój ulubiony tekst. Ocalił mi tylek tak wiele razy, że się nie da powiedzieć. Było mnóstwo tekstów. Zależały od osoby, do której się je kierowało. Podchodzili do mnie, puszczali swoją bajkę, a ja podnosiłam broń. To była walka, wynik zawsze nieznanym, stawki zawsze nierówne, a potem od czasu do czasu niespodzianka, coś łatwego. Ktoś, kto wchodzi i tak, ktoś, kto dostaje wszystkie buziaki – hej – gdzie byłeś, taa, ten, co pozwala mi na oddech w ciężkiej pracy. Ale pieniądze były tym czymś. To one tak naprawdę fascynowały mnie w Bramce. Pieniądze w niewłaściwych rękach i powód, dla którego używało się ich, żeby wejść do miejsca, które nie było potrzebne do życia, to mnie bawiło. Sprzedawało się, a ja chciałam na to popatrzeć. Wyglądało to tak.

Powiedzmy, że cię odprawiam, z jakiegoś tam powodu, może klub jest zbyt zatłoczony, może jest impreza zamknięta, może przyszedłeś ze zbyt dużą grupą. Wtedy właśnie czynią sugestie odnośnie do kasy. Ile? No cóż, to zależało od osoby. Powiedzmy, że zaczynasz od dwudziestu dolców; cholera, to mnie bawi. O, pięćdziesiąt dolców – desperat, fuj. Ale jeśli zaczynali od setki, na start i biegniemy. Najpierw patrzyłam im w oczy i mówiłam „nie”. Nie brałam wtedy łapówek, dlatego zostałam. Wiedziałam, że wszystkie inne Bramki w mieście jadą na łapówkach, a ja nie. Moja Bramka była najtrudniejsza do przejścia, a klub dzięki temu najlepszy w mieście. Nie można było mnie kupić.

A tak wygląda, jeżeli bierzesz w łapę. Jeśli noc jest wolna, bierzesz dwadzieścia dolców. Koleś to frajer, z pewnością, daje ci dwadzieścia dolców w czasie wolnej nocy, naprawdę, co za frajer. Ale bierzesz, myśląc, czemu nie, jeden frajer od czasu do czasu nie zaszkodzi. Tak, tylko że ten sam frajer pokaże się w każdy twój świetny wieczór. I nie chodzi tylko o to, że nie będziesz mieć dla niego miejsca, ale co najważniejsze, on się wyróżni. Zrobi coś, uderzy jedną z dziewczyn, powie coś do jakiejś gwiazdy. Zasadniczo spierdoli ci wszystko.

Nieważne, interesowało mnie, ile oferowali. Chciałam wiedzieć, ile zapłacą, żeby się dostać do środka. Pozwalałam im więc kontynuować, targować się, błagać i próbować dobić targu. Rzygać mi się chciało na widok tego, jak się sprzedają, ale musiałam znać wartość, jaką miało dla nich wejście i chciałam, żeby mi ją pokazali. Moi chłopcy wiedzieli od samego początku, że nie biorę w łapę, na początku więc było to dla nich ciężkie. Większość z nich przyszła z Bramek, gdzie brało się łapówki, i zarabiali więcej. Ale ja mogłam zaferować im coś więcej. Clipboard. Właśnie tego chcieli, szefować własnej Bramce.

TOBI

Pieprzyć kasę na pizzę, ja stawiam, to będzie najciaśniejsza Bramka w mieście, zobaczycie, do przyszłego piątku. Zobaczycie. Najpierw trzeba dać im coś, czego nie mogą dostać, potem zapłacą, zapłacą sporo kasy, a nie jakieś gówniane grosze na pizzę. Bądźcie cierpliwi i zaczekajcie.

Wtedy przejąłem Bramkę, w tej właśnie minucie. Zobaczyłam pociąg widmo, milion mil stąd, jadący prosto na mnie.

TOBI

Obstawiacie ze mną, czy beze mnie? Przyjmuję zakłady teraz. W przyszły piątek, sukinsyny, o tej porze, będziecie bogaci. Co wy na to?

BILLY

Dobra, zczekamy, ale ty stawiasz.

TOBI

Macie to jak w banku...

Wstrzymanie bramki oznaczało morze twarzy naprzeciwko mnie, gapiących się, czekających, rozmawiających, palących, zabijających wzrokiem, popychających i wydzierających się. Dla mnie oznaczało to kamienną twarz, nieruchomość posagu i wolę wzięcia ich na przeczekanie, trochę jak zabawa w ciszę na przejeździe samochodem, kiedy twoja matka krzyczy: „Zobaczmy, kto najdłużej będzie cicho?”. Uwielbiałam tę grę. Zawsze wygrywałam.

Kiedy wstrzymaliśmy bramkę, porzuciłam te wszystkie twarze przede mną i spojrzalam na uliczne latarnie. Patrzyłam, jak rosa opada na Los Angeles, kiedy wplynęła do miasta mgła nad wybrzeża, i wtedy zobaczyłam Willa. Widziałam go już wcześniej, jak obserwuje mnie na Bramce. Widziałam go już w środę i w czwartek, a teraz wrócił i tym razem podchodził bliżej do linii. Pokazałam go Danielowi i spytałam, czy widział go już wcześniej, a on odpowiedział:

DANIEL

Tak, to Will, szwenda się tu przez cały czas, jest bezdomny i chyba trochę opóźniony, upewnij się, żeby trzymać go z daleka od Bramki.

I tak po prostu, z tym samym lekceważeniem w głosie, powiedział też:

DANIEL

No wiesz, myślę, że on cię lubi, bo powiedzieliśmy mu, żeby tu nie przychodził, a on ciągle wraca i gapi się na ciebie, chcesz, żebyśmy się nim zajęli?

TOBI

Nie, zostawcie go w spokoju, zajmę się tym. Wstrzymajcie Bramkę, nie wpuszczajcie nikogo. Pogadam z nim.

BILLY

Uważaj.

Przeszłam przez rząd ludzi, głęboki na osiem osób, do Willa. Widziałam, jak kotysze się w tył i w przód, z jednej nogi na drugą, wzrok wbity w ziemię, mrużąc, gdy zaczęłam się zbliżać. Zatrzymałam się w odległości jakichś trzech stóp od niego.

TOBI

Hej, mam na imię Tobi.

Odrzucił głowę do tyłu, przewrócił oczami do nieba, uśmiechnął się jakby i wyciągnął do mnie rękę.

WILL

Hej, jestem Will.
(Po długiej przerwie wyjął).
A ty jak się nazywasz?

Powtórzyłam swoje imię, a on wzdygnął ramieniem i zakotłosał się do tyłu i do przodu.

WILL

Obiecuję, że nie będę cię niepokoił, dobrze, dobrze, dobrze.

Kiedy tak wyjąkiwał kolejne „dobrze”, byłam szczęśliwa, że Will będzie moim przyjacielem. Bo pod tym brudnym ubraniem i znoszonymi tenisówkami z dziurami na palcach Will był pełen wdzięku.

Myślę, że miał jakieś siedemnaście lat, kiedy poznałam go tamtej nocy. Bezdomny od dzieciństwa czarny chłopak, mieszkał w kartonowym pudle za jakimś budynkiem; nigdy mi nie powiedział gdzie, z obawy, jak sądzę, żeby ktoś go nie znalazł, ktoś, kogo się bał, ale w ciągu tych dziesięciu minut, kiedy rozmawialiśmy tamtej nocy, znalazłam kogoś, komu mogłam pomóc i kogo mogłam szukać ponad twarzami, które mnie osaczały. Kiedy się odwróciłam, żeby zostawić Willa, on zająknął się i wydukał ostatnie zdanie:

WILL

To dobra, Tobs, do zobaczenia, OK, Tobs, będziesz tu jutro, dobra, będziesz na tej Bramce, dobrze, pracujesz w show biznesie, tak? OK, to dobra, do zobaczenia, zobaczymy się jutro.

Kiedy odwróciłam się i zaczęłam iść w stronę Bramki, Will wrzasnął:

WILL

Do zobaczenia, Tobs, no, do zobaczenia.

Szłam dalej i bez odwracania się wyciągnęłam rękę w stronę czarnego jak węgiel nieba, pomachałam i pomyślałam sobie, tak, Will, do zobaczenia!

DANIEL

Hej, wiesz co, koleś, ona po prostu wykonuje swoją pracę.

KLUBOWICZ

No dobra, to czemu nas nie wpuści?

DANIEL

Bo tak, zamknięte.

TOBI

Daniel, daj sobie z nim spokój, zapomnij o tym dupku, noc już się prawie kończy.

DANIEL

OK, ale jak jeszcze raz pokaże paluchem na ciebie, zdejmujemy go.

TOBI

Wezwij Dextera, jest w środku, powiedz, że mamy kogoś w poczekalni i wyciągnij też didżeja na zewnątrz. Dam temu koleśowi pięć minut, a jak się nie uspokoi, należy do was.

KLUBOWICZ

Hej, damulko, wiesz, czym jesteś? Pierdoloną suką, nie, wiesz co, jesteś pierdoloną kurwą!

Billy chwycił go za rękę i wykręcił mu ją za plecami, zanim położył go na ziemię. Daniel zamachnął się, Dex-

ter odciągnął Daniela, potem tłukli go już wszyscy trzej. W końcu, po paru chwilach, puścili go, wypychając na ulicę. Między nami panowała absolutna cisza. Pieprzyć to. Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać, zbyt zmęczeni, by wiedzieć, dlaczego się biliśmy. Nie mogliśmy już więcej znieść. Bójka zatrzymała głosy, rytm na Bramce, muzykę i puściła nas szybciej do domu. Zatrzymała wszystko.

TOBI

Jonnie?

JONNIE

Tak, maleńka?

TOBI

Muszę się napić.

JONNIE

Jasne, kochanie, już się robi.

DEXTER

OK, sprawdźcie wyjścia. Steven, odprowadź Tobs do samochodu i niech cię nie obchodzi, gdzie zaparkowała, po prostu zrób to. Tobs?

TOBI

No?

DEXTER

Hej, czas iść do domu.

TOBI

OK.

DEXTER

Dobrze ci poszło dzisiaj, Tobs, dzięki tobie będzie to najmłodniejszy klub w mieście, będziesz sławna.

TOBI

Tak, a dlaczego?

DEXTER

Bo jesteś laska, dlatego. Jedyna, jak dotąd, która robiła to w tym mieście.

TOBI

No dobra, to powiedz szczerze, jak długo to według ciebie potrwa?

DEXTER

Co, ten klub?

TOBI

Tak.

DEXTER

Jak długo zechcesz.

TOBI

Co masz na myśli?

DEXTER

To, że masz ten rodzaj władzy. To twoja Bramka i ty określasz wynik.

TOBI

A co, jeśli nie chcę tej władzy?

DEXTER

Cóż, kochana, myślę, że na to jest już za późno. Wyśpij się, przyda ci się to, jutro sobotni wieczór.

Jadąc do domu, przypomniałam sobie kartkę, którą Henry zostawił mi na drzwiach. Przetrzęsłam kieszenie, próbując ją znaleźć. Musiałam pamiętać, że w moim życiu jest jedna prawda. Usilnie próbowałam sobie wszystko odtworzyć. Czy poszłam do łazienki, żeby do niego zadzwonić, czy tylko o tym pomyślałam? Byłam zbyt wypalona, żeby pozbierać myśli. Chwytałam się każdego obrazu w myślach, próbując zobaczyć, jak dzwonię z automatu w klubowej toalecie. Ale nie mogłam oddzielić jednego wieczoru od drugiego. Czy miał przyjechać? Czy zaprosiłam go dzisiaj? Czy mam zostawić otwarte drzwi, czy już tam jest? Co zostawiłam na łóżku? Czy zostawiłam cokolwiek, co miało związek z Bramką? Serwetki z numerami telefonów? Czy schowałam kokę, pieniądze i trawę? Czy wystarczająco się ukryłam? A może powinnam się schować jeszcze głębiej?

Takie myśli przewijały mi się przez głowę tuż przed wizytą Henry'ego, szczególnie te dotyczące ukrywania, jako że zawsze coś przed kimś ukrywałam, nawet jeśli był jedyną osobą w moim życiu, której ufałam; po prostu było dla mnie ważniejsze, żeby wszystko pozostało takie samo między nami i nigdy się nie zmieniło. Chciałam, żeby nasz układ taki pozostał, co oznaczało pewne zasady, ale jeśli sama ich nie przestrzegałam, to mogłabym pozwolić sobie znów się zakochać, a na to nie miałam ochoty. Nie chciałam być zostawiona na lodzie. Nie

miałam ochoty się odkryć. Mogłam sobie pozwolić tylko na seks, a z tego, co mi było wiadomo, on także. Ale potrzebowałam tych ośmiu godzin prawdy w pościeli, kiedy się kochaliśmy i czekałam, aż wstanie słońce. To była jedyna rzecz w moim życiu, która nie została zepsuta, wymyślona czy zmieniona przeze mnie. Była stworzona przez nas oboje. Dwoje ludzi z tą samą znajomością życia i strachu. Zawarliśmy milczący układ, w którym żadne z nas nie mogło zostać zranione, i on nas wyzwolił. Kiedy Henry podróżował po świecie, od Paryża przez Nepal do Włoch, ja marzyłam o nim, o jego pięknych dłoniach, dotykających moich ust, błędzących po każdym calu mojego ciała, jak gdyby dotykał go po raz pierwszy. *Dlaczego potrzebuję go tak bardzo, jeśli jest tylko chwilami w moim życiu? Dlatego, że go kocham, dlatego, że tak strasznie go kocham, tak słodko, szczerze, mocno, że będę kłamać, żeby go zatrzymać. Dlaczego Henry aż tak bardzo różni się od innych postaci w moim życiu, że dla niego gotowa jestem oszukiwać i grać? Czy możliwe, że znalazłam kogoś, kto sprawi, że będzie jeden dzień prawdy w moim załganym życiu, nie założony jako kłamstwo? Nie wiem, nie wiem...*

Henry wiedział tylko tyle, że zarabiam na czynsz jako modelka i aktorka, i dokładnie o to mi chodziło, żeby tak myślał. Czulałam zażenowanie i wstyd, jak drastycznie zmieniło się moje życie w tak krótkim czasie. Uważałam, że Henry może mnie kochać tylko jako fantastyczną modelkę czy aktorkę, którymi dawniej byłam, a nie Selekcjonerkę, którą się stałam. Nie chciałam, żeby wiedział, skąd się biorą moje pieniądze i zrobiłam wszystko, żeby się o tym nie dowiedział. Nie znałam jego przyjaciół, a on nie znał moich. Obracaliśmy się w różnych kręgach i unikaliśmy rozmów o codziennym życiu, żeby nie być zmuszonymi do okłamywania się nawzajem. Im

mniej się o sobie wiedziało, tym mniej trzeba było sobie wyjaśniać podczas spotkania. Nie braliśmy odpowiedzialności za nic, poza czasem, jaki spędzaliśmy wspólnie.

Poprzednie trzy noce pracy do czwartej nad ranem odbiły się na moim organizmie. Czulałam się słaba i roztrzęsiona. Nie mogłam pozbyć się nekającego mnie zimna i świstu nocnego wiatru w głowie. Ostatnim wysiłkiem rozebrałam się i odłożyłam ubrania na trzydniowy stos leżący na ogrodowym krześle. Zostawiłam na sobie czarne dżinsy, motocyklowki i męską podkoszulkę. Umyłam twarz, zapaliłam jointa i wciągnęłam dym głęboko do płuc, jakby unosił się na poletku ryżowym w środku plantacji maku w reklamie „National Geographic”. Usiadłam na łóżku i wpatrzyłam się w panoramę Valley, czulałam wilgotne, zimne powietrze, wpływające przez okno i owiewające moje ciało. Czekałam na Henry'ego. Na przytulenie, seks, na te jedyne chwile w moim życiu, kiedy mogłam swobodnie oddychać.

DOMEK DLA GOŚCI, STUDIO CITY

TOBI

Czemu sikasz z progu?

HENRY

Bo ty byłaś w łazience.

TOBI

Więc poszedłeś się wysikać na zewnątrz, tak?

HENRY

Zgadza się, mała, po prostu wysikałem się przez frontowe drzwi.

TOBI

No, cóż, OK. Wszystko jedno.

HENRY

Taa, wszystko jedno.

TOBI

Kiedy się zobaczymy?

HENRY

Nie wiem, zadzwonię.

TOBI

Dobra, dobra. Wiesz, że zawsze do mnie przychodzisz wtedy, kiedy wracasz albo przed wyjazdem?

HENRY

Naprawdę? Nie wiedziałem.

TOBI

Tak, albo kiedy dopiero co dotarłeś do domu, albo właśnie z niego wyjeżdżasz.

HENRY

Rzeczywiście, to dziwne, naprawdę.

TOBI

Naprawdę. Tak, ty głupi sukinsynu, tak to właśnie jest.

HENRY

Ha, ha, ha, ale jesteś zabawna z rana.

TOBI

Tak jak ty – facet, który sika ze schodków.

Prawdę mówiąc, powiedziałabym cokolwiek, żeby tylko został jeszcze chwilę i żebym nie musiała słyszeć, jak zapala swój motocykl, i patrzeć, jak odjeżdża. Bo kiedy odchodził, razem z nim odchodziła moja dusza i cała prawda, jaka odrodziła się we mnie przez ostatnie osiem godzin. Warkot ruszającego motocykla był sygnałem kłamstw i koszmaru, które miały powrócić, w których żyłam i które tak bardzo uwielbiałam.

WNĘTRZE DOMKU DLA GOŚCI, STUDIO CITY

Zapisuje w swoim dzienniku.

Ostatniej nocy poszłam z Henrym do łóżka. Wciąż czuję na sobie jego zapach. Nie chcę iść pod prysznic. Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo go potrzebuję, dlaczego tylko jego kocham. Nie mogę pogodzić się z tym, że mnie opuszcza tak szybko i tak łatwo. Dlaczego nie jest mu trudno odejść? Jak może być tak zimny, kiedy wychodzi? Nigdy nie wie, kiedy znów się ze mną spotka. Wie tylko, że może. Nienawidzę tego, że tak dobrze wie, że zawsze jestem na jego zawołanie.

Chciałabym być dla niego niedostępna. Chciałabym nie potrzebować go aż tak bardzo, jak go zawsze potrzebuję. Chciałabym być bardziej taka jak on. Jest tak pewny tego, że go kocham. Wie, że go potrzebuję. Chciałabym być tą, która zawsze wychodzi. Chciałabym być tą, która nigdy za nikim nie tęskni. Chciałabym być Henrym zamiast

sobą. Wypowiadam jego imię, kiedy się budzę. Ciągłe je powtarzam: Henry, Henry, Henry. Przeraza mnie, jak bardzo go potrzebuję. Cały czas o nim myślę. Nawet gdy jestem zbyt zmęczona, by mówić, to o nim myślę. Odpoczywam tylko myśląc o nim. Nie ma żadnych oznak, że i on mnie potrzebuje. Szukam ich za każdym razem, kiedy dzwoni albo przychodzi. Nigdy nie mówi, że za mną tęskni, nigdy nie mówi, że o mnie myśli, nigdy nie mówi czegoś, co pozwoliłoby mi wierzyć, że mnie kocha, ale ja wierzę, że tak jest. Chcę, żeby Henry powiedział mi, że mnie kocha. Chociaż nawet wtedy nie uwierzyłabym mu. Chyba kocham go dlatego, że nigdy mi nie mówi, że mnie kocha. Wiem, że to wariactwo, ale jak mogę kochać kogoś tak bardzo i jednocześnie nie chcieć nigdy usłyszeć prawdy? Myślałam sporo o Willu. Widzę go teraz prawie każdego wieczoru na Bramce. Czeka, aż skończę pracę i odprowadza mnie do samochodu. Daje mu część swoich napiwków i mam nadzieję, że mu to trochę pomaga. Will jest moim aniołem. Obserwuje mnie przez całą noc z drugiej strony ulicy. Nigdy nie spuszcza ze mnie wzroku, kiedy stoję na Bramce. Jego dusza jest czysta i dziecięca. Jest teraz jedynym znakiem, który przypomina mi, że kiedyś to wszystko się skończy. Chłopaki z Bramki nie lubią Willa. Uważają, że śmierdzi i wkurza wszystkich gości, kiedy krzyczy i wymachuje rękami. Nie znoszę, kiedy są względem niego podli. Doprowadza mnie to do szału. Dowiedziałam się, że Will pochodzi z Mi-

chigan. Urodziliśmy się w tym samym szpitalu. Wiem, że coś nas łączy, coś głębokiego. Myślę też o ostatnim razie, kiedy widziałam Charlotte. Wyglądała tak pięknie, tak spokojnie. Chciałabym do niej zadzwonić, ale wciąż nie jestem gotowa. Nie mogę przerwać tego, co zaczęłam. Muszę zakończyć historię, którą żyję. Może zajrzy do klubu, tak jak powiedziała, nie wiem...
Stella dziś dzwoniła. Tęsknię za nią. Muszę się z nią zobaczyć. Ona zrozumie Bramkę, zrozumie moją miłość do Henry'ego, zrozumie mnie teraz. Cieszę się, że Stella jest w moim życiu. Bez niej wszystko to wydawałoby mi się złym snem. Całe to jej wariactwo sprawia, że przy niej ja wydaję się osobą przy zdrowych zmysłach. Jej wrzaski do mnie na temat tego miasta, przemysłu filmowego, biznesu klubowego – wszystko to nabiera teraz dla mnie sensu. Jest moim jedynym wzorem. Odciąłam wszystkich moich przyjaciół.
Nie mogę się z nimi spotykać. Nie mam dla nich czasu. Nie mogę się teraz dla nich cieszyć, nie mogę ich zabawiać. Nie mam ani energii, ani czasu. Stella to rozumie. Zaczęłam prowadzić dziennik Bramki i opisywać, co się tam dzieje. Może pewnego dnia do czegoś mi się to przyda. Może pewnego dnia napiszę moją historię, nie wiem. Ten syf jest zbyt pokręcony, żeby teraz nawet o nim myśleć. Wiem, że znów się izoluję. Nic z tym nie mogę zrobić. Czuję się w środku wyciszona, smutna. Krzyczę i nikt mnie nie słyszy...

Sobotni wieczór

Wstałam o czwartej. Wzięłam prysznic, przekaśiłam coś i sięgnęłam po drinka. Odsunęłam swój dziennik, wiadomość od Henry'ego, uczucie bólu, które umiejscowiło się między moimi nogami, zmęczone ramiona i obolałe stopy, by jeszcze raz stać się nową, ulepszoną mną. Ubrałam się i pojechałam do Toma Berginsa, irlandzkiego pubu na Fairfax. Zastanawiałam się, jak to jest, że wewnątrz baru późnym popołudniem pachnie tak bosko. Była to kryjówka z dala od miasta, które rzadko się zmieniało, miasta, które ja wciąż próbowałam zmienić w coś innego: w Nowy Jork, dom na farmie w hrabstwie Bucks, w Pensylwanii, chatkę w *Big Sur*, ranczo w Montanie, w dom na plaży w Malibu, cokolwiek, byle nie Los Angeles. Bar był zatem scenerią, a drinki plenerem. Chodziło jedynie o ucieczkę od szaleństwa pewności. A byłam pewna, że nic się w najbliższym czasie nie zmieni. To jak czekanie na zwolnienie warunkowe za pięć lat. Odsiadywałam wyrok, zbierałam materiał do swojej historii, spędzałam kolejne dni, zatrzymując się czasem na przystankach życia. Pomóc mi mogło tylko kilka Krwawych Mary, frytki z sosem farmerskim i Mikey, irlandzki barman, oraz jego pogarda dla bezsensownej paplaniny i hollywoodzkich typów. On sam, oczywiście, także był aktorem. Gdziekolwiek bym nie poszła w Los Angeles, natykałam się na kogoś, kto wykonywał inną pracę, niżby chciał. Każdy miał jakieś inne plany. Było to miasto pełne ludzi, którzy nigdy nie mogli się znaleźć we właściwym miejscu o właściwej porze. Znalazłam jednak sposób, by zatrzymać dni i zmniejszyć

niepokój. Tom Bergins był idealnym miejscem, by się zatracić na kilka godzin i pogadać o niczym. Stare, mahoniowe ściany pokrywały koniczynki i pamiątki minionych dni oraz tych, w których nadal żyłam. Mogłam się umościć w zielonym, skórzanym boksie albo usiąść przy barze i rzeźbić swoje inicjały w miękkim drewnie. Nie było tam żadnych okien mogących wpuścić światło. Ani jednej rzeczy mogącej obnażyć czyjąś duszę. Była to jaskinia dla mięsożernych stworzeń potrzebujących schronienia. Z każdą minutą bliżej sobotniej nocy na Bramce zrzucalam z siebie minione chwile i godziny, jak pies strzeżący wodę z grzbietu. Bez wysiłku, niemal z pamięci, uzbroiłam się w moją nową, grubą skórę i przygotowałam się do zakończenia pierwszego tygodnia na Bramce.

W KLUBIE, MELROSE AVENUE

TOBI

(rozmawia z ochroną)

Musimy sobie dzisiaj wcześniej poradzić z tym gównem. Będzie podwójny przemiał, każdy dupek w tym mieście chciałby wejść. Wszystkie rezerwacje muszą wejść do dziewiątej; jeśli się spóźnią ponad piętnaście minut, pieprzcie to, nie wpuszczajcie ich. Mam zamiar zacząć kolejkę do Bramki wcześniej, więc odciągajcie mi ich sprzed nosa natychmiast i trzymajcie o jakieś trzy stopy ode mnie. Obserwujcie ulicę, czy nie ma glin, i dajcie znać Dexterowi przez krótkofalówkę, jeśli jakichś zobaczycie. Wyjmijcie drugi zestaw klikerów z sejfu, skasujcie i dajcie za Bramkę. Wezwijcie parkowaczy na Bramkę jeszcze

przed otwarciem, chcę z nimi pogadać. Jeśli zauważycie samochód, o który mi chodzi, kiwnijcie głową, zobaczą go. Otwierajcie Bramkę tylko wtedy, gdy wam powiem, a jeśli zobaczycie dziś Willa, nie wystraszcicie go jak wczoraj, niech sobie będzie. Jest niegroźny. Billy i Daniel – wy będziecie ze mną na zewnątrz. Steve – ty jako wsparcie, ale w środku przy barze. Dexter – będziemy w kontakcie przez krótkofalówkę, od jedenastej wzywamy stanowiska. Dobra, dzieciaki, dajemy czadu.

BRAMKA

TOBI

Ile my tu mamy?

KLUBOWICZ

Nas jest trójka.

TOBI

Nie dam rady trojga. (do następnych) Ile was jest?

KLUBOWICZ 2

Dwoje.

TOBI

Jesteście na liście?

KLUBOWICZ 2

Nie.

TOBI

Nie da rady dzisiaj, jeśli nie ma was na liście.

KLUBOWICZ 2

A gdybyśmy weszli pojedynczo?

TOBI

Nie da rady, jeśli nie ma was na liście.

KLUBOWICZ 2

No wiem, a gdybyśmy zaczekali?

TOBI

Możesz czekać całą noc, koleś, ale nie mogę cię wpuścić, jeśli nie ma cię na liście.
(do następnego) Ile u was?

KLUBOWICZ 3

To, co widać.

TOBI

Idzie Sean i Harry Dean, wpuście ich... Hej, kochanie, wejdź... W porządku, a u ciebie...? Jak film? Świetnie, grasz dzisiaj w The Mint, Harry? Brzmi nieźle... Dobra, dziewczyny, dalej, wchodźcie... Powiedziałam ci, koleś, nie da rady, musisz zadzwonić w ciągu dnia i zarezerwować stół.

KLUBOWICZ 2

Zarezerwować stół na kolację?

TOBI

Tak, zarezerwować stół na kolację.

KLUBOWICZ 2

Ale te dziewczyny nie przysły na kolację, a je wpuściłaś.

TOBI

Impreza zamknięta.

KLUBOWICZ 2

Impreza zamknięta? Macie imprezę zamkniętą?

TOBI

Tak.

KLUBOWICZ 2

Chcesz mi powiedzieć, że jeśli będę tu tak stał przez całą noc, to każdy, kogo zobaczę przechodzącego przez bramkę ma rezerwację albo wejście na prywatną imprezę?

TOBI

Zgadza się.

KLUBOWICZ 2

Co za pierdolone bzdury!

Na te słowa czekali Billy i Daniel. Znak, by zrobić krok przede mnie i uciszyć go, tak by reszta tłumu nie usłyszała już ani słowa. Chodziło o to, że jeśli osoba próbująca wejść, została na początku odrzucona, nie miała już potem żadnej szansy na wejście po tym, jak decyzja została podjęta. Wiedzieliśmy jednak, że będą walczyć. Tak naprawdę liczyła się kontrola nad tym co się mówi i wycucie, kiedy należało przestać. No wiecie,

mogłam starać się ich przekonać, że nie wejdą, ale słowami nie zdołałabym ich przegonić po tym, jak już wystarczająco rozwścieczeni czekali i obserwowali selekcję. Kiedy więc dostawałam znak, że osoba ta nie ma zamiaru odejść, przestawałam mówić, robiłam krok w tył i zamykałam Bramkę, co powodowało, że tłum zwracał się w stronę kolesia robiącego problemy, a on przez wstyd i poczucie winy w końcu się poddawał. Mogłam wtedy wrócić do gry i szybko wpuścić pięć czy sześć osób, żeby udowodnić, że nie takiego się na Bramce nie dzieje, i że klub jest naprawdę otwarty dla wszystkich. Jednak ludzie, których wybierałam, i tak byli na liście, kazałam im czekać zaledwie kilka sekund, ucząc ich cierpliwości i przypominając, że nawet figurowanie na liście nie gwarantowało wejścia do środka. No wiecie, zawsze będą ludzie, którzy chcieliby się dopchać do gwiazd filmu. Osobiście ich lubiłam. Dzięki nim jeden aktor nie czuł się ważniejszy od drugiego i mogłam wpuścić wszystkich, jeśli był dobry wieczór, nie czując się zobligowana, by przedłożyć jedno ego nad drugie. Musiałam zapomnieć o regułach życia i wszelkich manierach, bo nie miały one żadnego zastosowania na Bramce. Wciąż szukałam nowych sposobów, by ulepszyć tę sztukę, nabrać biegłości, skrócić cios, kontrolować kolejkę, wyplenić błędy, trzymać potrzebne mi miejsce i zarabiać w tym samym czasie.

I nagle całe to szaleństwo cichnie. Wpuściłam ostatnią osobę. Przede mną tylko przestrzeń, do zamknięcia zostały mi dwie samotne godziny na Bramce. Czas podróżyć, czas, by pomyśleć, posłuchać dźwięków ulicy. Przez Bramkę słyszysz dudnienie muzyki, które mnie uspokaja. Chłopaki sobie chodzą, gadają, rozmyślają, jedzą, pałają. Ja milczę. Słucham Billy'ego i Daniela, i obserwuję ulicę, wypatrując glin i strażaków. Słucham Dextera przez krótkofalówkę. Właściciele wychodzą,

żeby pogratulować mi udanego wieczoru. Kręcą się przez chwilę na Bramce. Stali bywalcy wychodzą na papierosa i żeby mnie odwiedzić, całują mnie w tyłek, żeby zachować miejsce na liście, parkowacze siadają, czekają, liczą kluczyki, kuchnia wydaje jedzenie, bar wydaje lufki, pałę i czekam na pojawienie się Willa. Dziś mam dostać wypłatę, pamiętam o tym. Patrząc, jak Billy rozmawia przy pomocy rąk, słyszę jego akcent z Long Island i widzę jego rozbiegany wzrok. Wczesne Golden Gloves jeszcze w Long Island, rozmawia z Danielem, który tylko śmieje się i uderza o siebie dłońmi w skórzanych rękawiczkach za każdym razem, gdy Billy mówi o czymś, co przypomina Danielowi czasy, gdy walczył. Uwielbiałam patrzeć na ten taniec słów, widziałam każdy opisywany przez nich moment dzieciństwa. Widziałam język ich ciała w chwilach ekscytacji, odkrywanej we własnej opowieści, na pewno opowiedanej już setki razy. Ale jeśli nawet ją wyolbrzymiali, upiększali i dodawali coś do niej, zawsze dawało im to szansę, by przypomnieć sobie główny powód, dla którego przyjechali do Los Angeles. Marzenia. Ja w tych opowieściach słyszałam jedynie nutkę żalu, zastanowienie, czy to wszystko było tego warte. Taka chwila refleksji, czy porzucenie tego piękna, rodziny, domu, aby gonić za snem, było warte tych wszystkich godzin spędzonych na Bramce.

* * *

Skończył się mój pierwszy tydzień pracy na Bramce. Sprawdziłam się. Dalej będę już samodzielna. Steven przekazał mi Bramkę; już nie będzie za nią stał, obserwował mnie i uczył. Teraz musiałam już samodzielnie podejmować wszelkie decyzje, kiedy, kogo i ile osób

wpuścić, jak dobrać tłum, kiedy zamknąć Bramkę, byłam odpowiedzialna za każdą chwilę, która mijala między Bramką a wnętrzem klubu. W ciągu zaledwie jednego tygodnia sytuacja klubu zmieniła się radykalnie: od braku kolejki do trzystu osób czekających godzinami, by dostać się do środka. Zrobiłam to. Ale tym samym sprzedałam się. W końcu jaka istota ludzka ma prawo segregować ludzi wedle rasy, religii, kariery, poglądów, płci, ubrań czy setek innych cech, które składały się w mojej głowie na ocenę twojej osoby? Ale to są właśnie te twarde myśli, sprawy, nad którymi właściwie nie powinno się zastanawiać, a po prostu wykonywać. Wymagania stawiane przez pracę. Tak to sobie usiłujesz tłumaczyć, tak to racjonalizujesz: to twoja praca. Odrzucasz tylko wzrok, gdy robi się zbyt kiepsko, albo gdy jesteś zbulwersowany korupcją. To twoja praca. Kropka. Wszyscy o tym wiedzą. Każdy odwraca wzrok. Chłopaki, właściciele, barmani, każdy, kto ma coś wspólnego z klubem i wkręca się w sam środek, wie o tym. Najgorsi byli właściciele. Wiedziałam, czego chcą. Żadnych Arabusów, paru czarnych, spokojnie z eurośmieciem, trochę dzieciaków, żadnych brzydkich dziewczyn, i tak dalej. O ironio, pomyślałam, konstatując, że większość właścicieli klubów była Żydami.

Wtedy zobaczyłam przed oczyma ojca, ćwiczącego przed lustrem miny i odpowiedni handlowy ton głosu, przed wyruszeniem w kolejną samotną drogę przez Kansas, by sprzedać komuś piasek na pustyni.

TATA

Jeśli umiesz handlować, mała, to sprzedasz wszystko, tak jak twój tatuś.

Brał wtedy piankę do golenia i, śmiejąc się, robił mi z niej czapeczkę na głowie.

TATA

Pamiętaj, dziecko, rób dobrą robotę niezależnie od tego, co sprzedajesz, a zawsze będziesz mile widziana w następnym miasteczku.

Kiedy tak wpatrywałam się w niego, mając piankę na głowie, a na sobie różową koszulkę nocną z serii Barbie, brzmienie tych słów zapadło głęboko w moją pamięć i do dziś w niej tkwi. Teraz przywoływałam je, aby pomogły mi przebrnąć przez to wszystko, musiałam naprawdę uwierzyć, że ja po prostu sprzedaję ten klub, że wykonuję sumiennie pracę i jedynie usiłuję zapuścić korzenie w kolejnym mieście, próbując znaleźć swoją historię.

STEVEN

Tobs, odwaliaś kawał dobrej roboty w tym tygodniu, zaraz dostaniesz swoją kopertę, razem z resztą chłopaków. Do zobaczenia w środę, życzę ci miłego weekendu, nie martw się tą bójką na Bramce, zajmiemy się tamtym kolesiem, już się tu nie pojawi, obiecuje.

Gdy tylko znalazłam się sama w samochodzie, z miejsca przeliczyłam gotówkę w kopercie. Czteryście dolarów. Wszystko się zgadzało – cztery noce po sto doliców, każdy cal mojej duszy, by spłacić możliwość pozostania w tym przygnębiającym, suchym, jasnym mieście. Rozpieprzała mi mózg świadomość, jak bardzo stałam się zdesperowana i uzależniona od przyjemności poświęcania się. Jadąc do domu ledwo byłam w stanie prowadzić i niemal zgubiłam się na drodze, którą jechałam już przecież tysiące razy.

NARRATOR

Chyba zaczynam mówić do siebie... Dlaczego wciąż gadam do siebie? Do kogo mówię? W końcu znam tę trasę... znam każdy jej zakręt... każdy łuk. Jechałam przecież przez ten kanion tysiące razy... Ciekawe, ile tak naprawdę... policzymy... lata spędzone w L.A. razy dni, razy przeciętną liczbę przejazdów w tę i z powrotem przez Laurel Canyon; cokolwiek, by móc nadal prowadzić i zapomnieć o ostatnich ośmiu godzinach. Właśnie przypomniało mi się, że chyba widziałam dziś Carolyn... o kurwa... ciekawe, co jej powiedziałam... ciekawe, co powiedziałam komukolwiek. Zaparkować i skręcić koła w stronę krawężnika, aby nie wlepili mi mandatu. Zabrać czapkę... nie, pierdołę... zrobię to rano. Umyć twarz... dobra, to mogę zrobić... założę spodnie od piżamy, bluzę i skarpetki... włączę ogrzewanie... naleję wody i postawię przy łóżku. O mój Boże, jestem tak cholernie zmęczona... przekreślić się i wyłączyć światło... OK. Cisza. Tylko pojękiwanie świerszczy.

Nadal czuję się zmarnięta po minionej nocy, wciąż zmęczona, tyle prettekstów dała mi ta ostatnia noc, by nie ruszyć się z łóżka. W takich chwilach zastanawiałam się często, jak udało mi się przebrnąć przez kolejny dzień. Umierałam z potrzeby miłości, byłam rozchwiana emocjonalnie, słaba i jednocześnie nakręcona.

Wstając, poczułam ostry ból w ramieniu, który rzucił mną do przodu i wy dobył jęk wyczerpania. Stanie przez całą noc na Bramce w tych wszystkich warstwach ciuchów, w ciepłej bieliźnie i skórze, z krótkofalówką,

zbierało teraz swoje żniwo. Idąc do łazienki, znów poczułam ukłucie bólu w ramieniu, zrobiłam pauzę, by złapać oddech, i przed oczyma stanęła mi scena bójk. Kolejny krok, odpędzić tę nękającą wizję, to tylko ból, pomyślałam, próbując się wyciszyć, tylko ból. Wiedziałam, że początki będą trudne, ale pocieszałam się, że po prostu muszę do tego przywyknąć, odnaleźć właściwy rytm. Najtrudniej było przyzwyczaić się do poranków. Pomyślałam, że z czasem się jakoś zaadaptuję. Wydawało mi się, że mogę oszukać ból i go zignorować. Słyszałam słowa ojca: „Rób dobrą robotę. Cokolwiek będziesz robiła na tym świecie, nieważne, co robisz, ważne, abyś robiła to dobrze. Niech inni mogą na tobie polegać, pokaż się, miej pozytywne nastawienie, wykonuj dobrze swoją pracę”. Głośne gruchanie gołębi skierowało moje myśli w stronę niedzielnego poranka.

Wiedziałam, że nie będzie mi łatwo znaleźć miejsce, aby spokojnie zjeść śniadanie i nie wpaść na kogoś z poprzedniego wieczoru, kogo nie wpuściłam do klubu. To było zawsze jak wrzód na dupie, gdy, podnosząc filiżankę do ust, czy wgrzyzając się w bajgla, kątem oka dostrzegałam nagle kogoś z nich. Aha, mówiłam sobie wtedy, to ktoś, komu ostatniej nocy powiedziałam „nie”. Modliłam się, by nie rozpoznali mnie bez czapki i okularów, które zawsze zakładałam na Bramce. Kiedy mnie ktoś nakrył, zazwyczaj słyszałam tylko krótkie słowo „dziwka”, rzucone w moją stronę po drodze do wyjścia. Wpadanie na tych ludzi było ryzykiem zawodowym, a unikanie ich stało się kolejną specjalnością, w której musiałam dojść do perfekcji. To była jedna z tych rzeczy, które naprawdę lubiłam w tej pracy. Ukrywanie się. Przychodziło mi to naturalnie. Znalazłam dla siebie idealne zajęcie. Lekcje udawania wyniesione z przedmieścia i z country clubów miały mi właśnie zaprezentować.

Wybrałam Malibu, jak w każdy niedzielny poranek. Zawsze mnie wtedy pociągała myśl o wypadzie z Los Angeles i zapatrzeniu się w morski krajobraz. Pojechałam drogą 101 ze Studio City i wyjechałam na Malibu Canyon. Uwielbiałam tę drogę, gdzie mijało się owce i krowy na polach, i sunąc w stronę zamglonych wzgórz, przejeżdżało się przez tunel i dalej w stronę oceanu. Ubóstwiałam zimową plażę. Była taka spokojna i kojąca. Zatrzymałam się w moim ulubionym miejscu, w Zuma, zaparkowałam, wysiadłam z samochodu i podeszłam do oceanu, by wsłuchać się w cichą poezję fal. Odczuwałam palącą potrzebę modlitwy, doznania ulgi wybaczenia sobie przeszłości. Ale wciąż nie byłam w stanie. Mogłam tylko wpatrywać się w ocean, czując bryzę na twarzy. Nachodziło mnie w tych chwilach łagodne ukojenie, wtulona w czarny golf, w grubej, wełnianej kurtce marynarskiej i brudnych, wyblakłych dżinsach, bosa. Wiedziałam koniec mojej męki. Wydawało mi się, jakby ocean obiecywał mi, że ten ból wkrótce się skończy, a ja mu wierzyłam. Ufałam oceanowi.

Jedyną rzeczą, jaką miałam w głowie po południu, gdy wracałam do domu do Valley i czekałam na nadejście wieczoru, była decyzja, gdzie spędzę niedzielą noc. Zwykle wpadałam na ten sam pomysł, co tydzień wcześniej. Kluby ze striptizem. Ubóstwiałam je, dosłownie je ubóstwiałam. Były dla mnie idealnym miejscem, gdzie mogłam spędzać noce wolne od pracy. Chciałam jednego, żeby mnie zostawiono w spokoju, a tam było to możliwe. Nie znosiłam, gdy ktoś próbował mnie poderwać, jeśli nie byłam w nastroju, kluby te były więc doskonałe. Po prostu musiałam wyjść. Musiałam być na nogach, trzymać się planu dnia, trzymać się godziny. Potrzebowałam zrozumieć pewne sprawy. Zrozumieć samotność i stworzoną przeze mnie barierę odosobnienia.

poza którą żyłam. Tamte dziewczyny też to miały. Podobnie jak ja. To spojrzenie „nie dotykaj”, przekaz „trzymaj się z daleka”, „możesz tylko popatrzeć”. To mnie pociągało. Znalazłam miejsce, w którym wszyscy czuli się tak jak ja. Chciałam tylko patrzeć, jak tańczą, poruszają się, nęcą i kuszą, uśmiechają się, puszczają oczko, wiją się w rytmie. Tego właśnie chciałam. Chciałam pochwycić jedno z tych spojrzeń, spojrzeń mówiących: „To tylko praca, tylko taniec, próbuję spłacić swoje rachunki, próbuję utrzymać się na nogach”. Lubiłam te dziewczyny. Wydawały mi się piękne i proste. Bezpośrednie. Dostawałeś tyle, ile mogłeś zobaczyć. To był mój spokój. Kluby ze striptizem. Im głośniejszy był klub, tym cichszy stawał się dla mnie. Biała cisza. Milczący cel, który mnie ogłuszał, niezależnie od wszystkich i wszystkiego, pozwalając mi przebrnąć przez kolejny samotny niedzielny wieczór.

New York, New York

Na początku lat czterdziestych Hotel Blackstone był pierwszym przystankiem niezamężnych młodych kobiet, przybywających do Nowego Jorku w pogoni za karierą w modzie. Kiepskie zarządzanie przez lata oraz zaniedbania doprowadziły ten hotel do ruiny, aż w końcu stał się tygłem niespełnionych snów i nieprzeżytych doznań. Większość tych marzeń nadal należała do świata kobiet, poza tym, że hotel służył teraz nowym modelkom, dopiero co przybyłym z całego świata. Dawniej, gdy leżałam na łóżku, wiele razy planowałam swój pierwszy dzień w wielkim mieście, próbowałam sobie wyobrazić, jak może wyglądać nowojorski hotel. Wyobrażałam też sobie, jak wysiadam na lotnisku JFK i po raz pierwszy łapię taksówkę. Powtarzałam sobie wielokrotnie w pamięci adres hotelu, za każdym razem starając się nie poprzestawiać cyfr, żeby nie zobaczyć 57 Ulicy jako 75, czy 312 jako 132. Odepchnęłam myśl o dysleksji. Nie mogłam też dopuścić do możliwości ataku paniki albo pomylenia numerów, mimo że je sobie zapisałam. Za nic nie chciałam pokazać taksówkarzowi tego skrawka papieru. Nie moge, nie pokażę, nie zdradzę nikomu swojego małego sekretu, a już na pewno nie w Nowym Jorku. Trudno. Będę ćwiczyć przez całą noc, jeśli tak trzeba. Odtwarzałam numery w myślach tam i z powrotem. Nie spieprzę tego. Dostanę się tam. Zrobię to i bez tego kawałka papieru. Zapamiętam... Boże, proszę, pomóż mi zapamiętać.

Nie chciałam w żaden sposób okazać ni cienia słabości czy dezorientacji, kiedy już wsiądę do tej wysnionej taksówki. Chciałam, żeby taksówkarz mógł myśleć, że

byłam w Nowym Jorku tysiące razy i w żaden sposób nie uda mu się mnie naciągnąć. Ze wszystkich rzeczy, jakie słyszałam na temat Nowego Jorku, w głowie utkwiły mi właśnie opowieści o szalonych taksówkarzach i rzeczach, jakich nie należy robić w taksówce. „Nie wyglądaj przez okno i nie przyglądaj się wieżowcom. Pomyśl, że jesteś turystką”. „Nigdy nie pozwól taksówkarzowi pojechać żadną starą trasą. Powiedz mu, jak ma tam dojechać, inaczej pomyśli, że jesteś turystką”. „Zawsze miej przy sobie banknoty o nominałach poniżej dwudziestu dolarów, bo nie wypuszczą cię z taksówki, jeśli nie dasz równo. Co więcej, zatrzymają twój bagaż”.

Zapamiętałam to wszystko jako przestrożę z ust swojej kierowniczkii sklepu w centrum handlowym, która była raz w Nowym Jorku na wycieczce po zakupy, będącej nagrodą dla najlepszego sprzedawcy stanu. Dostałam więc do wniosku, że musiała się nieźle orientować w samej metropolii i znać wszystkie jej detale. Po tym, jak wyobraziłam sobie własny udany przyjazd do tego miasta, próbowałam zwizualizować również i hotel. Widziałam już wiele nowojorskich hoteli na filmach i w telewizji, ale nie bardzo wiedziałam, jak mógłby wyglądać taki przybytek z całą gromadą kobiet. Większość hoteli, które widziałam, była raczej męska i dystygowana, z charakterem, nastrojowa, trudno mi więc było sobie wyobrazić ich wersję kobiecą. Z jakiejś przyczyny uważałam, że hotel zamieszkały przez kobiety byłby pomalowany z zewnątrz na różowo, czy coś w tym rodzaju, wyposażony w pastelowe meble o kwiecistych obiciach i ze świeżymi kwiatami, witającymi cię u drzwi wraz z kilkoma uprzejmymi bojami, którzy odprowadzają panie do ich pokoi i wnoszą także ich bagaż.

Nadszedł w końcu termin mojego wyjazdu. Był gorący dzień czerwca 1984 roku. Wszystkie moje oszczędności

zostały wymienione na czeki podróżne i kilkaset dolarów w banknotach o niskim nominale. Torby były spakowane, a bilet leżał na toalecie wraz z karteczką z adresem hotelu i nazwiskiem kobiety, o którą miałam zapytać po przyjeździe. Jedyną rzecz w bagażu podręcznym było moje portfolio z napisem „Elite”.

Dotarłam do hotelu wycieńczona po locie i walce, jaką musiałam stoczyć na lotnisku, by złapać swoją pierwszą taksówkę. Było jakieś dziewięćdziesiąt stopni i moje jesienne ciuszki zadebiutowały przedwcześnie, nie mówiąc o tym, że buty, które oszczędzałam przez całą wiosnę, obcierały mi teraz stopy. Taksówka mknęła Madison Avenue, a ja liczyłam mijane ulice. W końcu minęliśmy 57 Ulicę i dotarliśmy do 58, żeby zrobić pętlę do Park Avenue, i z powrotem na 57 do Hotelu Blackstone. Taksówka podjechała do krawężnika i zatrzymała się, kierowca wyłączył licznik i otworzył kufer.

TAKSÓWKARZ

Jesteśmy na miejscu, proszę pani. Hotel Blackstone.

TOBI

Dziękuję. Ile jestem winna?

TAKSÓWKARZ

Powiedzmy, trzydzieści dolarów plus napiwek.

TOBI

W porządku, jeszcze raz dziękuję.

TAKSÓWKARZ

Powodzenia, proszę pani.

Hotel nie był różowy, i z tego, co widziałam, nie było również żadnych młodych mężczyzn w strojach bojów. Wyglądało na to, jakby w ogóle nikogo nie było. Gdzie się podziały drzwi obrotowe, tyle razy oglądane na tych wszystkich filmach? Gdzie był czerwony chodnik prowadzący do drzwi, jak ten na zdjęciu u Ritz-Carltona? A gdzie znak firmowy hotelu? Skąd te wszystkie rusztowania ciągnące się wzdłuż budynku? Byłam zdezorientowana. Wcale mi to nie wyglądało na właściwe miejsce, a już na pewno nie na takie, w którym mogłaby się zatrzymać modelka z agencji „Elite”. Wpadłam w panikę. Musiała zająć jakaś pomyłka. To na pewno jest inny Hotel Blackstone. Na pewno są dwa. Przyjechałam do niewłaściwego. Wejdę tylko do środka, znajdę recepcję i zapytam, czy mogę skorzystać z telefonu.

TOBI

Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z telefonu? Chyba znalazłam się w niewłaściwym hotelu.

RECEPCJONISTA

A jakiego hotelu pani szuka?

TOBI

Szukam Hotelu Blackstone. Tego dla modelek.

RECEPCJONISTA

Cóż, jest pani we właściwym miejscu, w czym mogę pani pomóc?

TOBI

Nie, przepraszam, ale pan nie rozumie, jestem modelką z agencji Elite.

RECEPCJONISTA

Tak, no cóż, jak większość dziewczyn tutaj. Kogo pani szuka?

TOBI

Mam zapytać o pannę Edith.

RECEPCJONISTA

Przykro mi, panna Edith już tu nie pracuje. Wczoraj był jej ostatni dzień.

TOBI

Jak to – wczoraj był jej ostatni dzień? Mam rezerwację na swoje nazwisko i jej imię podano mi jako kontakt.

RECEPCJONISTA

Przykro mi, panienko, ale nie mogę pani pomóc, mamy komplet gości.

TOBI

Chwileczkę, mam rezerwację u Edith od dwóch miesięcy i wysłałam depozyt. Czy mógłby pan może sprawdzić w książce rezerwacji?

RECEPCJONISTA

Nie mamy żadnej książki rezerwacji, panienko, ale proszę usiąść i poczekać w hallu, zobaczę, co się da zrobić.

TOBI

Dziękuję.

Pociągnęłam torby w jakieś miejsce, które wydawało się hallem. Niechętnie usiadłam i czekałam. Nie miałam zamiaru wracać do domu do Kansas, nie ma mowy, niezależnie od tego, gdzie miałabym się zatrzymać. Dotarłam aż tu, i nieważne, jak długo starzec z recepcji każe mi czekać, zaczekam. Tęskniłam za psem, który został w domu. Chciało mi się płakać, byłam zmęczona, ale postanowiłam to przewalczyć. Chciałam zdusić każdą negatywną myśl, jaka pojawiała mi się w głowie. Chciałam oszukać głód, który męczył mój żołądek. Musiało mi się udać w Nowym Jorku. Przytłoczona ciężarem marzeń opadłam na fotel. Milczące wpatrywanie się w matową szybę recepcji stało się tem dla wizji tańczących w mojej głowie.

Jeśli zadzwonię do domu, co powiem? Jeśli zostawię torby, żeby pójść do telefonu, to czy je stracę? Nie mogę wstać. Czyżbym już zaczynała przegrywać? Czy właśnie tak to jest? A więc przegrywam? O nie, nie mogę przegrać, muszę zwyciężyć. Muszę być czujna. Muszę przetrwać. Usiłowałam przewidzieć swój następny krok, jeśli recepcjonista przyniesie mi złe wieści, ale nic jakoś nie przychodziło mi do głowy. Policzyc pieniądze. Znalazłam plastikowy futerał American Express z czekami podróżnymi, policzyłam banknoty studolarowe, jeden po drugim, upewniając się, że się nie posklejały. Wszystko było na miejscu. Wszystko, co miałam w tym obcym mieście. Żadnych przyjaciół. Nikogo, do kogo mogłabym zadzwonić. Nikogo, z kim mogłabym się zobaczyć. Tylko pieniądze. Czemu to, do cholery, aż tyle trwa?

W czasie gdy czekałam na krzesło, widziałam wchodzący i wychodzący Nowy Jork. Zobaczyłam swoich nowych sąsiadów i niechcianych gości, wyprowadzanych z budynku i wypychanych na ulicę, gońców z portfolio, wpadających i wypadających z hotelu, wskakujących na

rowery i odjeżdżających szybko Madison Avenue. Zobaczyłam samo życie. I po raz pierwszy też chciałam je przeżywać. Chciałam go w całości: brudnych ulic, hałasu, trąbiących taksówek, migających świateł ulicy. Chciałam unieść się jak para z osłony chłodnicy kolejki metra. Zakochałam się w Nowym Jorku, zanim jeszcze do niego dotarłam, i nie miałam teraz zamiaru wyjechać. Nie spuszczałam wzroku z recepcjonisty, bo wiedziałam, że jeden z tych telefonów będzie do mnie. Tylko tyle potrzebowałam. Żeby ten telefon zadzwonił. Potrzebowałam pokoju. *Dalej, złotko, odbierz ten pieprzony telefon. O tak, powiedz, że to do mnie, powiedz, że mam pokój. Powiedz, że mam dziś wyrko. Kurwa, no dalej... odbierz ten telefon. Nie uda mi się, może mi się nie udać. Nie myślę jasno. Muszę coś zrobić. Nie mogę tu tak czekać, nie mogę już tego znieść.*

I cisza. Słyszałam tylko ciszę. Hałas zniknął. Przechodzień w hallu szedł w zwolnionym tempie. Guzik windy zaświecił się, wskazując strzałkę w dół. Kółeczka wózka pokojówki kręciły się bez pisku. Ulica przed budynkiem znieruchomiła. Gdzie się podział głód? *Znajdź głód, Tobi, nie rób tego, nie zamykaj się, nie rezygnuj, zostań tu, zostań w grze, obudź się, nie odchodź, wróć, już dobrze, nic cię tu nie może zranić, nikt się nie dowie, szukaj światła, idź w stronę światła, znajdź światło i oddychaj, po prostu oddychaj, nie zamykaj się teraz, dalej, przelamiesz to. Uda ci się, no dalej, walcz, nie przewracaj się, zwalcz to. Znajdź światło. Wyjdź z pudełka. O tak, mów do siebie i wydobądź się z pudełka, jesteś w hotelowym hallu, poczuj przeciąg, gdy drzwi się otwierają i zamykają, poczuj pod dłońią tkaninę fotela, no dalej, wróć, poszukaj jakiegoś poruszającego się przedmiotu i skup się na nim, poruszaj*

się wraz z tym przedmiotem, dalej, wyjdź, poszukaj jakichś dźwięków, znajdź jakiś, niech zabrzmie, dalej, wyjdź z pudełka, znajdź bezpieczne miejsce, gdzie będziesz mogła wyjść, o właśnie, zobaczysz, uda ci się. Właśnie tak. Wyjdź...

RECEPCJONISTA

Jest dostawka na ósmym piętrze w dwupokojowym apartamencie z sześcioma dziewczynami. Obawiam się, że nic więcej nie uda mi się zrobić. Oczywiście, dopóki któraś z dziewcząt nie zwolni miejsca, ma pani jedynie kanapę, potrzebna szybka decyzja. Nie mogę obniżyć ceny, bo ostatnio naprawdę dają mi w kość przy tych nowych zasadach i regulacjach dla niepełnosprawnych, pani rozumie, więc jak będzie, panienko?

TOBI

Biorę. Gdzie to jest?

RECEPCJONISTA

Ósme piętro, apartament 802. Proszę pytać o Diane. Czekam na panią. A, panienko, ta winda nie działa od tygodni z racji robót budowlanych. Będzie pani musiała pójść schodami. Zaraz za recepcją po prawej stronie pod tabliczką „wyjście”. Pomógłbym pani z bagażem, ale łamię mnie w krzyżu i boję się, że zaraz dostanę zawału. Może jedna z dziewczyn pani pomoże. Tu jest rachunek za pokój opłacony na tydzień. Będzie mi pani płacić w przyszłości w każdy piątek, jeśli się pani zdecyduje tu zostać. Powodzenia, panienko.

Schody wydawały się odległe o milion mil od miejsca w hallu obok fotela, gdzie zostawiłam torby, a osiem pięter schodów stanowiło wspinaczkę nie do pokonania. Ale tylko tyle miałam już teraz do zrobienia, ostatnie parcie i będę miała kanapę. Ta kanapa brzmiała w tym momencie lepiej, niż wszystkie skarby tego świata, a jedyne, co musiałam zrobić, żeby ją dostać, do wejść po schodach. Kiedy tak wciągałam torby na kolejne piętra, pogrążałam się coraz głębiej w marzeniach. Każde piętro symbolizowało krok bliżej celu. Na górę do kanapy. Myślałam teraz o najprostszych rzeczach. Potrzebowałam snu. Potrzebowałam jedzenia. Potrzebowałam się wysiusiać. W końcu udało mi się dotrzeć na ósme piętro, okupione rzęsistymi łzami. Chciałam tylko mojej kanapy.

NARRATOR

Śnię. Biegę zdyszana Madison Avenue, czuję, jak opływa mnie nocne nowojorskie powietrze, kusi mnie, gra dla mnie. Biegę. Biegę szybciej, by złapać nocne powietrze w płuca i jeszcze szybciej, by zaspokoić głód i potrzebę pokonania go. Chcę mieć w sobie cały Manhattan. Chcę, by mój puls oddawał rytm tego miasta. Biegę od przecznic do przecznic, oznaczając dystans stoiskami z owocami i pizzeriami, wyobrażając sobie moje marzenie: top modelka, moja twarz na okładkach magazynów całego świata, agenci biją się o mnie, zabierając na obiady i imprezki, pieją nade mną z zachwytem jak nad swoim nowym puchatym kaczątkiem, przejażdżki limuzynami, czerwone dywany, błyski fleszy, fantastyczne tkaniny spowijają moje ciało, sław-

ni aktorzy asystują mi. Biegnę coraz szybciej, by uwierzyć w swój sen, szybciej, by zatrzymać go przy życiu, jeszcze szybciej, by zatrzymać marzenie. Uciekam od przeszłości.

WNĘTRZE DOMKU DLA GOŚCI,
STUDIO CITY

Tobi zapisuje w dzienniku.

Zobaczyłam jego twarz ostatniej nocy na Bramce. Zawszę widzę na Bramce coś, co mi go przypomina. Widzę to w wykrzywionym uśmiechu, szuraniu bezdomnego, w zapachu wilgotnej zimowej wełnianej czapki, w brudnej podkoszulce z żółtymi plamami, w grubych dłońiach. Ale ostatniej nocy, gdy siedziałam przy barze po zamknięciu, czułam zapach Carnegie Hall. Zapach wosku na czarno-białej posadzce ponad sceną, schodów, prowadzących do jego atelier. Pamiętam jego białą podkoszulkę, kiedy otwierał drzwi. Miała napisane CLICK dużymi różowymi literami. Jego francuski akcent był leniwy, ale autentyczny, gdy się ze mną witał. Zauważyłam białe kąciki jego suchych, popękanych ust, cofniętą treść żołądka, a w powietrzu stęchłą wilgotnych ubrań. Robił zdjęcia jakiejś dziewczynie i kazał mi zacząć. Usiadłam w porannym świetle, wpadającym przez okno reklamowej wielkości i obserwowałam. Była piękna. Długie, jasnobrązowe włosy z kolorowymi pasemkami. Robił zdjęcia sponad niej, potem przesunął się ze statywem naprzeciw niej, mówiąc przez cały czas. „Ciao, bella, bellissimo”. Wymachiwał

rękoma w powietrzu, robiąc zamaszyste gesty. W końcu powiedział: „Jest pierwsza rolka” i odłożył aparaty. Patrzyłam, jak dziewczyna idzie do łazienki, żeby się przebrać. Poszedł za nią. Chciałam krzyknąć, że za nią idzie, ale ona mnie nie słyszała. Chciałam wrzeszczeć i hałasować, żeby odwróciła się i zobaczyła, jak nadchodzi, ale siedziałam na stolku w świetle, niestyszana. Widziałam, jak on wypcha się do łazienki i zamyka drzwi. Słyszałam, jak lustro rozpryskuje się, kiedy jej głowa uderza w szkło. Widziałam, jak on przewiązuje jej usta chustką i mocno zaciska. Widziałam, jak rozsuwa jej nogi. Do dziś jest tak, jakbym nigdy nie opuściła tamtego stolka. Jakbym tylko obserwowała, jakbym tak naprawdę to nie była ja.

Lapówki

Minęły trzy miesiące, zanim zorientowałam się, że nie podlewam swoich storczyków, które właśnie powinny mi zakwitnąć. Kompletnie straciłam poczucie czasu i dni tygodnia. Żyłam od środy do sobotniego wieczoru, jakby żaden z pozostałych dni nie istniał. Spędzałam poranki, dochodząc do siebie po późnych wieczorach, i wieczory, zbierając się po wczesnych porankach. Mój metabolizm przeobraził się w nocnego konsumenta, łaknącego jedynie śniadania na obiad i lunchu o dowolnej porze. Przestały mnie obchodzić błahe znajomości, które nie mieściły się w moim grafiku. Ustawiłam automatyczną sekretarkę tak, by odbierała połączenia jedynie z pierwszej linii, i zupełnie przestałam odpowiadać na te z drugiej. Darowałam sobie niedziele w Malibu, aż w końcu zapomniałam, jak pachnie słone powietrze, wyjeżdżałam jedynie wtedy, gdy miałam dość widoku chodnika i samochodów, i nie mogłam już słuchać trąbienia klaksonów. Nie przykładałam wiele uwagi do własnego życia poza okazjonalnym, długim, gorącym prysznicem i maseczką z błota, pozostałością z czasów, gdy jako modelka bardziej o siebie dbałam. Pozwoliłam włosom odrosnąć w ich ciemnym kolorze, unikając konieczności odpowiadania na pytania, czy wpadania na dziewczyny z Bramki, których nie wpuściłam.

Rozmowy telefoniczne z domem i prośbami o pieniądze stały się krótsze i zawierały mniej informacji o moim życiu, a bardziej dotyczyły pozyskania gotówki. Potrze-

bowałam całkowitego zerwania z przeszłością. Stworzyłam sobie nowe życie i nie zamierzałam go porzucić w najbliższej przyszłości. Nie chciałam, żeby ci, o których wiedziałam, że wciąż mnie kochają, zobaczyli mnie w nowej skórze; sądziłam, że lepiej będzie, jeśli od czasu do czasu wyślę im pocztówkę. Wyobrażałam sobie, że mój wyjazd będzie jakoś powiązany z oszustwami, ale przy ich obecnym poziomie nie widziałam końca zmyślonych opowieści. Odnajdywałam chwile spokoju jedynie skręcając i paląc jointy z moją przyjaciółką Stellą. Jej głęboka pogarda dla Hollywood i całego bajzlu, jaki się z nim wiązał, dawała mi oparcie.

NARRATOR

Stella była o trzydzieści lat ode mnie starsza i została moją hollywoodzką mentorką. Pomagała mi trzymać głowę do góry, kiedy mówiłam, że już dłużej nie dam rady. Potrafiła mnie przekonać, że góra piętrząca się przede mną, to zaledwie wzniesienie, a według niej we wszystkich moich wymówkach chodziło jedynie o to, że nie chce mi się dać z siebie wszystkiego. Stella była weteranką klubowego biznesu, siedziała w nim od dwudziestu lat, i jeśli ktokolwiek wiedział, z czym musiałam się zmierzyć każdego ranka po pracy na Bramce, to właśnie ona.

TOBI

Podwiozłam dziś rabina.

STELLA

Jak to, jakiego znów rabina?

TOBI

No, tak, łapał stopa na rogu Fairfax i Sunset, więc się zatrzymałam przy skrzyżowaniu, a on podbiegł do okna i spytał, czy nie podrzuciłabym go do synagogi.

STELLA

Zgarnęłaś rabina, i co dalej?

TOBI

Ruszyłam w stronę synagogi na Fairfax, a on zaczyna gadać na temat Barbary Streisand i pyta, czy ją kiedyś poznałam. Tak jakby sam fakt, że jestem Amerykanką, sprawiał, że znam Barbarę Streisand.

STELLA

No i?

TOBI

Jechaliśmy dalej, a on zaczął zadawać mi różne pytania.

STELLA

Na przykład?

TOBI

Na przykład, czy mam dzieci, czy jestem mężatką. Strasznie śmierdział, zupełnie jak stęchła grochówka, no wiesz, jak starzy ludzie, więc musiałam otworzyć okna. Ale muszę ci powiedzieć, myślę, że to był anioł.

STELLA

Dlaczego uważasz, że to był anioł? Co takiego zrobił?

TOBI

Nie chodzi o to, co zrobił, ale co przy nim czułam. Miał taki wyraźny izraelski akcent, więc ledwo go rozumiałam. Ale cały czas mamrotał: „Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko”. Potem zaczął mi opowiadać, że nie ma już żadnej rodziny, mieszka w garażu niedaleko miejsca, skąd go zabrałam, i że codziennie chodzi do synagogi, żeby pomodlić się za tych, których kochał i dostać tam darmowy lunch. Był mi tak wdzięczny, że go podwoziłam, bo nie miał na autobus.

STELLA

Ale dlaczego uważasz, że to był anioł?

TOBI

Bo w samochodzie pojawiło się nagle oślepiające światło. Takie naprawdę jasne, piękne, białe światło, i było mi tak dobrze. Trudno to wytłumaczyć, ale tak było naprawdę.

STELLA

No i co potem?

TOBI

Wysadziłam go przy synagodze i dałam mu ostatnie dwie dychy, a on spytał, czy mógłby się za mnie pomodlić. Pozwoliłam mu się za

mnie modlić, dziwne to było, bo modlił się w jidysz czy jakoś tak, i tyle.

STELLA

Zapytałaś, o co się modli?

TOBI

Tak, powiedział, że modli się, żeby Bóg pobłogosławił mnie mężem, który będzie się o mnie troszczył, dziećmi, które będę kochać, i o zdrowie do końca moich dni. Powiedział też, że poprosił Boga, żeby chronił mnie przed każdym nieszczęściem, jakie mogłoby mi się trafić, i, co najważniejsze, żeby Bóg był przy mnie każdego dnia, aż znów będę mogła z nim rozmawiać.

STELLA

Skoro tak, to musiał to być rzeczywiście anioł.

W miarę jak jesień zmierzała do zimy i zbliżały się święta, traciłam zainteresowanie rzeczami, które kiedyś coś dla mnie znaczyły. Przystałam robić zapiski w dzienniku w Farmer's Market, bo mogłabym wpaść na zbyt wiele osób z klubu. Nie szukałam już niczego w aktorstwie i przestałam czytać branżowe pisma. Moje rozmowy telefoniczne ze znajomymi skróciły się do nagrywania na sekretarkę i dopisywania ich na listę. Agenci, którzy nigdy nie odpowiadali na moje telefony, teraz dzwonili, żeby wpisać także ich nazwiska. Praca, która zaczęła się jako źródło zarobku, teraz stała się moim życiem. Bez przerwy myślałam o klubie, jak go ulepszyć, jak rozkręcić interes, jak utrzymać długą kolejkę. Stałam

się finansowo niezależna i nie musiałam już korzystać z pomocy matki; odcinając ją, mogłam uniknąć konieczności wyjaśniania, dlaczego nigdy nie odbieram telefonu i nie oddzwaniam.

Prawdę mówiąc, gównu mnie obchodzili wszyscy, którzy nie mogli mnie zrozumieć. Kiedyś myślałam, że znalazłam Bramkę, ale po fakcie okazało się, że to Bramka mnie znalazła. To, co było we mnie, teraz czaiło się na zewnątrz, w każdej decyzji, którą podejmowałam na Bramce. Byłam zimna jak ten, który mnie zgwałcił, i wściekła jak dziecko, zostawione przez ojca. Dopiero teraz byłam w pełni za siebie odpowiedzialna; praca była moim lustrem, patrząc na swoje odbicie widziałam jej efekty. Po raz pierwszy w życiu miałam władzę wyboru. To, co wybierałam – poza ludźmi przed Bramką, czekającymi na wejście – to przetrwanie. Wybierać własną drogę, podejmować decyzje bez pomocy Boga i odwrócić się od wszystkiego, co miało jakiś związek z wiarą w cokolwiek poza mną. Wybrałam wiarę w siebie, że sama mam dość sił, by zmienić w swoim życiu wszystko. I że nie ma to nic wspólnego z Bogiem.

Wtedy właśnie obrałam kierunek. W prawo była wiara. Po lewej przetrwanie. A rozbił się nigdy nie pójdzie w prawo, zawsze w lewo. Wiara to przyjęcie czegoś niewidzialnego, pozbawionego dowodu. Przetrwanie to danie sobie władzy i przyzwolenia na to, by nadawać kształt każdej chwili swego życia. Tego właśnie chciałam. Chciałam mieć kontrolę. Byłam zmęczona faktem, że wszyscy inni ją mieli. Chciałam żyć własnym życiem, nie sugerując się tym, czym według innych powinienam się stać czy co ktoś inny myślał, że powinienam zrobić. Chciałam tylko, żeby moje decyzje zostały dostrzeżone i usłyszane. Chciałam władzy... Nie chciałam oddawać jej Bogu i jego niewidzialnym ścieżkom.

Chciałam przyjąć odpowiedzialność za swoje życie i żeby zostało to uznane. Dobro i zło? Pieprzyć Boga. Gdzie się podziewał, kiedy byłam gwałconą? Gdzie jest teraz?

NARRATOR

Jedyną choinką, jaką udało mi się przecisnąć przez drzwi, była mała sosenka w czerwonym drewnianym wiaderku. Nie miałam żadnych ozdób, więc zrobiłam gwiazdę z folii aluminiowej na czubek i powiesiłam pocztówki od znajomych aktorów na gałęzkach. Ustawiłam ją w oknie, kładąc pod drzewko prezenty, które matka przysłała mi kurierską pocztą. Zapaliłam zieloną świeczkę z drogerii, przypaliłam papierosa i wyjrzałam przez okno na Valley. Większość znajomych wyjechała na wschód do Nowego Jorku albo do Palm Beach, a ja zostałam w mieście, bo klub mnie potrzebował, a nikt nie mógł mnie zastąpić. Sama dla siebie stałam się wyspą, jak nastolatka zamykająca się w pokoju, żeby pogadać przez telefon, puszczająca w kółko tę samą piosenkę.

TOBI

Podajcie mi liczby, jakie są, ile jest rezerwacji, ile mamy ludzi w środku, zamknąć bramkę, sprawdzić klikery, zamknąć je, dajcie mi drinka, nie, dajcie mi, do cholery, coś mocniejszego, wezwijcie ochronę i patrzcie na tego koleś, gdzie są moje rezerwacje, ja pierdołę...

Wigilię spędziłam z Henrym. Pierwszy dzień świąt przeplakałam. Następnego tygodnia nie pamiętam. W sylwestra pracowałam, Nowy Rok przespałam.

Do marca czas jakby nagle przestał biec. Nie było jakiegokolwiek śladu ruchu czy rozwoju, tylko stagnacja. Wymyślona przeze mnie gra w „udawanie siebie” przestała być grą. Za każdym razem gdy wkładałam czarne skórzane rękawiczki, brałam do ręki listę i wychodziłam na Bramkę, była to moja rzeczywistość. Nie musiałam już być tak czujna. Klub wyraźnie podupadał. Każdej nocy czekaliśmy na ostatnią kopertę z biura i co noc czekałam na listę ochroniarzy, którzy już nie byli potrzebni. I nikt nie był winny, że klubu nie dało się ocalić. Ostatni zaserwowany drink, ostatni powitany przeze mnie gość – to już była tylko kwestia czasu. Ciężka selekcja na Bramce, aby z trzystu osób, czekających co noc przed klubem, zejść do pięćdziesięciu, wpadających tylko na chwilę, żeby zobaczyć, czy wciąż jeszcze jesteśmy czynni. Wtedy z dnia na dzień wszystko się zmieniło. W związku z tym podjęłam decyzję, że jeśli mam zostać do samego końca, to musi to zacząć wyglądać trochę inaczej.

Nowy pomysł polegał na tym, aby rozkręcić się trochę, zanim zabrałam się do dzieła. Rozpoczęliśmy drugą fazę klubu. Stara praca stała się jakby nową pracą; delikatna zmiana kierunku z odrobiną nowości sprawiły, że wszystko zaczęło nabierać lekkich rumieńców życia. Znalazłam ulubionych barmanów i uprosiłam ich, żeby byli jak najbliższe wyjścia, bym idąc po drinka, nie musiała ocierać się o dupków, z którymi wcześniej miałam starcie na Bramce. Ci z chwilą wejścia do środka, z reguły czuli się zobowiązani powiedzieć otwarcie, co do mnie czują. Oczywiście, to gwarantowało im, że już nigdy do klubu nie wejdą, ale jakoś wcześniej nie przychodziło im to do głowy, kiedy niby żartem wbijali we mnie szpile. Nie interesowały mnie ich głupie gadki ani nie miałam zamiaru się nimi przejmować. Chciałam tylko pierdolonego drinka i miałam na to jakieś trzy sekundy, zanim zaczął

się kolejny bajzel, najbardziej więc liczyło się tempo, a jeszcze bardziej znalezienie barmana, który przyniesie mi sok. Lubiałam drinki przygotowane w specjalny sposób. Wysoka szklanka, sok z borówki, Absolut, odrobina wody gazowanej, lód. Miał być mocny. Jeśli nie poczułam od razu smaku wódki, prosiłam barmana o powtórkę.

TOBI

Polej tu, słonko, mam pięćdziesięciu pierdolonych kretynów na zewnątrz i ani jednego aktora na widoku. Nie rozkręciłabym dzisiaj tej spelunki onanistów, nawet gdybym spróbowała ją odpalić i wywiesiła szylt: ZA DARMO!

JONNIE

Racja, kochanie.

TOBI

Odpal telewizor koło jedenastej, pozbadźmy się dziś tych dupków wcześniej, rzygać mi się chce.

Po drodze też troszkę się rozkręcałam. Wpadałam do Toma Berginsa na Fairfax, pogawędziłam z Mikeym, wydając parę dorców na wódkę, żeby uspokoić ducha i ukoić demony, zanim wypuszczę je, aby się zabawiły. Potem, w drodze do klubu, zapalałam blanta i wypalałam go. Nie miałam słabej głowy. Nic z tego paranoicznego gówna, przez które przechodzą inne panienki. Mogłam wszystko wytrzymać. To był więc nowy układ, próba „wyznaczenia nowego kierunku”.

Praca do późna w nocy nie wydawała się już do tak późna; moje podejście nie było w żadnym razie pozytywne, miałam tylko nadzieję, że nie natknę się na żadną rozmowę, poza tymi, które musiałam prowadzić na Bramce; oszczędzałam struny głosowe niczym śpiewaczka operowa, nie wysilając ich w ciągu dnia i nie angażując się w blache, bezsensowne strzępki rozmów w codziennym życiu. Przestałam odbierać telefon. Znikły tży wyczerpania, spływające dawniej rankiem po twarzy. Noce zlewały się ze sobą, od miesięcy nie miałam wieści od Henry'ego i miałam tego dość. Ale w chwili, gdy zaszło słońce, i zakładałam ciemne okulary, każdy cal tego nocnego powietrza pomagał zapomnieć mi o oślepiającym świetle dnia. Każdy nowy żart, rozśmieszający mnie przez krótkofalówkę, sprawiał, że wracałam po więcej.

Gardenie zaczęły kwitnąć, nocą jaśmin wypełniał powietrze słodkim przypomnieniem nadchodzącej wiosny, a marzec nie znaczył dla mnie więcej niż kolejny miesiąc w piekle bez widocznego końca. Wraz z nowym rokiem otwarto szereg nowych klubów i zmniejszył się ruch w interesie. Przeróżający wyrok zawisł nad nami. Nasz los został przesądzony. Była to już jedynie kwestia czasu.

Wtedy zaczęłam brać łapówki. Bez skrupułów. Brałam przez całą pieprzoną noc, ile się dało. Nawijałam jak gospodarz teleturnieju. Brałam od każdego dupka, który zechciałby mi dać. Potem żądałam coraz więcej, aż dostawałam, co chciałam. Jeśli natychmiast nie wkładali mi w rękę gotówki nie wchodzili, a nie wchodzili, dopóki ja nie podałam ceny. Cena zależała od nocy. W dzień powszedni był rabat, ale piątek i sobota – zapomnij, to był otwarty sezon dla każdego frajera w mieście.

Na początku wieczoru dogadywaliśmy się co do ceny, omawialiśmy podział i ustalaliśmy sposób przekazywania gotówki. I wybieraliśmy. Dobry glina, zły glina.

Zmieniał się między sobą w roli naganiacza: „Klub jest pełny, przepraszamy, może któryś z chłopaków pomoże wam za chwilę”. Ustawiał ich, schodziłam z Bramki na moment, klubowicz czekał aż pójdę, a wtedy podchodził do jednego z chłopaków, żeby dobić targu. Czekałam za Bramką, kiedy wchodziłi, prosząc o więcej i pytając, jak się dostali do środka. To było podwójne trafienie.

Rozgrywaliśmy to wczesnym wieczorem, w miarę jak robiło się późno, zostawałam na zewnątrz i zaczynałam aukcję. Goście jeden po drugim przychodzili i mówili, że są na liście. Odpowiadałam, że nie ma ich tam i wtedy zaczynał się bieg. Odsyłałam ich, mówiąc: „nie”. Oni czekali, próbowali z tą samą historyjką i znów odpowiadałam: „nie”. Wtedy rozpoczynała się już twarda licytacja.

KLUBOWICZ

Ile to mnie będzie kosztowało?

TOBI

Nie wiem, ile masz?

KLUBOWICZ

Posłuchaj, jestem na liście, dlaczego nie pójdziesz po prostu do środka i nie sprawdzisz z właścicielami albo menedżerem?

TOBI

Ja tu jestem menedżerem i mówię, że nie ma cię na liście. Sorry!

Przechodziłam wtedy do kolejnej osoby, zostawiając ją bez możliwości powiedzenia czegoś, żeby obserwo-

wała, jak dogaduję się z następną. Postępując tak, sprawiałam, że pierwszy koleś wierzył, że traktuję wszystkich tak samo, w tym samym czasie przygotowywałam tego drugiego, żeby widział, jak pierwszy wchodzi do środka. Zostawiwszy obu z odpowiedzią: „nie”, wracałam do pierwszego i przypatrywałam mu się. Jak w zegarku, miał już pieniądze w ręce i wchodził. Potem do drugiego, spojrzenie, wyciągnięcie ręki na powitanie i do środka. Nazywaliśmy to „małpka widzi, małpka robi” i działało za każdym razem.

Byłam sama przy solistach, ludziach, którzy przychodzili na Bramkę pod koniec wieczoru z nadzieją, że tak będzie łatwiej. Z nadzieją na spuszczenie z ceny. Mimo to, szło nieźle.

TOBI

Sorry, klub dzisiaj pełny, może innym razem, koleś.

Wtedy zaczyna czać, dostaje sygnał, ale ile to jest warte? Widać to w jego oczach, jak liczy, tak jakby on decydował o cenie.

TOBI

Dobra, powiem ci, ile to jest warte, koleś, tyle, do cholery, ile ja powiem, że jest! Właśnie tyle!

Wtedy go podliczałam. Co w ogóle ma za dylemat, jaka jest stawka, ile go będzie kosztowało, jeśli nie wejdzie. Może chodzi o panienkę, kontrakt, znajomego, który już jest w klubie, musi się spotkać z kimś spoza miasta. Cokolwiek by to nie było, tak ustawiałam cenę. Dorzucić dodatkowe dziesięć procent dla równego

rachunku. Za te dziesięć procent można by kupić pizzę dla całego klubu pod koniec wieczoru. Biznes to biznes.

Odkładałam clipboard w takie wieczory, coś, czego bym nigdy nie zrobiła. W te noce rozmawiałam za pomocą dłoni, jeśli wiecie, co mam na myśli. Potrzebowałam dłoni, żeby brać. Przeważnie znali układ. Najpierw złożyły wzdłuż, potem róg do rogu, jak małą flagę, zwinąć jak najbardziej, wsunąć między palce i prosto do twojej dłoni w czasie uścisku. Łatwo i przyjemnie. Najgorsi byli ci niechlujni. Wyciągali gotówkę, machali, głośno mówili, grozili. Nienawidziłam ich, ale musiałam sobie z nimi radzić, bo nie każdy płacił. Jedno było pewne. Klub upadał, a z nim dziewczyna, którą się stałam, prowadząc przez sześć miesięcy selekcję na Bramce.

NARRATOR

Spadałam szybko i ostro, zaglądając do barów w ciągu dnia na parę drinków. Szukałam ciemności w świetle dnia. Chciałam zaćmienia. Zupełnej ciemności przez cały dzień. Światło mnie oślepiło. Raniło moje oczy. Czułam się przez nie wyeksponowana i nie mogłam przed nim uciec. Nosłam ciemne okulary od momentu przebudzenia do chwili, gdy ciemność okrywała miasto i sprawiała, że znów czułam się spokojna. Wciąż się ukrywałam, wciąż próbowałam zasłonić okna mojej duszy.

Tobi pisze w dzienniku:

Moja praca wkrótce się skończy. Czuję się oddzielona od życia. Oddzielona od Miłości. Oddzielona. Tęsknię za Henrym. Chciałabym,

żeby zadzwonił. Ciężko mi teraz, gdy nie widzę jego twarzy. Jego wizerunek jest tym, co mnie pociesza. Szepczę jego imię gdy wstaję i gdy kładę się spać. O niczym innym nie myślę, gdy jestem z dala od wariactwa Bramki. Boję się, że najgorsze stanie się prawdą pomiędzy Henrym i mną. Miotam się jak oszalata przez własne kłamstwa, które miały go trzymać z dala ode mnie. Nie chcę, żeby poznał prawdę o mnie, o Bramce. Czuję się fałszywa i podrobiona, udając siebie. I ta dohująca niepewność, czy on mnie nie zostawi, że być może będę zmuszona udawać kogoś, kim nie jestem. Okruchy prawdy i cienie kłamstw przenikają się wzajemnie. Brak snu i determinacja w osiągnięciu sukcesu, jak i w znalezieniu własnej historii, po prostu mącą mi w głowie. Po cudownych nocach spędzonych z Henrym muszę mi wystarczyć pocztówki z zagranicy i telefony z różnych stref. Czasem wydaje mi się, że straciłam go na zawsze, że nigdy już do mnie nie wróci. Pewnego dnia będę zmuszona powiedzieć mu „żegnaj”, ale nie potrafię znaleźć w sobie siły, żeby zostawić go teraz. Potrzebuję go. Wciąż go pragnę. Sporo myślałam o swoim zachowaniu na Bramce. Dlaczego jest ono u mnie tak naturalne, tak integralnie związane z moją duszą? Dlaczego noc mnie budzi? Skąd we mnie taka bezwzględność?

Ostatni dzwonek

Nadszedł w końcu ostatni wieczór na Bramce. Ostatni wieczór, kiedy mogłam zobaczyć Willa naprzeciw mnie, jękającego się i jak zwykle wymachującego rękami. Ostatni wieczór z chłopakami. Ostatni taki wieczór, kiedy udaje się kogoś innego. Nareszcie odetchnęłam, skończyłam przeżywać swoją historię. Dlaczego miałabym aż tak bardzo za tym tęsknić, zastanawiałam się, słuchając kasy z Jamesem Taylorem. Jechałam z otwartymi oknami, wpuszczającymi podmuchy chłodnego, wilgotnego, wiosennego powietrza. Byłam przemęczona i wyczerpana.

Szykowałam się na Bramkę jak zwykle. Niczego nie zmieniałam. Pomyślałam, że mogłabym na przykład założyć inną czapkę, zawsze nosiłam tę z flagą amerykańską i z logo Ralphi Laurena z tyłu, więc postanowiłam włożyć ją jeszcze raz na szczęście i przez wzgląd na dawne czasy. Czułam każdy mięsień twarzy. Miałam wrażenie, jakby cała moja zużyta energia zamieniła się w smutek. Co teraz będę robiła nocami? Nie mogłam wrócić do klubów na polowania i podboje. Ta gra się już dla mnie skończyła. Myślałam pytaniami bez odpowiedzi.

Założyłam ostatnią część swojego rynsztunku i jeszcze raz spojrzęłam na łóżko. Było idealnie zaścielone. Mieszkanie nie miało ani jednej plamki. Sprzątałam je w końcu przez cały dzień: zebrałam luźne papiery, poskładałam swetry i oddzieliłam kaszmirowe od grubych welnianych, odłożyłam ciepłą bieliznę do ciuchów narciarskich i poskładałam dzinsy. Uprałam brudne rzeczy w pralni samoobsługowej niedaleko domu i zjadłam tanią chińsz-

czynną, czekając, aż pranie wyschnie. Skoncentrowałam się jedynie na sprzątaniu. Nie chciałam myśleć o moim ostatnim wieczorze w klubie, czyściłam więc dalej każdą szafkę, każdy cal łazienki, pod łóżkiem, znów prześcieliłam łóżko, poustawiałam naczynia. Potem szybko ubrałam się w co popadło, niewykąpana po poprzedniej nocy i pojechałam do centrum handlowego. Wciąż byłam na haju, w fazie maniackalnej, czy jak się to tam, do cholery, nazywa. Oznaczało to tylko tyle, że coś miało się zmienić w moim świecie, i tak radziłam sobie jakoś ze strachem przed utratą kontroli nad sobą.

Podjechałam na parking przed centrum handlowym i postawiłam samochód. Czułam się jakaś odrętwiała. Chciałam widzieć kolory, kształty i po prostu iść. Chciałam myśleć tylko o tym, co widziałam, dokładnie o tym, co miałam przed oczami. Otworzyłam drzwi do Macy's i wzięłam oddech. Przeszłam przez dział toreb, a potem na skos do stoiska z okularami. Przymierzyłam jedne. Nie o to chodzi, pomyślałam. Nie ten kolor. Potrzebowałam szylkretowych, nie czarnych. Nie mieli takich, jakie chciałam. Przeszłam do działu makijażu. Wiłam się między alejkami jak wąż, moje oczy przenosiły się rytmicznie z kolorowych kosmetyków na reklamy i zapachy, następnie znów na kosmetyki. Podzieliłam myśli, przenosząc się z jednego stoiska na drugie, od kosmetyków do pielęgnacji skóry po szminki, skupiając się następnie tylko na idealnym kolorze podkładu. Wypróbowywałam delikatne kremy na nadgarstku. Wdychałam głęboko zapachy perfum, gdy przechodziłam obok stoisk reklamowych. Testowałam na wydętych wargach wilgotny błyszczek w opozycji do matowej pomadki. Szukałam doskonałego koloru dla ust, delikatnego, jasnego, naturalnego różu; widziałam, jak hostessy podchodzą do mnie jedna po drugiej, próbując wcisnąć mi

nowe produkty i spryskując nowymi zapachami paseczki papieru do torebki. Podchodziły do mnie jedna za drugą zewsząd, zza rogu, zza moich pleców, wprost na mnie. Odbijałam je słowami: „Nie, dziękuję” i „Może innym razem”. Wchodziły mi w drogę. Wykańczały mnie. Moje myśli, wyobrażenia, wszystko to było zakłócone, przytępiało mój zmysł sensorycznego seksu. Niezaspokojona, wciąż szukając tego, po co przyjechałam, przeszłam dalej. Chodziłam po centrum handlowym, usiłując znaleźć kontakt z otaczającą mnie rzeczywistością, próbując odnaleźć jakąś satysfakcję, szukając czegośkolwiek, co pobudziłoby mój umysł i powstrzymało narastające szaleństwo. Przechodziłam obok wystaw, chłonąc absolutnie wszystko, co oferowały w drodze wizualnej stymulacji, a każda z nich kusila mnie, aby znów odpłynąć. Mijałam je, rozpaczliwie próbując zachować dystans. Mój umysł ciągle szukał, nadal potrzebował pożywki i nie widać było końca pragnień. Kontynuowałam swoją pełną samozadowolenia przechadzkę i wpatrywałam się w tyły centrum handlowego z nadzieją na jakieś rozwiązanie, z nadzieją na drobną choćby satysfakcję. Minęłam bar salatkowy, rozważając zakończenie swoich poszukiwań zapchaniem pustki mojej duszy zarcie, ale nie zatrzymałam się, tylko szłam dalej i dalej, aż w końcu było po wszystkim. Wymęczyłam się. Odwaliłam robotę, byłam teraz wolna i mogłam wrócić do domu. Atak minął.

Gdy otwierałam drzwi do mieszkania, zadzwonił telefon. Nie odebrałam. Nie obchodziło mnie, kto dzwoni. Położyłam się na swoim idealnie pościelonym łóżku i czekałam, aż będę musiała ubrać się i wyjść do klubu.

Nie miałam pewności, kto miał tam być. Kto jeszcze został. Nie było żadnego świętowania, żadnej imprezy pożegnalnej. Ostatnie tygodnie wydawały mi się piekłem,

gdy patrzyłam, jak klub upada, a właściciele jakoś to wytrzymują. Gówno mnie obchodziło cokolwiek, poza odzyskaniem pieniędzy, które mi wisieli od tygodni, i wyjściem z Bramki po raz ostatni. Nie widziałam swojego następnego ruchu, jedynie to, co działo się naprzeciw mnie. Wzięłam swoją krótkofalówkę, clipboard i tylko dwa klikery. Jeden na wchodzących i jeden na wychodzących. Już od jakiegoś czasu nie używaliśmy zapasowych. Zatrzymałam się w Irish pubie na parę tequili zamiast swojej zwykłej wódki z sokiem z borówek i limonką. Skręciłam wielkiego jointa w samochodzie, z ziela, które podprowadziłam z zapasów moich znajomych parę dni wcześniej, i wypaliłam go na parkingu Toma Berginsa. Byłam cała rozpromieniona. I zamierzałam pozostać taka przez całą noc, podczas gdy statek szedł na dno. Miałam teraz jedynie otwierać Bramkę, coś, czego nigdy nie robiłam, kiedy zaczynałam. Nigdy nie dotknęłabym Bramki i nie wpuściła nikogo do środka bez rozmowy z nim i sprawdzenia na liście. Ale takie było moje zadanie dziś wieczorem. Po prostu otwierać pieprzoną Bramkę i wysłuchiwać zaszranych uwag wypowiedianych pod nosem, kiedy wszyscy byli odbiorcy mojego nadgorliwego dawniej zachowania mijali mnie i przechodzili przez Bramkę. Każda z mijanych twarzy wydawała się mieć ten sam wyraz: PIERDOL SIĘ, SUKO... Każdy z nich wydawał mi się na mnie wkurwiony. Żaden z gości z początków klubu nie przyszedł, aby się pożegnać; dziś przyszła tylko drużyna C, drużyna wkurwionych frajerów. Byłam przerażona i bezwolna. Zjeżdżałam z haju sprzątanania i zakupów. Nie mogłam pozbierać myśli. Próbowałam się skupić na widoku ulicznych latarni, ale nie mogłam. Nie byłam w stanie znaleźć prostej linii, która pasowałaby do cienia na ulicy. Zapadałam się. Miałam jeszcze dwie godziny do końca. Dwie pełne godziny do wypłaty.

Była już dwunasta, a Will się dotąd nie pojawił. Kiedy w inne wieczory nie pokazywał się, żeby dostać część moich napiwków na jedzenie i autobus, nie martwiłam się, bo wiedziałam, że zobaczę go następnego wieczoru, ale dziś była ostatnia szansa, by się z nim zobaczyć i dać mu swój numer; gdyby coś się działo, mógłby do mnie zadzwonić. Ale gdzie on, do cholery, był? Dalej Will, pokaż się, potrzebuję twojej obecności.

Zrobiła się pierwsza, a Willa nadal nie było. Nie mogłam tego zrozumieć. Powiedziałam mu przecież, że to nasz ostatni tydzień w klubie, i że chcę mu dać swój numer telefonu. Czułam się teraz za niego odpowiedzialna. Był moim przyjacielem i nie chciałam go stracić. Nie przeszkadzało mi, że tysiące razy pytał mnie, jak idzie interes, albo czy w środku jest Robert De Niro, czy też że śmierdział tak, że musiałam z nim rozmawiać z odległości pięciu stóp. Chciałam tylko się z nim pożegnać. Wzięłam do ręki krótkofalówkę i zapytałam jedynych ochroniarzy, jacy jeszcze pozostali, czy nie widzieli go przez kilka ostatnich wieczorów, ale mi nie odpowiedzieli. Wyłączyli słuchawki. Już im nie były potrzebne. Wyjęłam więc swoją. Usłyszałam, jak cichnie muzyka, weszłam do środka i położyłam clipboard za barem. Nie chciałam otwierać Bramki wychodzącym gościom; było to zbyt niebezpieczne ze względu na wielu pijanych. Zamówiłam jeszcze jeden kieliszek u mojego przyjaciela Jonniego i poczułam, jak mi głowa opada, oddech staje się coraz płytszy. To był koniec.

Właściciele przyszli z kopertą, nie mówiąc ani słowa. Nie byli w stanie. Musieli borykać się z własnym piekłem, a ja byłam tylko jakąś jego częstką. Wiem, że zastanawiali się w głębi duszy, czy to Bramka wyłączyła ich z interesu, czy to właśnie JA ich pograżyłam. Wiedziałam wyraz ich twarzy, gdy do mnie podchodzili. To

samo spojrzenie co wtedy, gdy mnie zatrudniali. Stąd pamiętałam je tak dobrze. Mówiło: „Każda podjęta przez ciebie decyzja wpływa na nas, więc pilnuj, żeby była właściwa, bo twój tyłek od tego zależy”. Ale prawda zawsze była ta sama w Los Angeles. Nikt nie jest lojalny. I mają głęboko gdzieś, czy jesteś z Nowego Jorku, czy nie. Nic nie trwa długo w Los Angeles. To nie jest wieczne miasto. Nie powinno być. Chodzi tylko o wejście i wyjście z gotówką.

Byłam w okresie między sezonami, co było ciężkie samo w sobie. Wiosna się jeszcze nie skończyła, a lato wydawało się oddalone o całą wieczność. Wiedziałam, że muszę bez przerwy mieć otwarte uszy, żeby znaleźć kolejną pracę, i że nie będzie to proste. Większość klubów w Los Angeles otwierano w lecie lub późną jesienią, a pieniądze, które zaoszczędziłam, mogły mi tylko na tyle wystarczyć. Ale to był ten biznes, tak to się zawsze kończy. Klub się zamyka, kończą się pieniądze, podobnie jak darmowe drinki. Jesteś zjebany, bez snu, bez pracy, bez niczego, co mogłoby naładować akumulatory, uciszyć głos w twojej głowie, bez przerwy szepczący ci do ucha słodkie słówka, siejący ziarenka strachu i poczucie beznadziei. Miałam odtąd wstawać każdego ranka w Los Angeles sama, bez tarczy, bez mojego szaleństwa, bez prawa wyboru, tylko po to, by spojrzeć w lustro nad umywalką i zobaczyć wyblakłe odbicie dawnej siebie. Wpatrywałam się teraz w zielone oczy mojej wyprzedanej duszy. Czułam się zgubiona bez władzy. Potrzebowałam jej jak działki. Gdy chodziło o to gównu, byłam jak wampir szukający ofiary, czegoś na ucztę, co zaspokoiłoby mój głód.

Wszędzie szukałam tego samego haju. Wychodziłam co noc w poszukiwaniu towarzysza dla mojego obłędu.

Pieprzyłam się z nieznanymi, których nigdy wcześniej nie spotkałam, paliłam trawę jak papierosy, robiłam zakupy, dopóki podeszwy stóp nie zaczynały mnie boleć od chodzenia w tę i z powrotem po centrum handlowym. Jadłam przez cały dzień wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, a potem się głodziłam. Ćwiczylam bez przerwy. Biegałam po wzgórzach w Santa Monica, zrzucalam buty, gdy dobiegałam do plaży, i zaczynałam biec po falach; próbowałam wszystkiego, co mogło mi dać poczucie choćby odrobinę zbliżone do tego, jakie dawała mi Bramka. Potem zamykałam się na całe dni. Nie wychodziłam z łóżka i nie podnosiłam rolet. Byłam bez przerwy spragniona, ciągle chciało mi się pić zimne napoje z 7-Eleven. Musiałam sobie przypominać, jaki jest dzień tygodnia, spoglądając na kalendarz w kuchni, powieszony obok szafki na przyprawach. Robiłam duże krzyżyki czerwonym markerem i małe czarnym. Czerwone oznaczały dni, kiedy jadłam prawidłowo, czarne – kiedy się przejadalam. Interesowało mnie rejestrowanie objawów obłędu i śledzenie jego postępów. Bieżące dni i czas przeciekały mi przez palce, przyjaźnie nic dla mnie nie znaczyły, rodzina się nie liczyła. Nikt tego nie rozumiał. Nie istniała żadna terapia. Nie było spotkań, na które warto by pójść. Nie było Henry'ego. Był tylko czas, który należało jakoś spędzać. Dudniący dźwięk własnego głosu ćwiczącego gadkę, język Bramki, wszystkie te moje jednozdaniowe teksty w tę i z powrotem wciąż brzęczały mi w głowie. Musiałam je sobie stale odświeżać z myślą o następnej robocie. Wciąż też powtarzać liczby w głowie, aż w końcu wyciszyłam się na tyle, żeby móc usnąć albo wyjść z domu. Wtedy usłyszałam słowa, które spadły na mnie z nieba, niczym pikujący na ofiarę jastrząb.

TOBI

Popchnijmy to wcześniej, zróbmy z nimi porządek przed dziesiątą, jestem dzisiaj zajęta, żadnego opierdalania się, daję do środka siedemdziesiąt pięć do dziesiątej, dopycham do stu dwudziestu do jedenastej. Obserwujcie wyjścia i tylną Bramkę. Billy, patrz na ulicę, z lewej i z prawej. Chcę dzisiaj widzieć gliny na milę stąd.

Bez przerwy odtwarzało mi się to w głowie. Najpierw widziałam siebie na Brance, potem sprawdzałam liczbę osób, a tłum wpychał się do środka. Małe retrospekcje podpełzały do mnie przez cały dzień, gdy jechałam osiedlowymi uliczkami Studio City, próbując uniknąć korka na Ventura Boulevard, żeby tylko dojechać do domu. Klub się skończył, ale mój koszmar trwał nadal. Potrzebowałam władzy. Potwierdzała moją ważność. Dawała mi usprawiedliwienie dla mojego zachowania. Nic nie mogło mi dać teraz pożytki dla tego uczucia, ani narkotyki, ani alkohol, ani Henry, nic, poza Bramką.

Wtedy zorientowałam się, że wpadłam... miała mnie, dawała mi ukojenie, dbała o mnie. Pragnęłam jej. Chciałam ją poczuć i dostać tyle władzy, ile tylko można. A im dłużej się to ciągnęło, tym bardziej tego potrzebowałam. Obniżyłam standardy do najniższego możliwego poziomu i zaczęłam po znajomości wydzwaniać do wszystkich, z którymi nawiązałam jakiś kontakt przez Bramkę, pod numery widniejące na wizytówkach, jakie tylko znalazłam, walających się po domu, żeby znaleźć nową pracę. Ego nie stanowiło już przeszkody. Nigdy nią nie jest, kiedy naprawdę czegoś pragniesz. Chodzi jedynie o to, jak daleko jesteś gotów pójść, żeby dostać to, czego chcesz. To jest istotne pytanie, prawda? Cóż, byłam

gotowa i chętna, by na nie odpowiedzieć. A odpowiedź brzmiała: Zrobię wszystko, aby jeszcze raz poczuć smak tej władzy. Wszystko.

NARRATOR

Właśnie wtedy dokonałam wyboru. Zawsze jest taka chwila czy dzień, kiedy możesz spojrzeć wstecz i zobaczyć siebie, jak stoisz na rozstajach dróg i zamiast iść w prawo, idziesz w lewo. I właśnie w lewo poszłam z radością. Chciałam tego wszystkiego. Dobrych rzeczy i złych. Dalej. Jestem gotowa, sukinsyny. Przejedźmy się. Ale to nie pracę wybrałam na tym rozdrożu, był to wybór pomiędzy przetrwaniem a wiarą. Wybór pomiędzy uczciwością a zakłamaniem. To, co wybrałam w tamtej chwili, miało zmienić moje życie na zawsze. Zrobiłam to, co robi większość ludzi na rozstaju. Wybrałam to, co znałam najlepiej: Bramkę. Mogłabym się nauczyć poddawania, a nie przetrwania. Iść drogą pełną niepewności i ciągłych wyborów pomiędzy dobrem a złem. Odbudować życie, które własnoręcznie zniszczyłam. Poskładać rozbite dzieciństwo, wypełnione strachem i samotnością. Stanać naga przed Bogiem, wybaczyć tym, którzy mnie zranili, i których ja zdecydowałam się zranić. Zgłębić znaczenie słowa „selekcja” i zrozumieć, jak wyniszczający wpływ miało na moje życie. Postanowiłam się uodpornić. Znaleźć prawdę, uzyskać rozgrzeszenie za moją przeszłość, poznać sens miłości i zrozumieć ukojenie, jakie daje. Znaleźć miejsce w sercu, aby wybaczać sobie tak długo, aż w końcu nauczę się kochać

siebie, uwierzyć, że pokój na ziemi i dobra wola w stosunku do człowieka naprawdę istnieją. Mówiąc wprost, ta podróż byłaby zrozumiała dla każdego, a dla mnie wręcz samolubna, ale trud tej podróży przekraczałby po prostu moje siły. Przez całe życie szukałam przejawów miłości w ludziach, zwierzętach, kochankach, jedzeniu, marzeniach i we wszystkich ziemskich dobrach Boga. Biblia uczy, że miłość pełna jest przebaczenia. Trzeba ją pielęgnować i przyjmować, kiedy się ją znajduje i gdy jest nam dana. Ale gdzie można ją znaleźć? I kto może nam ją ofiarować? Potrzebowałam przebaczenia i wiary, że miłość istnieje na ziemi. Przyjąć tę miłość, która została mi obiecana z racji urodzenia. Pracowałam już długo i ciężko dla diabła, i chciałam się wyrwać z piekła. Bo jeśli istniało piekło na ziemi, ja byłam jego odzwierciadłem. A jeśli był pokój na ziemi i życzliwość względem bliźniego, to gdzie, do kurwy nędzy, się podziewały?

Znikanie w ciemności

Minęło pięć lat, a ja wciąż byłam Selekcjonerką. Przechodziłam z klubu do klubu, otwierałam, zamykałam, naprawiałam, przystosowywałam, zatrudniałam, zwalniałam, urządzałam, przenosiłam, naradzałam się, promowałam, szkoliłam, produkowałam. Straciłam na wadze, przybrałam na wadze, zmieniłam styl, rzuciłam palenie, przestałam pić, zaczęłam pić, zaczęłam palić, straciłam starych przyjaciół, poznałam nowych, kochałam się z Henrym, miewałam mnóstwo pieniędzy, a czasem nie miałam ich wcale, przygarnęłam psa, przeprowadziłam się cztery razy, dostałam pozew sądowy, raz trafiłam do więzienia, straciłam dom w trzęsieniu ziemi, zaczęłam ćwiczyć, przestałam ćwiczyć, zostałam zbawiona, znalazłam Jezusa, zgubiłam Jezusa, potem znów Go odnalazłam, zaczęłam pisać, przestałam pisać, robiłam wciąż niedzielą listę wszystkich dobrych i złych rzeczy, odkryłam mrożony jogurt z Oreosem, odkryłam „Chez Jay”, pomogłam Stelli w przeprowadzce, patrzyłam, jak Carolyn trzeźwieje, miałam na oku Alzheimera mojej babci, jeździłam do Palm Beach w każde wakacje, uczyłam się informatyki, obchodziłam pięciokrotnie swoje urodziny na pięć różnych sposobów z pięcioma różnymi grupami znajomych, założyłam firmę handlującą kosmetykami dla dzieci, wyprzedzałam zapasy, nigdy nie związałam się uczciwie z kimkolwiek poza Henrym, a mimo to nadal go okłamywałam, pisałam wiersze, tysiąc razy zadzwoniłam i umówiłam się na spotkanie z terapeutą, by je odwołać w dniu wizyty. Jediną stałą rzeczą w moim życiu była Bramka.

To był mój ostatni tydzień na Bramce, ale gdyby ktoś mnie spytał w poniedziałek, czy sobota będzie dla mnie ostatnim dniem, powiedziałabym mu, żeby się odpięprzył. W poniedziałek jeszcze nie miałam w planie by odejść, a winę za mały epizod z poprzedniej nocy, kiedy to próbowałam się zabić, zrzuciłam na zły dzień; okniecie się nago w wannie bez wody i z naładowaną bronią jakoś nie zbiło mnie z tropu, kiedy obudziłam się następnego ranka wciąż żywa, z magazynkiem na posadźce łazienki. Włożyłam go tylko szybko z powrotem, ubrałam się i poszłam na śniadanie, jak gdyby nic się nie wydarzyło. To właśnie robisz, kiedy koniec jest bliski. Nigdy nie tracisz nadziei, nigdy się nie poddajesz, idziesz dalej, aż ktoś to za ciebie skończy. Próbowałam coś poczuć, cokolwiek, mieć jakieś emocje, śmiać się, płakać, bez różnicy. Budziłam się co ranka i coraz mniej mnie zostawało, próbowałam więc znaleźć coś, cokolwiek, żeby znów skupić uwagę na sobie i odciągnąć myśli od Bramki. Ale nic nie mogło powstrzymać mojego szaleństwa i pragnienia utrzymania władzy. Nikt nie mógł mi powiedzieć, że tracę grunt pod nogami, bo nie chciałam przegrać. Myślałam, że odejście jest przegraną. Myślałam, że rezygnacja jest przegraną. Nie chciałam po prostu zamknąć kolejnego klubu, pożegnać się z kolejną drużyną chłopaków, zobaczyć w ostatni wieczór twarzy właścicieli, patrzeć, jak barmani podliczają bar, didżeje pakują płyty, jak likwiduje się światła i nagłośnienie, powiedzieć do widzenia wszystkim klientom, szukać innej pracy. Po prostu nie mogłam, musiałam postawić ten klub na nogi, musiałam tylko...

Właśnie tak! „Zareklamuj i sprzedaj”. „Witamy w Ameryce”. W kraju ludzi wolnych, ojczyźnie odwagnych. Jeśli hasło jest chwytliwe, rozprzestrzenia się, rozchodzi lotem błyskawicy, dalej, kupujcie, dlaczego

nie? Potrzebujecie tego, chcecie tego, no dalej, zróbcie sobie małą przyjemność, dalej, włączcie się do gry, do cholery! Tak się to wszystko zaczyna, wszystkie biznesy były takie same. Klub za klubem, zawsze mieli te same bzdury do powiedzenia.

„To nowy klub, nowe podejście, nowe miejsce, nowe, nowe, nowe...”

„Yeah! Damy czadu tym razem. Jak mogłoby nam pójść coś nie tak? Patrzcie, co tu mamy! Cholera, jeśli to ich nie uszczęśliwi, to w takim razie co?”

NARRATOR

To były te bzdury, których trzeba było wysłuchać za każdym cholernym razem, kiedy otwierano nowe miejsce w mieście. Mieli być inni. Posiedli nowy „Przepis na Destrukcję”. „Chodź i bierz”, wrzeszczeli, kiedy farba jeszcze schła na ścianach wokół parkietu. „Odkryliśmy, co cię uszczęśliwi. Jesteśmy pieprzonymi pionierami zabawy. Napisaliśmy podręcznik imprezowania, do diabła, chodź i zobacz, a sama się przekonasz”. To samo stare pieprzenie wciąż od nowa za każdym razem, gdy rozmawiałam przez telefon z kolejnym właścicielem, który chciał mnie u siebie na Bramce. Wtedy ja wciskałam im swoją krótką gadkę o Selekcji i co moja drużyna mogła im zapewnić. Nigdy jednak nie zatrudniano mnie w pierwszym tygodniu, bo jest to czas nowicjusza. Wypróbują wtedy wszystkich tańszych selekcjonerów i myślą, że dadzą sobie radę sami; następnie, jak w zegarku, dzwoni telefon dwadzieścia cztery na dobę, kiedy usiłują się z tobą skontaktować, a wtedy

zapłacą ci już każdą cenę, byle tylko ocalić tę ich inwestycję, co, poza tym, jest zawsze najlepszym sposobem rozpoczęcia negocjacji. Włożyłam pięć lat w Bramki Los Angeles i tym razem nie miałam zamiaru dać się orznać. Chciałam wyrwać się z Bramek, wyrwać się z klubów, chciałam się tylko wyrwać. Kropka. Ale za każdym razem, kiedy mówiłam „tak” kolejnemu klubowi, mówiłam równocześnie „nie” jakiegokolwiek próbie zmiany swojej ścieżki.

Najtrudniejsze było zawsze spotkanie z kolesiami pierwszego wieczoru, ponieważ witałaś ich słowami, którymi pożegnałaś swój poprzedni klub: „To moja ostatnia taka robota, nigdy więcej”. Ale mówiłam to za każdym razem, gdy zaczynałam pracę w nowym klubie, tak jak zresztą i wszyscy inni. Jesteś niestety recydywistą. Wciąż cię to, cały ten szum, władza, obietnice, pieniądze. Powody nigdy się nie zmieniały, jedynie czasy. Tak samo jest ze wszystkim. Bramka nie różniła się od innych rzeczy w życiu. Oferowała zawsze to samo przestępstwo, które wiedziałam, jak popełnić, i ten sam wyrok, jaki czekał mnie na końcu. Jedzenie było dobre, ci sami chłopcy w ochronie, więc co mi tam, w cholere, myślałam sobie, czemu nie.

Poznanie się z kolesiami to pierwsza rzecz do zrobienia w nowym klubie, a tym razem okazała się najtrudniejsza. Większość z nich była nowa i mnie nie znała, a ci starzy z wielkich klubów byli zblazowani, kurewsko zblazowani. Byli ponadto wściekli, zanim jeszcze zaczęliśmy. Większość słyszała plotki o mnie, znała schemat, wiedziała, jak pracuje, ale z innymi był problem, musiałam przejść przez ten ich macho syf, a tym razem nie było

łatwo. Miałam dość zanim zaczęłam, a nowa załoga dwudziestu pięciu facetów nie była tym, o co mi chodziło.

Ale czasy się zmieniły. Małe kluby nie dawały już sobie rady, więc weszły duże. Pojemność do tysiąca, przy tysiącu czterysta – tłoczno, przy około tysiącu pięciuset – robiło się niebezpiecznie. Kolejki na zewnątrz po sześćset osób przez trzy godziny. Musiałam chyba zwirować. Miałam dwudziestu pięciu ochroniarzy, czterech tajniaków – dorabiających na boku gliniarzy z LAPD*, sześć słupków lin, frontowe wejście, tylne wejście, drzwi kuchenne, górne piętro, dolne piętro, parkiety, boczne wejścia, co by nie wymyślić, i najgłośniejszą pieprzoną muzykę, jaką kiedykolwiek słyszeliście, a wszystko to na pierwszej linii ze mną. Te tłumy nie przypominały niczego, z czym się dotychczas zetknęłam. Nadciągały falami ulicą. Grupy po dziesięć i piętnaście osób, jedna po drugiej. No i wcześniej. Nie jak dawniej, kiedy czekali przynajmniej do wpół do jedenastej. Nie, ten tłum chciał wejść już o dziewiątej, chcieli imprezować... Wszystko było inne. Nie miałam już tylko jednej Bramki, ale dwie. Tylne Bramka była przednią, a przednią tylną. Zarządzałam obiema przez krótkofalówkę. Na tylnej Bramce byłam ja i dwóch koleś wewnątrz lin. Dalej było trzech chłopaków na zewnątrz lin i kolejnych dwóch przy kasie na końcu przejścia. Tylko na tylnej Bramce było więc w sumie siedmiu koleś.

Przednią Bramką kierowałam przez krótkofalówkę. Pierwsza linia była przeznaczona tylko dla mnie i przedniej Bramki. Druga linia była dla mnie i ochrony; wszyscy byliśmy na drugiej linii, tak jak życie każdego w L.A.

* Los Angeles Police Department (przyp. tłum.).

Wczesnym wieczorem, kiedy rozstawialiśmy słupki z linami, gorącym tematem było kto się z kim pieprzy, potem zmienialiśmy temat na wyniki w hokeju, potem znów na najlepsze cycki poprzedniego wieczoru, no może jeszcze mały przegląd restauracji, co kto jadł na kolację, potem kończyliśmy wieczór kilkoma sprośnymi dowcipami i byliśmy gotowi. Ale druga linia była poważna i wszyscy o tym wiedzieli. Druga linia była naszą linią ratunkową. Decydowałam o liczbie osób na drugiej linii, zajmowałam się klubem i co dziesięć minut sprawdzałam ochronę, aż do zamknięcia, więc druga linia wiązała się z zabawą jedynie wczesnym wieczorem, bo później była już tylko poważna. Kiedy sprawdzałam ochronę, wzywałam stanowiska.

TOBI

Jeśli cię wzywam, mówisz OK. Jeśli nie mówisz OK, mamy problem. Nie zawaham się, żeby wysłać do ciebie najbliższego koleś, aby sprawdził, ale jeśli nie będzie problemu, kiedy tam dotrze, pożałujesz. Ci z was, którzy są nowi, zostańcie poza linią, pozwólcie mówić weteranom, kiedy wzywam numery. Macie mówić OK tylko wtedy, gdy wzywam wasze stanowisko.

Weterani to ci, którzy mogli ogarnąć większy obszar klubu. Byli to ochroniarze ze sporym doświadczeniem, a co najważniejsze, potrafili wyczuć bójkę na kilometr. Z tego powodu druga linia była też awaryjną linią bójek. „Na górze” oznaczało bójkę na drugim piętrze, a „parkiet” środek parkietu; obstawa klubu miała nazwy od lokalizacji, a jeśli któraś z nich była wzywana na drugiej linii, oznaczało to bójkę. Odpowiadałam za dokonanie

wyboru, kto ma pójść, a nie zawsze był to najbliższy koleś. Zazwyczaj wybierałam tego, kto był najbliżzej danej lokalizacji, i zatrzymywałam tego, który był dokładnie w tym miejscu, żeby krył jakiegokolwiek inne bójki, które mogły wyniknąć z pierwszej.

Jedynym dostępem do akcji była moja krótkofalówka. Każdy dźwięk, każde słowo na tej linii po dziewiątej wieczorem było krytyczne. Druga linia nigdy się nie zmieniała. Była to zawsze linia ratunkowa. Po zamknięciu klubu na dany wieczór, używaliśmy jej, żeby wywołać kolejne stanowiska, sprawdzić toalety, zwolnić barmanów, odprowadzić kelnerki do samochodów, wciągnąć słupki z linami, przejść się po klubie i wreszcie zamówić pizzę. Po posiłku ochrona oddawała krótkofalówki, a ja liczyłam gotówkę, wręczałam koperty i wszyscy razem wychodziliśmy. Taki był schemat, noc w noc, chyba że mieliśmy bójkę, wtedy wypełnialiśmy raporty policyjne, omawialiśmy wypadek, sprawdzaliśmy sińce, opatrywaliśmy zakrwawione nosy, obmywaliśmy zadrapania i przechodziliśmy dalej.

Jednak nie tylko Bramka trzęsa każdym klubem. Kręcili się po całym lokalu. Uroczą obsługą. Wściekli barmani, wredne kelnerki, posrani właściciele – niedoszli selekcjonerzy, wkurwieni meksykańscy pomocnicy kelnerów. Albo przyjezdny didżej, to dopiero radość dla człowieka. Didżeje. Nie można ich nie kochać, kiedy ciągnęli ten swój syf przez całą noc, jedna płyta za drugą, podkrecając muzykę głośniejsze, kiedy wybuchały bójki, taa, nie da się ich nie kochać. Pieprzone małe szeszurki. Nienawidziliśmy ich. Zamykali się w boksie na całą noc i olewali nas, kiedy darliśmy się na tych małych drani, żeby przerwali muzykę, i grali dalej, bujając się do własnego klubowego miksu. Cholera, wykafcza mnie opisywanie obsługi, zawsze byli tacy popieprzeni.

Gdzie zatem było nasze miejsce? Nigdzie. Byliśmy osobno. Zupełnie osobno. Bramka i ochrona dostawały wypłatę w gotówce. Wszystko w gotówce. Byliśmy interesem w czystej gotówce. Zatem właściwie nie istnieliśmy. Z tego powodu mieliśmy prawo do własnego show. Tworzyliśmy własne zasady, ustaliliśmy własny grafik i ruszaliśmy. Byliśmy jak Załoga Tonącego Statku, nawigująca cię przez twoje małe destrukcyjne zwyczaje i pomagająca ci w drodze do ostatecznego celu. Zamykamy. Ale będziemy tu, gdybyś nas potrzebował... bo też mamy uczucia! Mogliśmy wpłacić za ciebie kaucję, jeśli tego potrzebowałeś. Zwyczajnie mogliśmy cię orznąć! Jak z bandą złodziei nocą, nigdy nie wiedziałeś, co może się wydarzyć. Tak to szło za każdym pieprzonym razem, po tym, jak mijalo całe zadęcie i podniecenie pierwszego tygodnia, był to już tylko kolejny klub w mieście ćpunów, próbujący utrzymać się na powierzchni.

Rzeczka, która rzadko się zmieniała, była lista i status danej osoby, jaki na niej miała. Nie znosiłam, gdy zmieniano się nazwisko na liście, bo nie było to tylko nazwisko, ale i osoba, jej zawód, styl życia, film, dziewczyna, studio – wszystko, dzięki czemu początkowo ludzie ci dostali się na listę. Nienawidziłam wykreślenia nazwisk tych, którym się nie udało, tych z wysokim stanowiskiem, głośnym filmem, samochodem, panienkami. Ale zdarza się, że filmy nagle przestają przynosić zyski. Stanowisko przechodzi na kogoś innego, a panienki zaczynasz głównie obchodzić, wracasz więc do maklerskiej posady. Co najgorsze, spadasz z listy. Ot tak. Żadne porażki nie są dopuszczalne. Za bardzo zasmradzają pomieszczenie, inni od razu czują się nieswojo, bo przypomina im to, jak łatwo mogłoby to także ich spotkać. Jedynie sukces i władza utrzymują cię na liście. O to tylko chodziło

w tym przybytku pozorów. O pieprzony sukces i władzę, a to już była moja specjalność, utrzymywanie w klubie drużyny silnych graczy, Gwyneth Paltrow, John Cusack, Julia Roberts, Rober Downey Jr, Al Pacino, Sharon Stone, Sean Penn, Martin Scorsese, Robert De Niro, Bono, Edward Norton, Ed Burns, David Spade, Adam Sandler, Jim Carrey, Tony Scott i inni...

Najpierw ich porozdzielalam, żeby stopniowo przechodzili przez bramkę, paru ostrych napastników, jak Robin Williams czy Oliver Stone, potem jakieś panienki, dorzucić parę osób z kolejki i zaczynamy wieczór. Ale musiałam dawkować to w tej formie przez całą noc, więc używałam ich niczym bomb zapalających. Bum, potem kolejne bum, pokropić paroma samotnikami i stop. I kolejne uderzenie, bum! Potrzebowałam ich wszystkich. Sławnych, inteligentnych, pięknych, twórczych, niechlujnych, samotnych, starszych, młodszych, cycki, przyćpanych, rockmanów, pisarzy, przyjaciół, partnerów, guru, wszystkich, wszyscy oni mieli to coś. Kto i kiedy wchodził miało ogromne znaczenie. To sprawiało, że klienci wciąż wracali.

Moja praca polegała na tym, żeby nie czuć. Absolutnie nic. Moim zadaniem było sprawić, żeby czuli tylko oni. Przepadłeś, jeśli włączyłeś w to emocje, bo wtedy koniec. Wtedy mówisz sobie, że to już. Od czasu to czasu pozwalałam sobie na mały test, żeby się upewnić, czy wciąż jestem taką zimną suką, jak mi się wydaje. Parę razy wychyliłam się z czymś nietypowym podczas pracy, jak oddanie bezdomnemu części moich napiwków czy wpuszczenie do środka jakiegoś frajera, który innym razem nie miałby żadnej szansy wejść, może też dotrzymałam jakiejś obietnicy, złożonej komuś na Bramce poprzedniego wieczoru, na tyle tylko, żeby trzymać rękę na pulsie. Ta strona po prostu ci się wymyka. Odkrywasz,

że jesteś tak odrętwiała jak dziwka, która właśnie przeszła obok. I za każdym razem, gdy chciałbyś podejść do kolejnego testu, wzbarniasz się, bo sam pomysł cię rozwała i ściaga w dół coraz głębiej i głębiej. W końcu przestajesz sprawdzać. Po co? Czego się dowiesz? Że jesteś pozbawionym serca sukinsynem? Że się sprzedałeś? Czy może dowiem się prawdy o sobie, że nie jestem tak twarda, jak mi się wydawało? Tak czy siak, nie chciałam poznać odpowiedzi, bo nie byłam gotowa przyjmując odpowiedzialności za cokolwiek.

NARRATOR

Był zwyczajny sobotni wieczór. Przez cały dzień czułam, że coś się we mnie zmienia, dzieje się coś pięknego, nie do wyjaśnienia. Od tygodni czułam się przeraźliwie pusta. Słyszałam i widziałam to, co kręciło się wokół mnie, ale nie czułam w tym jakiegokolwiek związku ze mną. Obserwowałam, czekając, aż to uczucie minie. Wyciąganie rąk do przyjaciół i rodziny nie pomagało. Czułam się niesłuchana i nierozumiana. Traciłam kontrolę nad swoim życiem, wciąż jednak wierząc, że ją mam. Wszystkie dni, które prowadziły mnie do soboty, dawały mi sygnały, ale postanowiłam je ignorować. Nie chciałam żadnych zmian, nienawidziłam ich. Zaburzały mnie. Kojarzyły mi się z opuszczeniem. Mimo że wszystko we mnie krzyczało o uwolnienie, na zewnątrz nigdy bym się do tego nie przyznała. Byłam zbyt dumna, by dać za wygraną, zbyt cwana na porażkę, zbyt piękna, by płakać, zbyt samotna, by wyciągnąć rękę, zbyt przerażona,

by powstrzymać ból, na który wydawało mi się, że zasłużyłam, będąc opuszczoną przez ojca. I wtedy zobaczyłam TO, w uśmiechu, w filmie, w szybie wystawowej. Obserwowałam to w restauracji, zauważałam na spacerze, w słoneczny dzień, na plaży, wyczułam w głosie Henry'ego, w zapachu kwiatów kupowanych w niedzielny poranek, a czasem czułam to w sobie. Było dla mnie czymś nowym, świeżym, dotąd nieodkrytym. Wydawało się piękne i jasne, zabawne i tajemnicze. Przykuwało moją uwagę, gdy już nic innego nie robiło na mnie wrażenia, nawet czekolada. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam miłość. Widziałam ją w różnych sytuacjach i przejawach. Mijała mnie na ulicy, otaczała mnie całą, gdy płakałam z wyczerpania w samochodzie w drodze do domu, była tuż obok, gdy wyrzucałam z siebie kolejne kłamstwa na Bramce, i muskała moją duszę. Stała za mną, popychając naprzeciw chwili, żebym sama zobaczyła, że jest prawdziwa. Była w nieznanym, ludziach nigdy wcześniej nie spotkanych, a ci zauważali we mnie rzeczy, które nigdy mnie dotąd nie obchodziły.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu ten biznes wydawał mi się nieugięty, twardszy niż inne. Noce miały powoli. Rozmowy na Bramce wykańczały mnie. Robiły się nudne, a ja zmęczona tym całym gównem. Z wolna zaczynałam czuć. Zwyczajnie, po prostu czuć. Zaczęłam patrzeć ludziom na Bramce w oczy. Wpuszczałam osoby, których nie powinnam, osoby z sercem, osoby w niewłaściwych ciuchach, osoby o niewłaściwym kolorze

skóry. Wszystkich ludzi uważanych za nieodpowiednich. Zaczęłam widzieć tłum jako pojedynczych, zwykłych ludzi, zwyczajnych facetów. Przestałam dzielić ich według płci, rasy, grupy, ciuchów, władzy, talentu, znajomości, i zaczęłam dostrzegać człowieka. Próbowałam się do nich uśmiechać na powitanie. Pytałam ich o wrażenia z wieczora. Ale wymykało mi się to. Osuwałam się w otchłań z każdą osobą widzianą jako równą, z każdą odbieraną poza kategorię. Na Bramce nie chodzi o równość. Na Bramce nie chodzi o to, czy jesteś sprawiedliwy ani czy postępujesz właściwie. Chodzi o szacowanie ludzi i zaszerzowanie ich do odpowiedniej kategorii, wybierając między czymkolwiek, co oddzieliłoby ich od reszty. Przy Selekcji liczył się kolor skóry, grubość portfela, status społeczny, stanowisko, uroda. To wszystko upoważniało ich do wejścia. Nie było tam miejsca na poczucie winy, a ja je niestety miałam. Byłam na wylocie. Nie mogłam znieść już kłamstw, a co najważniejsze, przestałam w nie wierzyć.

Duży ceglany budynek na rogu Gower i Hollywood Boulevard był miejscem, w którym raczej nie spodziewałam się wylądować, nie miał mi bowiem nic do zaoferowania poza strachem. Wewnątrz byli najprawdopodobniej sami obcy ludzie, tak przypuszczałam, a ja czułam się zbyt zbrukana, żeby nawet pomyśleć o wejściu do środka. Jednak siła emanująca z budynku okazała się tak potężna, że zaczęłam się zastanawiać. Mijałam tę budowlę codziennie, nieraz zastanawiając się, co też jej wewnątrz mogłoby mi zaoferować. Czy znalazłabym tam przebaczenie, nową drogę? Bo jeśli tak, nie byłam znów wcale taka pewna, czy chcę się zmieniać, i czy w ogóle byłabym w stanie wyobrazić sobie, jak to przebaczenie miałoby wyglądać. Wydawało się podróżą do bardzo odległego miejsca. Wiedziałam, jak

poruszać się po świecie, i spędziłam większość życia jako rozbitka; dumna z tego, że udawało mi się przetrwać, że mimo wszystko ocalałam. Wyglądało na to, że jest nas wielu, szczególnie w nocy.

Skąd zatem ten budynek? Budynek z krzyżem na szczycie, z witrażami w oknach? Pełen mocy i potęgi? Bo i ja nie miałam już w sobie siły, by ciągnąć przetrwanie. Bo kiedy nadchodzi kres, to właśnie jedynie to, w co chcesz wierzyć, może cię ocalić. Jeśli jesteś prawdziwym rozbitkiem, wierzysz tylko i wyłącznie w siebie. Nie byłam pewna, czy mogę się już rozstać z moim tytułem rozbitka. Zarobiłam na to. Okupiłam go zgwałceniem, dla niego kłamałam, krzywdziłam ludzi, wykorzystywałam ich, żyłam dla niego, aż moja dusza i serce stwardniały. Nie miałam zamiaru oddać go dla wiary, że ktoś inny zajmie się moim życiem. Dlatego ten budynek mnie zawsze przerażał, bo byli w nim ludzie wiary. Ludzie, którzy dzień po dniu oddawali swój los komuś lub czemuś innemu. Prawdziwi rozbitkowie nigdy nie oddają swojego życia niczemu ani nikomu. Oni po prostu starają się przetrwać. Nie żyją w pełnym znaczeniu tego słowa. Życie jest tym, co, jak myślałam, było dane wszystkim innym, tym, którzy nie byli mną. Ale ja też chciałam żyć, chciałam się budzić z pozytywnymi myślami, zamiast dręczyć się nadmiernie analizującą jaźnią, ciągle wchodzącą mi w drogę. Tak, życie było tym, czego chciałam. Żyć choć raz, odpuścić, nie tylko bez przerwy wisieć na włosku. Nie chciałam widzieć w każdej chwili, każdego dnia tego piętrzącego się przede mną muru przy każdym planie ucieczki od mojej piekielnej egzystencji. Chciałam patrzeć do przodu, nie tylko za siebie. Chciałam brać oddech, który by nie zależał tylko ode mnie; chciałam być karmiona, nie chciałam sama jeść. Chciałam pokonać ten mur wokół siebie, zamykający mnie

w świecie bez nadziei i bez wyjścia. Chciałam, żeby głosy zwątpienia przestały mącić mi w głowie, torpedując pomysły na ucieczkę od przeszłości i odwrotu od zła, które tak mnie dotąd przyciągało. Ale musiałam wiedzieć, jak żyć, jak odnaleźć źródło zbawienia, które być może było nawet we mnie, a poza tym nie miałam pewności, czy warto szukać czegoś, czego nigdy przedtem nie doświadczyłam ani nie widziałam na własne oczy. Zawsze myślałam, że prawdopodobnie to tylko na pozór tak wygląda, i jakby miło było w ten sposób żyć: znaleźć się choć raz po drugiej stronie ekranu, czując się tak szczęśliwa i zadowolona, jak te ludziki z amerykańskiej reklamy płatków śniadaniowych. Ale potem miałam się obudzić ze snu i zobaczyć broń na nocnym stoliku, zastanawiając się, czy to, co jest wewnątrz tego budynku, naprawdę mogłoby mnie ocalić, czy to tylko reklama, sześćdziesięciosekundowy *spot* w moim mózgu.

NARRATOR

Tamtego dnia dostałam telefon od Charlotte (tej znikowanej na punkcie Jezusa) z pytaniem, czy pójdę z nią na specjalną mszę do hollywoodzkiego kościoła prezbiteriańskiego. Nie miałam od niej żadnych wieści od miesięcy, a ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślałam, był kościół. Postanowiłam, że oddzwonię do niej i powiem, że przykro mi, ale nie dam rady. Wykręciłam numer, oczekując automatycznej sekretarki, tymczasem odebrała Charlotte. Brzmienie jej słodkiego głosu, odbierającego telefon, skłoniło mnie, żeby przyjąć, choć niechętnie, zaproszenie. Nie było już ucieczki. Zawiodłam Charlotte tyle razy, że zdawałam sobie sprawę, że byłby to ostatni

jej telefon do mnie. Poczułam nagle ulgę, ale i strach jednocześnie, że będę musiała zmierzyć się z Charlotte, ale i z kościołem zarazem. Czy byłam gotowa na oczyszczenie – przemknęło mi przez myśl, czy byłam ostatecznie gotowa mówić prawdę, zamiast bez przerwy klamać? Czy w ogóle byłam gotowa na jakiegokolwiek zmiany?

Miałam na sobie czarną skórzaną kurtkę, taką, jaką mój ojciec nosił w latach sześćdziesiątych, kiedy zabierał mnie na weekend swoim czarnym cadillakiem o czerwonym wnętrzu; nazywał je skórą samochodu. Do tego czarne motocyklowki, dżinsy, ciemne okulary i blond włosy. Tak szłam boczną nawą. Usiadłam z Charlotte w czwartym rzędzie od ołtarza. Czekałam w milczeniu, aż rozpocznie się nabożeństwo. Byłam zmęczona, zafamana i pozbawiona nadziei.

Chórzyści weszli rząd za rządem, ubrani w togi, trzymając śpiewniki z psalmami. Kurczowo ścisnęłam program w dłoni, nie wiedząc, co z nim zrobić, gdy nagle rozbrzmiała muzyka; delikatny, piękny śpiew chóru rósł i potęgiał słowami pieśni, by następnie przejść w piano i w końcu ucichnąć. Nie rozumiałam, o czym śpiewają, ale po prostu czułam tę muzykę. Przemawiała do mnie swoim miękkim brzmieniem, delikatnie ścisząc, aż umilkła. Muzyka mojego życia. Poczułam, że coś się we mnie zmienia, serce zaczęło mi walić, nogi ugięły się pod mną, głowa opadła na pierś. Błagałam o przebaczenie. Nie słyszałam nic poza ciszą, nieczystą i przepęloną wstydem podniosłam wzrok, mając nadzieję, że Bóg dostrzeże mnie i da mi znak. Ławka była twarda, bolały mnie ramiona, moje włosy śmierdziały jeszcze dymem, a kieszenie wypełnione były wstydem i pamiętkami po tym, kim byłam i kim się stałam. „Módlmy się”.

Od lat miałam swoich prześladowców, niektórzy przenosili się za mną od klubu do klubu. Zawsze jednak był to ten sam stary schemat; wiedziałam, kim są, i zawsze miałam chłopaków do ochrony. Zaopatrzona w krótkofalówkę, broń i kamizelkę kuloodporną, miałam też za sobą szkolenie, wiedziałam, jak się bronić, jeśli zostanę zaatakowana na Bramce, miałam także przerośnięte ego i byłam pewna, że ono mnie ochroni. Nie martwiłam się więc wcale ostatnim zdjęciem mnie z Bramki. To już była rutyna, parę dni wolnych, potem powrót do normalności, aż do kolejnej groźby, znowu parę dni z głowy, następnie kilkumiesięczna przerwa, zanim znowu zaczęła się pogrózki.

Wszystkie poważne groźby docierały do klubu w ciągu dnia w formie ostrzeżeń telefonicznych, że spotka mnie coś okropnego, jeśli tej nocy będę na Bramce, i to zwykle wystarczało, żeby mnie zdjęli. W sobotę wieczorem nie odebrałam telefonu z klubu, że mam się nie pojawiać, a ponieważ wszystko było w porządku przez ostatnie tygodnie, niczym się nie martwiłam. Ale kiedy się szykowałam na sobotni wieczór, zadzwonił telefon. Ktoś groził mi śmiercią, i to ten sam prześladowca, który wydzwaniał przez ostatnie tygodnie. Klub jednak miał tego dość; zdjęcie mnie z Bramki było dla nich zbyt kosztowne, a przy tym byli pewni, że nic się nie wydarzy. Kiedy więc jechałam samochodem do pracy i zakładałam liny, mój prześladowca wypełniał piaskiem butelkę po piwie i wybierał dla siebie dogodny miejsce ukrycia, czekając na tę jedną sekundę, gdy zostanę z nim sam na sam. Ochrony nie ostrzeżono o ponownych groźbach. Z ich punktu widzenia był to tylko kolejny sobotni wieczór.

Był środek listopada, tydzień przed Świętem Dziękczynienia. W Los Angeles było zimno, a my marzliśmy

na Bramce. Zimny wiatr przewiewał nas na wylot. Byliśmy ubrani tak ciepło, jak się tylko dało, ale nie chroniło nas to przed nocną wilgocią, przynieszoną przez bryzę z nad morza, wypełniającą powietrze. Miałam ze sobą trzech chłopaków na zewnątrz i całą załogę w środku. Co dwadzieścia minut puszczaliśmy jednego z nich po kawę i do toalety. Zmieniali się między sobą, a ja stałam na Bramce przy selekcji. Ruch był niewielki jak na sobotę. Zbyt zimno dla Angelenos* na wychodzenie z domu. Do pierwszej było po kolejce. Nikt już nie czekał. Mieliśmy na przedniej bramce niezmienną zasadę, że nigdy nie zostanie bez co najmniej dwóch ochroniarzy. Ale to ja określałam zasady, więc też i ja mogłam je zmieniać, a im robiło się zimniej, tym łatwiej mi to przychodziło. Wysłałam dwóch chłopaków do środka po kawę i tequilę dla mnie. Zostałam więc z jednym ochroniarzem. Gadaliśmy i czekaliśmy. Podano nam czas dostarczenia kawy i tequili na drugiej linii i słuchaliśmy, jak ochrona pieprzy o jakiejś blondi, której w zeszy piątek pękł cycek na parkiecie. W środku zaczęli już zamykać górny bar. Didżej puszczał głośną muzykę, aby szybko wypchnąć tłum do domu.

Wtedy usłyszałam wezwanie. „Parkiet, główny bar, po lewej”. Czarne Oko, wypalony emerytowany policjant, który zawsze brał parkiet jako swój posterunek, teraz wzywał pomocy na pierwszej linii. Generalnie rzecz biorąc, jeśli był jakiś problem, Środek mógł go najszybciej dostrzec i poradzić z nim sobie. Tym razem Środek nie zobaczył niczego ani też nie usłyszał wezwania. Dym robił się coraz większy i ostrzejszy. W walce rzucono z góry butelkami po piwie, przewracano stoły i krzesła, dziewczyny biegnęły z krzykiem w stronę wyjścia, ale

* Slangowe określenie mieszkańców Los Angeles (przyp. tłum.)

nadal nikt nie przychodził z pomocą. Czarne Oko bezskutecznie wzywał pomocy na pierwszej linii. Musiałam szybko podjąć decyzję. Wysłać Czarne Oko do bójk i zostawić parkiet bez ochrony, z setkami ludzi krzyczących w panice, jako że tłum coraz bardziej zdawał sobie sprawę z sytuacji, czy wysłać tam mojego ostatniego ochroniarza z Przedniej Bramki i zostać na niej sama. Wybrałam drugą opcję. Jeśli zostawałam sama, należało wejść do środka i zamknąć Bramkę. Nie zrobiłam tego. Stałam, czekając, aż wróci ochrona, i dzwoniłam na policję.

NARRATOR

Nic nie słyszałam i nie widziałam, skąd nagle wyszedł, po prostu odwróciłam się, a on był tuż przede mną. Sięgnęłam po krótkofalówkę, a on sięgnął do mojej szyi. Próbowałam pochwycić go za nadgarstki i wyrwać się z duszącego mnie uścisku, ale potknęłam się i poleciałam do tyłu przez szklane drzwi wraz z nim na siebie, wciąż trzymającym mnie za gardło. Kiedy upadłam na ziemię na potłuczone szkło, zwolnił nieco uścisk, a potem wsunął rękę pod połę płaszcza, wyjął zieloną butelkę po piwie, wypełnioną piaskiem, i zamierzył się w stronę mojej twarzy. A kiedy w zamachu podnosił rękę z butelką do góry, znów TO poczułam, jakby coś przemożnego przesunęło moją głowę w lewo, a wtedy butelka kierująca się w stronę mojej twarzy nie trafia. Uczucie to znikło równie szybko, jak się pojawiło. Następne co pamiętam, to widok piętnastu ochroniarzy tłukących moją prześladowcę, i dźwięk syren nadjeżdżających radiowozów.

Podniosłam się o własnych siłach, nie przyjąłabym pomocy od ochrony. Zauważyłam, że moja lista leży na chodniku przy Bramce, pokryta rozbitym szkłem, wyciągnęłam krótkofalówkę z kieszeni płaszcza i położyłam na barze, zerwałam z siebie kamizelkę, odpięłam szelki z kaburą z ramienia i tuż obok nich położyłam broń. Nie odpowiadałam na żadne pytania, widziałam przed sobą tylko poruszające się usta, ale słowa do mnie nie docierały. Zobaczyłam swoje pokaleczone dłonie i poczułam, że z moją nogą jest coś nie tak. Nie sądzę, żebym już wtedy zdołała złapać głębszy oddech, byłam jak dziecko w łonie matki oczekujące swoich narodzin. Podpisałam jakiś papier, położony przede mną przez policję, i patrzyłam, jak mojemu zakrwawionemu od bicia prześladowcy zakładają kajdanki. Nadal milczałam. Chłopaki mówili za mnie, do mnie, o mnie, obok mnie. Właściciele rozmawiali z policją, obsługa wróciła do sprzątanania i zamykania klubu, ściszo muzykę, ostatni klienci pospiesznie opuszczali lokal tylnym wyjściem, a ja nadal, gdy się to wszystko działo, tkwiłam nieruchomo przy barze, gapiąc się na Bramkę, przez którą dopiero co wpadłam. Bramkę, która na zawsze zmieniła moje życie. Teraz znikła, roztrzaskana. I to ja ją zniszczyłam. Nie sądzę, żeby to mój napastnik przepchnął mnie przez nią, nawet jeśli na pozór tak to wygląda, ale cieszę się, że Bramka pękła, bo przez to i we mnie jakby coś pękło. Pękła nić, która mnie z nią łączyła, pękło moje ego, za którego sprawą trwało to wszy-

stko tak długo. Nie pożegnałam się z chłopakami, nie pożegnałam się z właścicielami, tylko po prostu przeszłam po rozbitym szkle przez moją ostatnią Bramkę. Szłam, aż dotarłam do brzegu plaży. A gdy zbliżając się do oceanu, poczułam już piasek pod stopami, zaczęłam zrzucać z siebie po drodze kolejne warstwy ubrań, a wraz z nimi opadały warstwy wstydu, poczucia winy, żalu, wszystko to, co przygniatało mnie przez lata. Kiedy w podkoszulce i butach dotarłam nad brzeg oceanu, zaczęłam błagać o przebaczenie. Przetrwalam i nauczyłam się powoli, jak żyć po tych moich doświadczeniach. Ale wciąż nie mogłam wybaczyć sobie tego, co zrobiłam ani też przeboleć tego, co uczynili mi inni. Musiałam wybierać – jak w tamtej chwili gdy przechodziłam przez tę Bramkę – między życiem a śmiercią, i wybrałam, że chcę żyć, kochać, wybaczać, śmiać się, płakać i zastanawiać się wielokrotnie, jak ktoś taki jak ja mógł mieć aż taki fart, żeby wieść tak wspaniałe i interesujące, choć popieprzone życie... Ale wiecie, co sobie myślę? Że to wcale nie był fart. Wybierałam otwieranie tej Bramki noc po nocy tak, jak dokonujemy selekcji wszystkich Bramek, które co dzień otwieramy i zamykamy, składających się na dane życie. Teraz już wiem. Możesz w życiu utworzyć wiele Bramek, ale znaczenie mają te, które zamykasz.

Spis treści

Podziękowania.	7
<i>Rozdział 1: Podstawowe zasady.</i>	11
<i>Rozdział 2: Country cluby i ciuchy po starszych kuzynach.</i>	32
<i>Rozdział 3: Naturalne blondynki.</i>	58
<i>Rozdział 4: Szybka kasa.</i>	68
<i>Rozdział 5: Prywatna linia.</i>	78
<i>Rozdział 6: Otwarty bar.</i>	105
<i>Rozdział 7: Środowy wieczór.</i>	127
<i>Rozdział 8: Czwartkowy wieczór.</i>	147
<i>Rozdział 9: Bye bye, miss American pie.</i>	160
<i>Rozdział 10: Centrum handlowe, modelka i prawiczek.</i>	179
<i>Rozdział 11: Piątkowy wieczór.</i>	193
<i>Rozdział 12: Sobotni wieczór.</i>	216
<i>Rozdział 13: New York, New York.</i>	229
<i>Rozdział 14: Łapówki.</i>	240
<i>Rozdział 15: Ostatni dzwonek.</i>	254
<i>Rozdział 16: Znikanie w ciemności.</i>	264

Melanie La'Brooy
SERCE NIE SŁUGA



ABENKA
Redakcja Literacka Bellony

Melanie La'Brooy

**SERCE
NIE SŁUGA**

Tłum. Barbara Tkaczow

Wyd. 1, ark. 15, oprawa miękka

Znakomicie napisana, przeżabawna powieść autorstwa młodej australijskiej pisarki.

W poszukiwaniu lepszego życia Isabelle Beckett oraz jej chłopak Charlie przeprowadzają się do Sydney, gdzie Isabelle bardzo szybko znajduje ciekawą i dobrze płatną pracę, a Charlie również szybko znajduje pracę nieciekawą i źle płatną. Po pewnym czasie los się jednak do niego uśmiecha i otrzymuje bardzo atrakcyjną ofertę... z drugiego końca Australii.

Rozłąka jak wiadomo nie służy związkom, więc któregoś pięknego dnia Isabelle zostaje sama. Mimo wielu atrakcji, jakie oferuje duże miasto – licznych wystaw, wernisarzy, możliwości częstego obcowania z mniej lub bardziej uznanymi artystami, dziewczynie przychodzi stawić czoła faktowi, iż dalsze trwanie bez pary w Sydney to doświadczenie, na które jest zupełnie nieprzygotowana.

Drażnią ją „bezdusznii”, wychowani na powieściach fantasy mężczyźni. Ma dość pajaków pod prysznicem. Stara się jednak zachować godność i cały czas wierzy w romantyczne przeznaczenie. Krok po kroku odzyskuje kontrolę nad własnym życiem.

A przynajmniej tak jej się wydaje. Sprawy komplikują bowiem mężczyźni, których Isabelle spotyka na swojej drodze coraz częściej...

Wyd. 1, ark. 19, format A5, oprawa miękka

WWW.BELLONA.PL